

BRIAN W. ALDISS

KRYPTOZOIK

„Cryptozoic”

Przełożyli: Monika Niemczynowicz, Jarosław Szmolda

Leżały ułożone w bezsensowny stos a jednak przerażająco naznaczone mocą, która je tutaj wyrzuciła. Wydawało się, że są czymś organicznym i nieorganicznym zarazem. Mnożyły się na obrzeżach czasu, uosabiając wszystkie niesamowite formy, jakie miały zaistnieć na świecie. Ziemia śniła kamienny koszmar o potomstwie, które tłumnie się na nią wyleje.

Te kopromorficzne kształty zapowiadały rodzące się i umierające w przyszłości foki, słonie, diplodoki i sauropody, żuki, nietoperze, ośmiornice, pingwiny, stonogi i hipopotamy.

Pojawiały się też obiekty, które w zarysie przypominały ludzką sylwetkę: torsy, uda, pachwiny z lekkim zagłębieniem, kręgosłupy, piersi, elementy w kształcie dłoni i palców, masywne ramiona, kształty falliczne - wszystkie jedyne w swoim rodzaju, a jednak w jakiś dziwny sposób pozostające w związku z anatomią samej natury. Całość, jakby bezmyślnie wymodelowana z szarej gliny. Bez użycia choćby jednej myśli włączona do ruchu, nawet bez jednej myśli unicestwiona.

Kształty, leżąc na sobie bezładnie, rozciągały się wszędzie, aż po horyzont, jakby wypełniały cały kryptozoik... Zdawały się być jednocześnie złowieszczymi zwiastunami tego, co miało nadejść, jak i wspomnieniem dawno minionej przeszłości...

Księga Pierwsza

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kamień czerwonego piaskowca

Poziom morza obniżał się powoli przez ostatnich kilka tysięcy lat. Było prawie tak idealnie nieruchome, że trudno było zgadnąć, czy jego drobne fale odbijały się od brzegu, czy też w jakiś sposób formowały się na nim, by zniknąć w głębinie. Rzeka uchodząca do morza zbudowała tamy z czerwonego mułu i kamyków, wyznaczając swoją własną ścieżkę pomiędzy żwirowymi brzegami lub też rozlewając się w szerokie kałuże, znieruchomiałe w słońcu.

Na brzegu jednego z nich siedział mężczyzna. Pomimo że zdawał się być otoczony roślinnością, plaża za nim była naga jak wyschnięta kość.

Mężczyzna był wysoki i smukły. Miał jasne włosy i bladą cerę. Jego postawa zdradzała czujność. Miał na sobie jednoczęściowy kombinezon, przez ramię przewieszony plecak, w którym znajdował się zapas wody, substytuty jedzenia, przyrządy malarskie i dwa notatniki. Na szyi zawieszony miał urządzenie powszechnie nazywane konwerterem powietrza, składające się z pierścienia, posiadającego z jednej strony mały napęd, a z drugiej, pod brodą, niewielki otwór wylotowy, z którego wydobywało się świeże powietrze. Mężczyzna nazywał się Edward Bush. Był samotnym człowiekiem w wieku około czterdziestu pięciu lat. Jeżeli w ogóle można było powiedzieć, że myślał, to w tej chwili jego myśli krążyły wokół matki.

Na tym etapie, jego życie nie miało celu, znajdując się w całkowitym zawieszeniu. Jego dorywcza praca dla Instytutu w żaden sposób nie mogła załagodzić uczucia, że znalazł się na rozdrożu. Jak gdyby wszystkie czynności jego organizmu nagle się zatrzymały, nie wiedząc, czy skierować się w tym czy w innym kierunku, napędzane mocą wielkiego niepokoju.

Bush oparł brodę na kolanie i objął wzrokiem monotony bezkres morza. Gdzieś w oddali usłyszał warkot motocykli.

Nie chciał, żeby ktokolwiek zobaczył, co robi. Zerwał się i pobiegł do miejsca, gdzie stały sztalugi, które porzucił jakiś czas temu, niezadowolony ze swojej pracy. Odległość była większa, niż zakładał. Obraz był rzeczywiście do niczego - Bush był skończony jako artysta. Może dlatego nie mógł się zdobyć na powrót do teraźniejszości.

Howells będzie czekał na jego raport w siedzibie Instytutu. Obserwacja morza miała mu pomóc w wyrażeniu pustki, którą kreślił akwarelami na papierze wodnym - w podróży mentalnej tylko taki prymitywny sprzęt można było mieć ze sobą.

Z pędzla spadło kilka kropel farby, tworząc na papierze wielkie kolorowe plamy. Bush

wpadł w szal. Nad posępnym morzem weszło czerwone słońce, które, jak się Bushowi wydawało, miało zarys twarzy Howellsa.

Zaczął się śmiać. Plamy rozlanej farby uformowały po jednej stronie płótna karłowate drzewo: przyłożył do niego ołówek.

- Matko! - powiedział. - To przecież ty, mamó! Chcę ci pokazać, że o tobie nie zapomniałem.

Na płótnie pojawiła się sylwetka jego matki. Dorysował jej diamentową koronę; jego ojciec często nazywał matkę Królową - na poły czule, na poły ironicznie. Zresztą, jego ojciec też tam był; jego sylwetka zajmowała sporą część obrazu.

- Nie wiem, czy to widzisz, ale stworzyłem właśnie arcydzieło! - powiedział do stojącej za nim w oddali Kobiety Cień, która w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Nabrał akwareli i nabazgrał tytuł: „Zgromadzenie rodzinne”. W końcu, on też znalazł się na tym obrazie.

Wyrwał papier z klamer, podarł bohomaz i zmiął go w rękę.

Złożył sztalugę i wsadził ją do plecaka.

Za plecami Busha, nad niskimi wzgórzami, słońce rzucało resztki światła. Tylko przy brzegach rzeki wzgórze były pokryte roślinnością - tam drobne, bezlistne paprotniki rosły w cieniu prymitywnych widłaków. Bush nie rzucał cienia.

Zdenerwował go daleki odgłos motocykli, jedyny dźwięk pośród wszechobecnej dewońskiej ciszy. Zerwał się, gdy na horyzoncie dostrzegł ruch. Na płyciźnie dostrzegł cztery pełzopławy. Brnęły przez czerwone błoto, a ich dziwacznie opancerzone głowy unosiły się nad ziemią, gdy z komicznym przejęciem rozglądały się wokoło. Bush uniósł przyczepiony do nadgarstka aparat, żeby je sfotografować, zaraz jednak przypomniał sobie, że już kiedyś robił zdjęcia tym stworzeniom.

Ryby wyłapywały pełzające po błotnistym wybrzeżu insekty albo zanurzały głowy w gnijącej roślinności. Zanim jeszcze opuścił go jego geniusz, Bush zainspirowany kształtem ich uzbrojonych głów, stworzył jedną ze swoich najlepszych prac.

Odgłos ryku motorów ustał. Przyjrzał się otoczeniu, wspinając się na piaszczysty brzeg, by mieć lepszy widok; nie był pewien, ale wydawało mu się, że widzi grupkę ludzi, daleko na plaży. Ani jedna zmarszczka fali nie mąciła gładkiej tafli oceanu. Czarnowłosa Kobieta Cień zastygła w bezruchu. Z jednej strony była jego towarzyszką, z drugiej, była tylko jedną z denerwujących zjaw wyprodukowanych przez jego przeciążony umysł.

- To jakby czytać jakiś cholerny podręcznik! - krzyknął do niej drwiąco. - Ta plaża... Ewolucja... Brak tlenu w umierającym morzu... Wychodzące na brzeg ryby i ich podróż w przestrzeni... Mój ojciec widziałby pewnie w tym jakąś metafizykę - rozbawiony dźwiękiem

swojego głosu zaczął recytować (jego ojciec był wielkim miłośnikiem poezji): - Wiosna... Za długa... Gongula... - o wiele za długa.

No cóż, trzeba było się z czegoś śmiać, inaczej by zwariował. Wciągnął powietrze przez konwerter, patrząc nieufnie na swojego stróża - ciemnowłosa kobieta nadal stała obok, jak zawsze cienista i zamglona. Doszedł do wniosku, że pełniła przy nim swego rodzaju wartę. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale była tak samo niematerialna co pełzopławy czy piaskowiec.

Jego największym zmartwieniem było pożądanie. Dopóki jego wewnętrzny zegar pozostawał w spoczynku, taka izolacja była mu na rękę, ale im dłużej trwała, tym bardziej pograżał się w monotonii. Pożądanie wprawiłoby go znowu w ruch, jednak Kobieta Cień była równie nieosiągalna, co wyuzdane bohaterki jego erotycznych fantazji.

Niezbyt przyjemnie było oglądać nagie wzgórza przez pryzmat jej ciała. Położył się na żwirze, dostosowując ciało do kształtu zbocza. Zamiast zмагаć się z problemem jej tożsamości, odwrócił się w stronę ponurej głębin oceanu i zaczął się w nią wpatrywać - jakby miał nadzieję ujrzeć jakiegoś żarłocznego potwora wyłaniającego się z wody, rozpraszającego jego wewnętrzny spokój.

Wszystkie plaże były ze sobą połączone. Czas nic dla nich nie znaczył. Ta przed nim wiodła prosto do plaży, którą poznał jako dziecko, podczas pewnych przygnębiających wakacji, gdy jego rodzice kłócili się, hamując w sobie gniew, a on trzęsąc się, stał za kabiną z butami pełnymi piasku i podsłuchiwał ich nienawiść. Gdyby tylko był w stanie zapomnieć o swoim dzieciństwie, mógłby rozpocząć twórcze życie od nowa! Być może tworzyłyby kompozycje z plażowych kabin... Otoczonych czasem...

Leżał i rozmyślał o następnej, przestrzenno-kinetycznej instalacji, zamiast wziąć się do roboty, co zresztą było dla niego charakterystyczne. Jego sztuka (ha!) przyniosła obfite owoce zbyt wcześnie. Podejrzewał, że bardziej dlatego, iż był jednym z pierwszych artystów wykorzystujących podróże mentalne niż dlatego, że publiczność była porażona jego wyjątkowym talentem, czy też zachwycała się ascetycznymi, monochromatycznymi kompozycjami ruchomych sześcianów i potrzasków obrazujących niejasne czasoprzestrzenne relacje, z których - według Busha - zbudowany był świat.

W każdym bądź razie skończył już z gatunkiem świetlno-dźwiękowych instalacji, dzięki którym odniósł sukces pięć lat temu. Zamiast przenosić do środka potencjał świata zewnętrznego, postanowił robić coś dokładnie odwrotnego w odniesieniu do makrokosmicznego czasu. Zrobiłby to, gdyby tylko wiedział jak zacząć.

Bush usłyszał głuchy odgłos motocykli przemierzających pustynię. Odepchnął od siebie myśl o intruzach i wrócił do przerwanych rozmyślań. Za namową Instytutu zgodził się na

podróż po to, by przerwać wreszcie tę dwudziestoczerogodzinną regularność, zrozumieć fundamentalne problemy dotyczące czasu, z którymi borykała się jego generacja - i nie odkrył żadnej tajemnicy, którą mógłby objawić światu za pomocą środków artystycznej ekspresji. Stąd też marazm, w który popadł, leżąc nad brzegiem oceanu.

Stary Claude Monet kroczył właściwą ścieżką - biorąc pod uwagę czasy, w których przyszło mu żyć. Siedział cierpliwie w Giverny, malował lilie i stawy porośnięte rzęsą, które pod jego pędzlem przeistaczały się w grupy kolorów będących osobliwym świadectwem epoki. Monet nigdy nie utknął w dewonie czy paleozoiku.

Świadomość człowieka rozrastała się w zastraszającym tempie, była tak zajęta przekładaniem wszystkiego na swój charakterystyczny język, że żadna sztuka nie mogła uchronić się przed jej wpływem. Tutaj trzeba było czegoś całkowicie świeżego; nawet bioelektrokinetyczne rzeźby były przeżytkiem.

Czuł, jak kielkują w nim nasiona nowej formy artystycznej ekspresji. Rodząca się w nim sztuka była niczym wir; jego emocje spływały kaskadą w dół, prosto w serce tego nowego bytu; ciągle w ruchu, nadchodzące potężną falą, jak podczas silnego sztormu, jednak zawsze powracające do tego samego punktu. Malarzem, który najbardziej go poruszał był Joseph Mallord Turner; żył w latach, kiedy wkraczająca w świat człowieka technologia otwierała nowe możliwości pojmowania czasu; on też w swoim malarstwie stosował układy wirowe, szczególnie było to widoczne w późniejszych etapach jego twórczości.

Wir - symbol tego, w jaki sposób każde zjawisko we wszechświecie docierało do ludzkiego oka, niczym woda spływająca z basenu.

Rozmyślał o tym już tysiące razy. Sama myśl kręciła się wciąż w kółko, nie doprowadzając go do żadnych wniosków.

Usiadł i rozejrzył się wokół w poszukiwaniu motorów.

Ujrzał je pół mili dalej, zaparkowane na ponurej plaży; widział je wyraźnie; obiekty pochodzące z jego rzeczywistości były dużo ciemniejsze niż należące do tego czasookresu; bariera entropii przepuszczała około dziesięciu procent światła mniej. Dziesięciu motocyklistów wyglądało niczym wycinanka na tle egzotycznego dewońskiego krajobrazu; cała rzeczywistość dookoła zdawała się podkreślać, że ci przybysze, niezależnie od tego jak długo będą tu przebywać, zawsze będą obcy.

Motory były na tyle lekkie, by mężczyźni mogli je zabrać ze sobą w mentalną podróż. Jeździli w kółko po plaży, a spod kół nie unosiło się nawet jedno ziarnko piasku, choć taka jazda powinna wzbijać tumany kurzu; ocean też się nie poruszył, gdy wydawało się, że motory tną fale. To, na co nigdy wcześniej nie mieli wpływu, wciąż pozostawało poza ich zasięgiem.

To był istny cud, że przy takiej jeździe nie zderzyli się ze sobą. Wreszcie mężczyźni dali odpocząć maszynom, parkując je w rzędzie jedna obok drugiej.

Bush obserwował, jak zsiadają z motorów i zaczynają rozbijać obóz. Wszyscy mieli na sobie zielone skórzane ubrania. Zauważył z daleka, że jeden z motocyklistów miał długie blond włosy - możliwe, że była to kobieta. Mimo że znajdował się za daleko, by mógł to stwierdzić na pewno, jego ciekawość znacznie wzrosła.

Po chwili został zauważony przez grupę. Cztery postaci ruszyły w jego stronę. Przestraszył się, jednak nie ruszył się z miejsca, udając, że ich nie zauważył.

Byli rośli. Wszyscy nosili wysokie buty z kozłej skóry. Konwertery powietrza kołysały się zawieszane niedbale na ich szyjach. Jeden z mężczyzn miał kask z wymalowanym na nim wizerunkiem czaszki jakiegoś gada. Wśród nich była też jedna kobieta. Na oko wszyscy byli między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia; klasyczni terszerzy. Był to najniższy przedział wiekowy uprawniający do podróży mentalnych.

Mimo że widok mężczyzn zmierzających w jego kierunku wzbudzał w nim lęk, to kiedy zobaczył dziewczynę, poczuł, jak uderza go fala pożądania. To była ta blond włosy, którą widział wcześniej. Wyglądała na dosyć zaniedbaną, a na jej twarzy nie było nawet cienia makijażu. Rysy miała ostre, lecz dostrzegał w nich jakąś nutkę łagodności, może to przez ten nieobecny wzrok. Na pierwszy rzut oka nie była atrakcyjna - może to za sprawą tych wielkich butów - mimo to pociągała go.

- Co tu robisz, kolego? - zapytał jeden z mężczyzn, wlepiając wzrok w Busha.

Pomyślał, że powinien wstać, jednak nie zmienił pozycji. Siedział na wzniesieniu, więc gdyby teraz wstał, wyglądałoby to na groźbę.

- Dopóki nie nadjechaliście, odpoczywałem.

Przyjrzał się temu, który zadał pytanie. Miał ostry nos i głębokie zmarszczki na policzkach; chyba nikt nie śmiałby ich nazwać dołkami; nie wyglądał imponująco: chudy, obszarpany, spięty.

- Jesteś zmęczony?

Bush roześmiał się; rozbawiła go troska w głosie mężczyzny. Napięcie zostało rozładowane.

- Mógłbym nawet powiedzieć: kosmicznie zmęczony, zawieszony w próżni. Widzicie te ryby? - wskazał na pełzopławy konsumujące wodorosty. - Leżałem tu cały dzień, patrząc, jak ewoluują.

Mężczyźni wybuchli gromkim śmiechem. Jeden z nich powiedział zaczepnie:

- Myśleliśmy, że to ty ewoluujesz, leżąc tutaj. Wyglądasz tak, jakbyś tego potrzebował!

Najwidoczniej starał się być nadwornym dowcipnisiem, jednak inni nie docenili jego wysiłków. Zignorowali jego uwagę, a lider grupy powiedział:

- Zwariowałeś! Przyплыw cię stąd zmyje, zobaczysz!

- Poziom wody obniża się od miliona lat. Nie czytacie gazet?

Kiedy zaczęli się śmiać, wstał i otrzepał się z kurzu - było to działanie czysto instynktowne, bo nawet nie dotknął piasku.

Pierwsze lody zostały przełamane. Zwracając się do przywódcy grupy, Bush powiedział:

- Macie coś do jedzenia, co chcielibyście wymienić na żarcie w proszku?

Po raz pierwszy zabrała głos blond włosy dziewczyna:

- Szkoda, że nie możemy usmażyć kilku tych ewoluujących rybek. Nie potrafię się przyzwyczaić do tej dziwnej izolacji.

Miała ładne, mocne zęby, które jednak potrzebowały szczotkowania, tak samo jak reszta jej ciała.

- Długo tu jesteście? - zapytał.

- Opuściliśmy 2090 w ubiegłym tygodniu.

Pokiwał głową.

- Ja tu jestem od dwóch lat, a przynajmniej przez tyle nie wracałem do współczesności. To już dwa i pół roku. Zabawne, że w naszych czasach te chodzące ryby będą spały wiecznym snem w starym czerwonym piaskowcu!

- Wybieramy się właśnie do jury. - powiedział przywódca, obejmując dziewczynę ramieniem. - Byłeś już tam?

- Pewnie. Słyszałem, że powoli robi się tam tłoczno, jak w wesołym miasteczku.

- Znajdziemy sobie jakieś miejsce.

- Macie czterdzieści sześć milionów lat do wyboru - powiedział Bush, wzruszając ramionami.

Ruszył z nimi w kierunku reszty grupy siedzącej między namiotami obozowiska.

- Chciałbym być jednym z tych wielkich jurajskich gadów z ogromnymi zębami - powiedział dowcipniś. - Byłbym wtedy tak silny jak ty, Lenny!

Lenny to był ten od przerośniętych dołków w policzkach. Dowcipniś nazywał się Pete. Dziewczyna miała na imię Ann; była z Lennym. Większość grupy nie posługiwała się swoimi imionami; wyjątkiem był Pete. Bush powiedział, że nazywa się Bush i na tym poprzestał. Grupa składała się z sześciu facetów na motorach i czterech towarzyszących im dziewczyn. Żadna z nich, z wyjątkiem Ann, nie była atrakcyjna. Wszyscy stali przy motorach lub się o nie

opierali; Bush był jedynym, który siedział. Uważnie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Cienistej Kobiety - nie było jej. Mimo że była teraz daleko, z pewnością wyczuwała dużo wyraźniej niż ktokolwiek inny powód, dla którego Bush przyłączył się do gangu.

Jedyną osobą w grupie, która od razu zwróciła jego uwagę, był starszy mężczyzna, który najwidoczniej nie należał do terszerów. Miał czarne, prawdopodobnie ufarbowane włosy, a pod długim nosem tkwiły usta wykrzywione w sposób, który dawał do myślenia. Mężczyzna wprawdzie nic nie mówił, jednak jego uważny wzrok świadczył o czujnym umyśle.

- Mówisz, że podróżujesz już prawie trzy lata, tak? - zapytał Lenny. - Jesteś milionerem, czy co?

- Malarzem. Robię też przestrzenno-kinetyczne instalacje, jeśli coś ci to mówi. Poza tym jestem tu z polecenia Instytutu Wenlocka. A czym wy się zajmujecie, skoro stać was na tak kosztowną wycieczkę?

Lenny bronił się przed odpowiedzią na to pytanie. Powiedział wyzywająco:

- Kłamiesz. Założę się, że nigdy nie pracowałeś dla Instytutu. Nie zrobisz ze mnie idioty! Wiem, że wysyłają swoich ludzi w przeszłość na góra osiemnaście miesięcy. Dwa i pół roku: nie oszukasz mnie, stary!

- Nie mam takiego zamiaru. Naprawdę pracuję dla Instytutu. Faktycznie miałem wyznaczony osiemnastomiesięczny termin pobytu, jednak przedłużyłem go sobie jeszcze o rok. To wszystko.

Lenny rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Wyrwą ci za to jaja!

- Nie sądzę. Jak może ci wiadomo, jestem ich najlepszym mentalnym. Nikt nie potrafi przenieść się do czasów bardziej zbliżonych do współczesności jak ja.

- Devon to chyba trochę daleko od 2090. Poza tym i tak nie wierzę w twoją historyjkę!

- Nie musisz w nią wierzyć - powiedział Bush. Nie cierpiał takich sytuacji i kiedy Lenny się odwrócił, aż zatrzęsł się z gniewu.

Jeden z kolegów Lenny'ego, niewzruszony kłótnią, powiedział:

- Musieliśmy sporo pracować, by zdobyć gotówkę na strzał CSD i jeszcze przenieść się tutaj. Wiele kasy, sporo pracy! Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy.

- Bo nie jesteśmy - powiedział Bush. - Wszechświat tu jest, ale my nie. A może raczej, wszechświat może tu być, ale my nie. Jeszcze na wiele pytań dotyczących podróży mentalnych nie ma odpowiedzi - wymądrzał się teraz, aby ukryć wewnętrzne rozdrażnienie.

- Mógłbyś nas namalować? - zapytała Ann. To była jedyna reakcja na jego oświadczenie, że jest malarzem.

Popatrzył jej w oczy. Wydawało mu się, że posłała mu wymowne spojrzenie. Jedną z zalet dorosłości była łatwość, z jaką odczytywało się podobne sygnały.

- Gdybyś mnie zainteresowała, mógłbym.

- Tylko że my nie chcemy, żebyś nas malował - powiedział Lenny.

- A ja wcale nie zamierzałem tego zrobić. W jaki sposób zarabiacie pieniądze na podróże?

Tak naprawdę nie interesowała go ich odpowiedź. Patrzył na Ann, która pod jego spojrzeniem spuściła wzrok. Myślał o tym, by jej dotknąć - w otchłani podróży mentalnej dotknięcie czegokolwiek było zazwyczaj niemożliwe, jednak ona przecież pochodziła z jego czasów.

- Wszyscy oprócz Josie i Ann stanowimy ekipę ze stacji podróży mentalnych w Bristolu - powiedział mężczyzna, którego imienia nie poznał. - Byliśmy jednymi z pierwszych mentalnych, którzy wyruszyli z tej stacji. Wiedziałeś o tym?

- Zaprojektowałem im jedną z przestrzenno-kinetycznych instalacji, która znajduje się teraz w foyer. - Był to sygnałowo zsynchronizowany, zapętłony symbol ponownego wejścia, napędzany podwójnym rotorem dużej mocy.

- A, o tym cholerstwie mówisz! - powiedział Lenny, wyciągając z ust papierosa, którego niedopałek wyrzucił do sennego oceanu. Żarzący się filtr unosił się na powierzchni fali, tłąc się jeszcze przez chwilę, zanim nie zdusił go brak tlenu.

- Mnie się podoba - powiedział Pete. - Ta instalacja wygląda jak kilku, poruszających się z prędkością ponaddźwiękową strażników, zderzających się ze sobą jakiejś ciemnej nocy, którzy następnie puszczaają sygnały, by wezwać pomoc. - Mężczyzna roześmiał się głośno.

- Nie powinieneś naśmiewać się z samego siebie. Właśnie podałeś całkiem trafny opis tego wszystkiego. - Bush zatoczył ręką okrąg, wskazując na widzialny, jak i niewidzialny wszechświat.

- Spadaj! - powiedział Lenny, schodząc z motoru i kierując się w stronę Busha. - Jesteś tak mądry, że aż nudny. Mogę ci tylko powiedzieć - spadaj!

Bush wstał. Gdyby nie dziewczyna, już dawno nie byłoby go tutaj. Nie miał ochoty zarobić w zęby od tego palanta.

- Jeśli nie interesuje cię to, o czym mówię, dlaczego sam czegoś nie zaproponujesz? - zapytał.

- Gadasz bzdury i tyle. Ta historyjka ze Starym Czerwonym Piaskowcem...

- Może ci się nie podoba albo cię nie interesuje, jednak to nie są bzdury. - Wskazał palcem na mężczyznę z farbowanymi włosami, który stał nieco dalej. - Niech on ci powie! Albo

twoja dziewczyna! To wszystko, co tu widzimy, w 2090 roku ma stać się zatopionym w czerwonym piaskowcu świadectwem prehistorycznego życia - kamyki, ryby, rośliny, nawet blask słońca czy księżyca, wiatry, wszystko zastygnięte w kamieniu, który geolodzy wydobywają z ziemi. Jeśli się tego nie wie albo nie czuje, ile w tym tkwi poezji, po co wydawać wieloletnie oszczędności na powrót do takiego miejsca?

- Nie mówię o tym, stary. Chodziło mi tylko o to, że mnie nudzisz.

- I vice versa.

Chyba obaj posunęli się już najdalej, jak tylko mogli w tej rozmowie i nie chcieli brnąć dalej, bo kiedy Ann podeszła do nich i zaczęła robić awanturę, Lenny oddalił się bez słowa.

- Mówi jak artysta, nie? - powiedziała pulchna Josie, kierując tę uwagę głównie do starszego mężczyzny. - Wydaje mi się, że coś w tym jest. Nie dostrzegamy tego, co najlepsze w tym czasie i miejscu. Przecież to niesamowite, że jesteśmy tutaj, na długo przed pojawieniem się na Ziemi pierwszych ludzi, prawda?

- Zdolność do tego, by się dziwić i zachwycać została dana wszystkim, jednak większość ludzi tego się boi - odpowiedział mężczyzna.

Lenny warknął z niezadowoleniem:

- Nie zaczynaj, Stein!

- Mam na myśli to, że stoimy nad brzegiem oceanu, w którym wszystko miało swój początek. Nie możemy go dotknąć, oczywiście. - Josie zmagiała się z zagadnieniami zbyt skomplikowanymi, jak na jej intelektualne wyposażenie, o czym świadczył zdeorientowany wyraz jej twarzy. - Zabawne, ale kiedy patrzę na tę wodę, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to jest koniec świata, a nie jego początek.

Ta refleksja przypomniała Bushowi o czymś, nad czym rozmyślał poprzedniego dnia; pomysł Josie był naprawdę wspaniały. Bush na chwilę skupił całą swoją uwagę na dziewczynie. W ramach reakcji na jej wypowiedź, wszyscy przybrali ponure miny. Lenny wskoczył na motor i zapuścił silnik. Z tłumika wyleciały dwie smugi gęstego dymu. To, że ani jedno ziarenko piasku nie poruszyło się pod tym podmuchem, było ewidentnym przykładem na pogwałcenie podstawowych praw fizyki. Czterech pozostałych mężczyzn również wsiadło na swoje motocykle; dwie dziewczyny zajęły miejsca za plecami swych partnerów. Odjechali z warkotem wzdłuż plaży. Nadchodził zmierzch i od strony oceanu zrywał się wiatr; jednak w wymiarze mentalnym wszystko pozostawało nieruchome. Bush został ze starszym mężczyzną, Josie i Ann.

- Dziękuję za kolację - powiedział. - Nie jestem tu zbyt mile widziany, więc wracam do siebie. Rozbiłem się niedaleko, tam, przy pierwszych wzniesieniach. - Wskazał ręką w stronę

zachodzącego słońca, cały czas spoglądając na Ann.

- Nie zwracaj uwagi na to, co mówi Lenny - powiedziała Ann. - Nie jest w najlepszym humorze.

Przyjrzał się dziewczynie uważnie. Nie miała ciekawej figury, była zaniedbana i brudna; mimo to nie mógł opanować drżenia. Zmysłowa pustynia podróży mentalnej mogła doprowadzić do poważnego rozchwiania psychicznego; nic się nie słyszało, nie czuło, nie doświadczało żadnych zapachów, prócz tych, które wydzielali współpodróżnicy. W tej sytuacji Ann była niczym zapowiedź wystawnego lunchu! Było coś jeszcze - jednak nie umiał tego nazwać po imieniu.

- Teraz, kiedy już nie ma z nami tych, którzy nie potrafią rozmawiać o istotnych sprawach, możesz zostać i podzielić się swoimi poglądami - zachęcał starszy mężczyzna. Może to był wyraz jego twarzy, a może kpina w jego głosie, bo Bush powiedział:

- Nadużyłem już waszej gościnności. Znikam!

Ku jego zdumieniu mężczyzna podszedł do niego i podał mu rękę na pożegnanie.

- Jesteście naprawdę osobliwą paczką - powiedział Bush. Nie interesował go ten facet, kimkolwiek był.

Ruszył wzdłuż plaży prowadzącej do obozu. Jego myśli wciąż zaprzętała dziewczyna Lenny'ego. Ciemność, która wydawała się wytryskiwać wprost z wód oceanu, powoli obejmowała ład olbrzymimi czarnymi skrzydłami. Nagle poczuł, jak okrutne było skazywanie Człowieka na to, by musiał obcować z tym ogromem wszechświata, walczyć z nim - czy obdarzać go pragnieniami, których nie był w stanie ani kontrolować, ani spełnić.

- Nie potrafię przyzwyczaić się do tego, że nie możemy tu niczego dotknąć - powiedziała nagle Ann. - Nie daje mi to spokoju. Czasami czuję, jakbym w ogóle nie istniała.

Szła tuż za nim. Słyszał kroki stóp w ciężkich butach.

- Przywykłem do tego. Wciąż pamiętam zapachy miejsc, które kocham. Konwerter powietrza nie jest w stanie ich przywołać.

- Nie można mieć wszystkiego.

Zatrzymał się.

- Musisz za mną iść? Wpakujesz mnie w jakieś kłopoty. Wracaj do swego kochasia - wiesz przecież, że nie jestem w twoim typie.

- O tym nie mieliśmy okazji się jeszcze przekonać.

Patrzyli na siebie przez chwilę, szarpani namiętnościami, jak gdyby w tej ciszy miało zapaść jakieś ważne postanowienie.

Ruszyli w dalszą drogę. Bush podjął w myślach decyzję, a może raczej uwolnił się

całkowicie od myślenia. Jego świadomość odpłynęła od niego, rozlewając się w pulsującym oceanie krwi, pośród fal którego rodził się nowy cel. Pospieszyli w górę strumienia trzymając się za ręce. Na chwilę wróciła mu trzeźwość umysłu.

- O co ci chodzi?

- Jesteś nienormalny!

- Nie, to ty jesteś nienormalna!

Szybkim krokiem przemierzali przestrzeń usłaną muszlami, na których, w normalnych warunkach, poraniliby sobie stopy. Czytał o nich wcześniej w przewodniku. Fragmocery. Początkowo myślał, że są to zęby jakiegoś zwierzęcia, nie zaś opuszczone siedlisko wczesnych głowonogów. Wyostrzone przez morze muszle, pochodzące najprawdopodobniej z syluru, gotowe były zasmakować jego krwi, gdyby nie bariera podróży mentalnej oddzielająca to, co było przedtem, od tego, co było teraz. Ani jedna z nich nie wydała najmniejszego chrupnięcia pod ich stopami. W gorączce spojrzął za siebie, na dziewczynę i zauważył, że jej stopy znajdują się poniżej linii podłoża formowanego przez szczątki muszli. Grunt, po którym szli prawdopodobnie należał do współczesnego im wymiaru, nie zaś do dewonu - był to rodzaj najniższego wspólnego mianownika dla terenu.

Zatrzymali się w małej, ocienionej dolinie. Stali objęci, wpatrując się w swoje twarze wyłaniające się z ciemności zapadającego zmierzchu. Nie pamiętał, jak długo to trwało ani co mówili, prócz jednej uwagi Ann: „Jesteśmy oddaleni o milion lat od naszych narodzin - nie powinniśmy mieć żadnych oporów”.

Czy odpowiedź, jakiej jej udzielił miała dla niej sens i wartość? Pamiętał tylko, że chwilę później rzucił Ann na ziemię, zdjął jej ciężkie buty i pomógł oswobodzić się ze spodni. Zachowywała się tak, jakby puściły w niej wszystkie hamulce i w jednym momencie przyciągnęła go mocno do siebie gotowa na to, by go przyjąć.

Później wiele razy powracało do niego obsesyjne wspomnienie tego specyficznego gestu, kiedy uniosła jedną nogę, zapraszając go w ciasne objęcia ud i jego zaskoczenie, że niezależnie od czasu, w którym by się nie znalazł, istniało to miękkie uroczyisko.

Kiedy już po wszystkim leżeli zmęczeni obok siebie, usłyszeli w oddali warkot motorów. Ogarnęła ich kolejna fala namiętności, która dodała im sił do następnego zbliżenia.

- Pachniesz tak niewiarygodnie słodko! Jesteś piękna! - Te słowa przypomniały mu, że wciąż byli prawie kompletnie ubrani i podciągnął jej koszulkę tak, by móc ustami pieścić jej piersi.

- Powinniśmy być zupełnie nadzy. Jak dwoje dzikusów... Jesteśmy dzikusami, prawda?

- Dzięki Bogu, tak. Nie mam pojęcia, jak daleko od takiej kondycji jestem zazwyczaj.

Zdominowany przez matkę, pełen obaw i lęków. Nie to, co twój Lenny!

- On? To czubek! Tak naprawdę on się tego wszystkiego bardzo boi...

- Masz na myśli miłość? Czy czasoprzestrzenny świat?

- To też. Boi się wszystkiego, co pod powierzchnią. Jego stary bił go w dzieciństwie.

Ich twarze zbliżyły się do siebie. A sylwetki były coraz mniej wyraźne w narastającym wokół zmierzchu.

- Boję się go. A może raczej bałem się, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Myślałem, że będę miał kłopoty. Ale już w porządku - co się dzieje, Ann?

Wstała i zaczęła się ubierać.

- Nie masz jaj? Nie przyszedł tu patrzeć, jakim jesteś tchórzem. Chrząnąć taki interes! Wszyscy jesteście tacy sami - coś z wami jest nie tak!

- Mylisz się! Daleko nam do tego, by nas podciągnąć pod wspólny mianownik! Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać. Od miesiący nie zamieniłem z nikim słowa. Żyłem w absolutnej ciszy. Niczego nie mogłem dotknąć... Wszędzie tylko widma i cienie. Chyba powinienem wrócić do 2090. Chciałbym zobaczyć się z matką, jednak podejrzewam, że będę miał spore problemy, kiedy się tam pokażę... Jezu, tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz kochałem się z dziewczyną... naprawdę, myślałem już, że coś jest ze mną nie tak.

- Co skłania cię do takich przemyśleń? - zapytała przewrotnie.

- Potrzeba bycia szczerym, kiedy mam do tego okazję. To naprawdę luksus, nie sądzisz?

- Może daj już z tym spokój, co? Ja ciebie nie zarzucam tego typu szczegółami. Nie przyszedł tu z tobą rozmawiać o bzdurach.

Chwilę wcześniej Bush czuł, że kocha tę dziewczynę. Teraz nie było w nim nic prócz gniewu. Rzucił jej ubranie.

- Włóż majtki i wracaj do swego prymitywnego fagasa, jeśli tak myślisz. Po co w ogóle za mną poszłaś?

Objęła go ramieniem, zupełnie zaskoczona jego wybuchem.

- Popełniłam błąd. Wydawało mi się, że jesteś trochę inny. - Dmuchnęła mu w twarz dymem z papierosa. - Nie martw się, było bardzo przyjemnie. Jesteś całkiem niezły w te klocki, nawet jeśli jesteś pedziem!

Podskoczył i zaczął wciągać spodnie. Był zły, ale chyba bardziej na siebie niż na nią. Odwrócił się i zobaczył sylwetkę Lenny'ego zarysowującą się na tle nieba. Zachowując zimną krew, zapiął rozporek i czekał na rozwój wypadków.

Lenny zatrzymał się. Odwrócił głowę i krzyknął do swoich koleżków:

- Jest tutaj!

- Podejdźcie bliżej, jeśli macie do mnie jakiś interes - powiedział Bush. Był przerażony; jeśli połamię mu palce, już nigdy nie będzie mógł pracować. Albo jeśli wylupią mu oczy. Nie było tu żadnych policyjnych patroli; mogli z nim zrobić, co im się żywnie podobało, a jego szczątki rozwlec po całym dewonie. Wtedy przypomniał sobie, co powiedziała mu Ann; Lenny też się bał.

Powoli ruszył w ich kierunku. Lenny trzymał w dłoni narzędzie przypominające klucz francuski.

- Dorwę cię, Bush! - krzyknął, rzucając spojrzenie za siebie, by upewnić się, że nie jest sam. Bush skoczył na niego, oplótł ręce wokół jego szyi i podniósł go kilka centymetrów nad ziemię. Lenny okazał się niespodziewanie lekki. Zachwiał się, kiedy Bush zwolnił uścisk. Bush podniósł z ziemi klucz, wymierzył Lenny'emu cios w twarz, po czym się wycofał.

- Zrób to jeszcze raz! - krzyknęła Ann.

Uderzył ponownie; Lenny kopnął go w piszczel. Bush upadł, chwycił napastnika za nogi i pociągnął go na ziemię. Lenny podniósł klucz, jednak Bush zdążył go chwycić za nadgarstek. Walczyli zażarcie jeszcze przez chwilę. W pewnym momencie Bush wymierzył kopniaka prosto w krocze Lenny'ego, który w tym momencie zrezygnował z dalszej walki. Utykając, ruszył w kierunku pozostałych czterech mężczyzn, którzy do tej pory tylko przyglądali się scenie.

- Kto następny? - zapytał Bush. Kiedy żaden z nich nie wykazał entuzjazmu, wskazał na przywódcę bandy. - Zabierzcie go stąd!

Ociągając się, spełnili rozkaz. Jeden z nich powiedział ponuro:

- Gnojek z ciebie. Nic ci nie zrobiliśmy. Ann jest dziewczyną Lenny'ego.

Opuściła go chęć do dalszej walki. Biorąc pod uwagę stan faktyczny, mieli święte prawo tak go oceniać. To prawda, że ich zachowanie obrażało go od samego początku, jednak działało się to za jego przyzwoleniem.

- Spadam stąd - powiedział. - Lenny może sobie zatrzymać swoją dziewczynę.

Nadszedł czas na kolejną podróż. Dostanie się w bezpieczne miejsce, a potem wyruszy dalej. Wrócił tą samą drogą na wzgórze, co chwila zerkając, czy za nim nie idą. Po chwili usłyszał warkot ich motorów; jedyny dźwięk zakłócający ciszę. Odwrócił się i patrzył, jak ich światła powoli oddalają się od niego. Kobieta Cień była przy nim; przez jej fantasmagoryczną postać patrzył na znikające w oddali reflektory. Nie miał wątpliwości co do tego, że była na służbie, wysłana przez kogoś z jej własnych czasów. W jej oczach lśniły gwiazdy.

Usłyszał za sobą jakiś dźwięk, wskazujący, że nie jest tu sam. Dziewczyna stała tuż za nim.

- Co, nie chciał cię z powrotem twój zidiociały kochaś?
- Przestań, Bush. Chcę z tobą porozmawiać.
- Boże! - chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Bez słowa udali się w stronę namiotu i wczłgali się do środka.

ROZDZIAŁ DRUGI

W górę krzywej entropii

Kiedy się obudził, już jej nie było.

Leżał przez dłuższą chwilę wpatrzony w sufit namiotu, zastanawiając się nad tym, jak bardzo mu na niej zależy. Potrzebował towarzystwa, jednak nigdy nie było mu ono całkiem na rękę; potrzebował kobiety, jednak z żadną nie był szczęśliwy. Chciał rozmowy, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że w większości rozmów brakowało prawdziwej komunikacji.

Umył się i ubrał, po czym wyszedł na zewnątrz. Żadnego śladu Ann. Tutaj nikt nie zostawiał śladów. Porastająca olbrzymie połacie trawa wyglądała, jakby nikt po niej nigdy nie chodził, mimo to Bush przemierzał te przestrzenie dziesiątki razy, wypatrując pełzopławów podczas swoich patroli.

Słońce świeciło niczym wielki piec, z którego ciepło spływało w dół na świat. Bush myślał o tych złożach węgla, które wciąż jeszcze nie powstały. Bolała go głowa.

Stał przez chwilę bez ruchu, rozmyślając, co mogło być tego przyczyną: ekscytujące wydarzenia poprzedniego dnia czy ustawiczna presja pustych eonów. Zdecydował się na tę drugą opcję. Żaden człowiek nie zamieszkiwał tych stuleci; on i reszta rzeczywiście przybyli tutaj, jednak ich związek z faktycznym dewonem nie był do końca określony. Człowiek, a przynajmniej wielkie umysły z Instytutu Wenlocka, pokonały upływ czasu, lecz jeśli idea upływu czasu jest jedynie wymysłem człowieka, ten rzekomy przełom nic tak naprawdę nie zmienia.

- Namalujesz mnie?

Bush odwrócił się. Dziewczyna stała za nim, oddalona o kilka metrów. Wyglądała jak zjawą. Prawie nie mógł dostrzec jej twarzy; podróż w czasie zredukowała ich wygląd do widmowych postaci.

- Myślałem, że wróciłaś do swoich przyjaciół!

Ann zbliżyła się do niego. Kręciła beztrosko zawieszonym na pasku konwerterem powietrza. W rozpiętej tunice i z nieuczesanymi włosami wyglądała zupełnie jak włóczęga. Gdy była już na tyle blisko, że mogła dotknąć jego ramienia, zapytała:

- Miałaś nadzieję, że do nich wróciłam, czy obawiałeś się tego?

Spojrzał na nią, marszcząc brwi. Próbował zgadnąć, o co jej chodzi. Relacje z ludźmi zupełnie go wyczerpywały; być może to był powód, dla którego tak długo tkwił w studni czasu, który dawno upłynął.

- Bez obrazy, ale zupełnie cię nie rozumiem. To tak, jak obserwować ludzi przez grube

szkło. Zawsze okazuje się, że są inni, niż nam się wydawało.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie, po czym zapytała niemal ze współczuciem:

- Coś cię gryzie, kochany? Jakaś zadra, która tkwi głęboko w tobie, prawda?

Troska w jej głosie zdawała się otwierać w nim jakąś ranę.

- Nie wiedziałbym nawet jak zacząć. To wszystko jest potwornie skomplikowane. Jeden wielki chaos.

- Spróbuj. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, opowiedz mi o tym. O dewonie wiem wszystko!

- Twoja przyjaciółka Josie powiedziała wczoraj, że to powinien być raczej koniec świata niż jego początek. Pomyślałem sobie wtedy, że gdyby faktycznie tak było, mógłbym zacząć swoje życie od nowa.

- Z powrotem do łona matki, co? - zaśmiała się Ann.

Zorientował się, że nie czuje się najlepiej. Musi zdać z tego raport w Instytucie; w tej gmatwaninie początku świata można było postradać zmysły. Nie mógł się zdobyć na to, by odpowiedzieć Ann na jej pytanie, zmierzyć się z jej sugestią. Westchnął ciężko i ruszył w stronę namiotu. Pociągnął jedną z linek, by zburzyć konstrukcję, która runęła na ziemię seria pojedynczych wstrząsów. Nigdy nie obserwował tego procesu, jednak teraz jakiś głos, który słyszał w środku, dopowiedział do niego komentarz, upodabniając zawalający się namiot do rozczarowanego łona, z którego, szczęśliwie, udało się wydostać dziecku.

Spokojnie zaczął składać namiot. Dziewczyna obserwowała go, jak wyjmuje swoją poranną rację i przygotowuje się do śniadania. Każdy z mentalnych podróżników wyposażony był w podstawowy zestaw pożywienia, oszczędny do granic, jednak łatwy w przygotowaniu. Bush uzupełniał swoje zapasy już kilka razy u przyjaciela, który prowadził niewielki sklep w jurze, a także u innych mentalnych, którzy wcześniej, nie mogąc znieść ciszy, wynurzali się na powierzchnię ich teraźniejszości.

Kiedy nad rondlem z wywarem z wołowiny zaczęła unosić się para, Bush podniósł głowę i napotkał wzrok dziewczyny.

- Masz ochotę się do mnie przyłączyć?

- Skoro jesteś tak łaskawy... - usiadła przy nim, wyciągając nogi. Uśmiechała się. Jest wdzięczna nawet za moje kiepskie towarzystwo, pomyślał.

- Nie miałam zamiaru cię urazić! Jesteś tak samo drażliwy jak Stein.

- Kim jest Stein?

- To ten stary od gangu. Farbowane włosy, kumasz? Rozmawiałeś z nim. Podaliście sobie ręce.

- A, tak, Stein! Jak ty i Lenny wpadliście na niego?

- Ktoś chciał go pobić, a Lenny i chłopcy przyszedli mu z pomocą. Jest potwornie nerwowy. Kiedy zobaczył cię po raz pierwszy, mówił, że możesz być szpiegiem. On jest z 2093 i twierdzi, że dzieją się tam niedobre rzeczy.

Bush nie miał ochoty myśleć o 2093 i ponurym świecie, w którym żyją jego rodzice. Powiedział:

- Czyżby Lenny miał też swoje dobre strony?

W odpowiedzi skinęła głową, jednak widział, że jej myśli zaprzęta co innego.

- Stein przestraszył mnie tym, co mówił na temat podróży mentalnych; powiedział, że Wenlock może się mylić co do nich i tak naprawdę, to może wcale nas tu nie ma, czy coś w tym stylu. Powiedział, że coś złowrogiego czai się w submentalności i, wbrew zapewnieniom Instytutu Wenlocka, nikt jej jeszcze nie zbadał do końca.

- To wciąż była nowość. Koncepcja submentalności pojawiła się w 2073, a pierwsze mentalne podróże odbyły się dwa lata później, więc może jeszcze jest coś do odkrycia w tym względzie, chociaż trudno powiedzieć, co mogłoby to być. Co Stein wie na ten temat?

- Może po prostu gadał bez sensu, bo chciał zrobić na mnie wrażenie.

- Pozwoliłaś mu... to znaczy... spałaś z nim?

- Zazdrosny? - uśmiechnęła się triumfująco.

- A co chciałabyś usłyszeć?

Wpatrywali się w siebie intensywnie. Widział, jak życie łśni w jej środku, za szybą jej twarzy. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Zdjęła dymiący wywar z ognia i powiedziała:

- Już chyba mam dosyć tej epoki. Co powiedziałabyś na to, żebyśmy przenieśli się razem do jury?

- Czy Lenny i jego banda też się tam wybierają?

- I co z tego? To przecież czterdzieści sześć milionów lat do wyboru...

- Fakt. A co chciałabyś tam robić? Oglądać braci mięsożerców?

Rzuciła mu przebiegłe spojrzenie.

- Moglibyśmy oglądać ich razem.

Przeszył go dreszcz podniecenia. Przesunął dłonią po jej udzie opiętym delikatnym skórzanym materiałem.

- Zabiorę się z tobą.

Wypili wywar. Bush był zły na siebie za to, że wplątał się w związek z tą dziewczyną; mogła zakłócić jego mentalną równowagę. Była świetna w łóżku i niegłupia, jednak nie

przywykł do tego, by budować kontakt z ludźmi na podstawie wyodrębnionych z całości elementów. Wiedział, że nie uda mu się odkryć pełni jej osobowości. Prawdopodobnie nie był też odpowiednią osobą do tego, by pomagać jej samej w dotarciu do tej pełni. Przytuliła się do niego.

- Boję się samotnych podróży mentalnych, dlatego potrzebuję kogoś do towarzystwa. Moja matka nie zdecydowałaby się na taką podróż nawet, jeśli miałaby ona ocalić jej życie! Podejrzewam, że ludzie z jej pokolenia nigdy się na to nie zdobędą. Chciałabym móc się cofnąć w niedaleką przeszłość, tylko jedno pokolenie wstecz, żeby móc zobaczyć mego staruszka, jak podrywa moją matkę, a później się z nią kocha. Dam głowę, że spieprzyli to tak dokładnie, jak wszystko inne!

Kiedy nic nie odpowiadał, szturchnęła go łokciem.

- No, powiedz coś! Nie chciałbyś zobaczyć swoich rodziców w akcji? Nie jesteś chyba tak sztywny, na jakiego pozujesz, co? Przyznaj, że chciałbyś!

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz.

- Daj spokój, na pewno chciałbyś to zobaczyć!

Bush zaprzeczył ruchem głowy.

- Te dane dotyczące moich rodziców, które już posiadam, w zupełności mi wystarczą i nie mam potrzeby uzupełniania ich tego typu informacjami. Podejrzewam jednak, że większość podziela twoje poglądy. W zeszłej dekadzie, to znaczy w 2080, dr Wenlock przeprowadził ankietę, która wykazała, jak silne u mentalnych podróżników są zapędy kazirodcze. To coś, co istnieje niejako poza predyspozycjami do sięgania w przeszłość. Odkrycia te pokrywają się z wcześniejszymi poglądami psychoanalityków dotyczącymi natury ludzkiej.

Współczesne teorie mówią o tym, że początek gatunku homo sapiens to moment, w którym wprowadzono zakaz endogamii - zwyczaju zakazującego zawierania związków poza rodziną. Egzogamia była pierwszym bolesnym krokiem w rozwoju człowieka. U żadnych innych zwierząt nie ma zakazu endogamii.

- A po co to komu! - wykrzyknęła Ann.

- Człowiek doszedł do tego wszystkiego, o czym wiemy, czyli zapanował nad swoim środowiskiem, jednak przepaść między nim a jego naturą, mam na myśli prawdziwą naturę ludzką, stawała się coraz większa. Zwolennicy teorii Wenlocka twierdzą, że submentalność to nasza pierwotna natura. Ponadmentalność jest późniejszą naleciałością homo sapiens, dynamem o niesamowitej mocy, którego główną funkcją jest kontrolować czas i tłumić te nieszczęsne zwierzęce instynkty submentalności. Ekstremiści twierdzą nawet, że upływ czasu to wymysł ponadmentalności.

Możliwe, że wcale go nie słuchała. W pewnym momencie powiedziała:

- Wiesz, dlaczego cię wczoraj śledziłam? Miałam nieodparte wrażenie, że znaleźliśmy się w przeszłości.

- Pamiętałbym cię!

Zaśmiała się.

- Być może to po prostu jedna ze sztuczek mojej submentalności. W każdym razie to, co mówiłeś, było naprawdę bardzo interesujące. Podejrzewam, że wierzysz w to wszystko, prawda?

- Ty w to nie wierzysz? - zaśmiał się. - Przecież jesteśmy w dewonie, czyż nie?

- Jeśli rzeczywiście submentalność kontroluje nasze podróże, a musimy pamiętać, że ma świra na punkcie kaziroduktwa, to powinniśmy być w stanie przenieść się do najbliższej przeszłości, czyli na przykład do początków naszego stulecia i zobaczyć, jak grzeszą nasi dziadkowie. To dopiero byłoby interesujące. Dużo łatwiej jest jednak cofnąć się tutaj, do początków świata, niż do czasów, w których już istnieli jacyś ludzie. Dla większości z nas to niewykonalne.

- To prawda, jednak jeszcze nie dowodzi twojej racji. Jeśli wyobrazisz sobie czasoprzestrzeń jako olbrzymią krzywą entropii z rzeczywistą terażniejszością, zawsze w najwyższym punkcie energetycznym, a najdalszą przeszłością w punkcie najniższym, to w momencie, gdy nasze umysły uwolnią się od upływającego czasu, zsuną się w dół, do najniższego punktu, a im bliżej szczytu będą się znajdować, tym podróż będzie trudniejsza.

Ann nic nie odpowiedziała. Bush podejrzewał, że zamknęła się na temat, uznając go za niemożliwy do dyskusji, jednak po chwili odezwała się:

- Pamiętasz, jak mówiłeś o prawdziwej mnie, kochającej i dobrej? Załóżmy, że to prawda i ktoś taki faktycznie istnieje. Jeśli tak, to gdzie się ta osoba znajduje, w mojej ponad - czy submentalności?

- Zakładając, jak podkreśliłaś, że ona istnieje, musi być amalgamatem jednego i drugiego. Nic, co jest tylko częścią pełni, nie może być pełnią.

- Znowu zaczynasz teologizować, tak?

- Możliwe.

Roześmiali się oboje. Bush czuł się niemal szczęśliwy. Uwielbiał dyskutować, szczególnie gdy dyskusje dotyczyły tematu jego obsesji, czyli struktury umysłu.

Jeśli mieliby wyruszyć w podróż, moment był odpowiedni. Oboje byli w miarę spokojni. Mentalne podróżowanie nigdy nie było proste, a wszelkie stany pobudzenia emocjonalnego utrudniały przejście.

Spakowali torby i zarzucili je na plecy. Przywiązali się do siebie, ramię przy ramieniu; w innym wypadku nie mieliby gwarancji, że nie wylądują oddaleni od siebie o kilkaset mil lub kilka milionów lat.

Otworzyli opakowania z narkotykiem. CSD miało postać małych, prawie przezroczystych ampulek. Na tle szerokiego nieba paleozoiku ampulka Busha mieniła się na zielono, gdy obracał ją w palcach, badawczo się jej przyglądając. Spojrzeli na siebie; Ann skrzywiła się i jednocześnie połknęli specyfik.

Bush czuł, jak kryptoiczny kwas spływa po jego gardle. Płyn był symbolem hydrosfery, winem ofiarnym reprezentującym oceany, z których przyszło życie, oceany wciąż szemrzące w arteriach człowieka, oceany, które sprawiały, że świat możliwy był do zamieszkania, które kształtowały klimat i dostarczały pożywienia. Oceany - krew biosfery.

On sam był biosferą. Zawierał w sobie skamieniałe życie i myśli jego przodków, inne formy istnienia, niezliczone i niewypowiedziane możliwości, życie i śmierć.

Stanowił analogię świata; dzięki CSD mógł przechodzić z jednej formy w drugą.

Tylko w stanie przejściowym, podczas działania narkotyku, można było uchwycić naturę minimalnych zakłóceń w przepływie energii systemu słonecznego, który stanowił jedynie kroplę w morzu sił kosmosu, był częścią metastruktury; bezgranicznej a jednak skończonej zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Ten, tak banalny, fakt był ogromnym zaskoczeniem dla człowieka, który odciął się od kosmosu, starał się chronić swój umysł przed jego ogromem, tak jak jonosfera wokół Ziemi chroni nas przed szkodliwym promieniowaniem Słońca. Człowiek, chcąc nadać wszechświatowi formę możliwą do ogarnięcia, stracił świadomość jego ogromu, bronił się przed nim poprzez koncepcje o przemijalności czasu; pociął go na drobne fragmenty, z którymi mógł sobie bez trudu poradzić, zamknął go w zegarach słonecznych, klepsydrach, chronometrach. W rezultacie czas kurczył się i kurczył, z pokolenia na pokolenie był coraz bardziej precyzyjny, aż wreszcie obsesyjna natura tego procederu wyszła na jaw, a Instytut Wenlocka zdemaskował spisek.

Ten spisek był jednak konieczny. Bez niego człowiek, wystawiony na łaskę lub niełaskę wrogiej pustyni czasoprzestrzeni, wciąż zamieszkiwałby między zwierzętami, błakając się wśród plemion, gdzieś na obrzeżach przyszłych oceanów czwartorzędu. Tak mówi teoria. Przynajmniej jednak wiadomo, że istniał tego rodzaju spisek.

Teraz nie było już żadnej ochronnej tarczy. Zawiłości mózgu przestały być tajemnicą dla istniejącego równolegle wszechświata, który pochłaniał wszystko, co napotkał na swojej drodze.

Podróż mentalna trwała zaledwie chwilę. Pozornie wydawała się czymś

nieskomplikowanym, jednak wymagała rygorystycznego przygotowania. Kiedy CSD przejął kontrolę nad ich metabolizmem, Bush i Ann musieli zastosować się do procedur ustalonych przez Instytut, które umożliwiały im przekraczanie ograniczeń ludzkiego umysłu. Dewon rozpływał się na ich oczach, przybierając postać kroczącego monstrum o pewnych cechach przestrzennych pełniących rolę szkieletu zewnętrznego. Bush otworzył usta, chcąc się zaśmiać, jednak nie zdołał wyprodukować żadnego dźwięku. W podróży człowiek tracił niemal całą fizyczność. Wszystko, z wyjątkiem poczucia kierunku, wydawało się rozmywać. Droga do „teraźniejszości” była jak płynięcie pod prąd; dryfowanie w kierunku najbardziej odległej przeszłości było stosunkowo łatwe i prowadziło w rezultacie do śmierci z braku powietrza, o czym wielu miało okazję się przekonać. Gdyby płód przebywający w łonie matki posiadał umiejętność mentalnego podróżowania, stanąłby przed podobnym wyborem: albo brnąć ku momentowi klimaksu, którym są narodziny, albo, nie opierając się, powrócić do stanu nieistnienia.

Nie wiedział, jak długo trwała podróż, nie czuł też swego pulsu, który mógłby mu służyć za chronometr. Pograżony w dziwnym, hipnotycznym stanie, miał jedynie poczucie, że znajduje się blisko rzeczywistości, która wydawała się nosić znamiona zarówno boskie, jak i ziemskie. Po raz kolejny próbował się roześmiać.

Śmiech uwiązał mu w gardle. Poczł, jak unosi się w powietrzu. Wieki przetaczały się pod nim niczym noc. Dotarła do niego świadomość dyskomfortu spowodowanego tym, że miał przy sobie towarzystwo i wtedy, nagle, roztoczył się dookoła nich ciemnozielony świat. Byli w kolejnej rzeczywistości.

Rzeczywistości jurajskiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pub „Owodniowe Jajo”

Bush nigdy nie przepadał za okresem jurajskim, za jego upałem i niebem zaciągniętym ciężkimi chmurami. Przypominał mu pewien potwornie długi i nieszczęśliwy dzień z jego dzieciństwa, kiedy przyłapany na jakichś zupełnie niewinnych igraszkach, został zamknięty w ogrodzie przez matkę i musiał tam tkwić do późnego wieczora. Tamten dzień był równie pochmurny, a powietrze tak gęste od upału, że motyle z trudem wzbijały się ponad poziom wyznaczony pąkami kwiatów.

Ann uwolniła się z więzów, którymi spętali się przed podróżą i przeciągnęła się. Zmaterializowali się za martwym drzewem. Jego nagie, lśniące konary zdawały się wskazywać na dziewczynę w milczącym wyrzucie; Bush po raz pierwszy zauważył, jak niechlujnie wyglądała i zastanawiał się dlaczego fakt, że jest tak zaniedbana i brudna, zupełnie nie wpływa na to, co do niej czuje - jakkolwiek by to nazwać.

Ruszyli naprzód bez słowa. Byli kompletnie zdezorientowani, co było naturalnym zjawiskiem po podróży mentalnej. Nie istniał żaden racjonalny sposób na to, by określić, chociaż w przybliżeniu, czas i miejsce, w którym się znaleźli; jednak irracjonalna część submentalności wiedziała i stopniowo sączyła tę wiedzę. W końcu przecież to ona ich tutaj doprowadziła, kierowana sobie tylko znanymi pobudkami.

Znajdowali się na wzgórzach rozciągających się u podnóża gór porośniętych gęstą puszczą, od połowy spowitych ciężkimi chmurami. Krajobraz był zupełnie nieruchomy, a liście na drzewach wydawały się być pogrążone w głębokim mezozoicznym śnie.

- Lepiej zejdźmy na równinę - powiedział Bush. - Myślę, że to jest miejsce, o którym myśleliśmy. Mam tu zaprzyjaźnioną rodzinę - nazywają się Borrow's.

- Chcesz powiedzieć, że tutaj mieszkają?

- Prowadzą tu sklep. Roger Borrow był niegdyś artystą. Jego żona to bardzo miła kobieta.

- Myślisz, że ich polubię?

- Nie sądzę.

Bush ruszył pierwszy. Nie wiedział, co tak naprawdę czuje do Ann, lecz był przekonany, że przedstawienie jej Rogerowi i Ver wpłynie na umocnienie relacji, na jaką nie miał ochoty. Dziewczyna obserwowała go przez chwilę, po czym podążyła za nim. Jura była najnudniejszym miejscem w czasie, jakie kiedykolwiek powstało i zdecydowanie nie nadawała się do samotnych podróży.

Prawie cały dzień zajęła im droga w dół. Nie było to łatwe zadanie, gdyż grunt, który wyczuwali pod stopami, był dla nich zupełnie niewidoczny. Ich fizyczność została zredukowana do zjaw oddzielonych od świata zewnętrznego, niezdolnych, w najmniejszym choćby stopniu, wpłynąć na rzeczywistość wokół nich, nawet kopnąć niewielkiego kamyczka. Jedynie dzięki konwerterom powietrza, za pomocą których zaopatrywali się w tlen znajdujący się za niewidzialną ścianą czasowej entropii, byli w stanie wszczepić się jakoś w tę rzeczywistość. Poziom podłóża, po którym stąpali, znajdował się czasami poniżej „umownego” poziomu tak, że brnęli po kolana w ziemi, innym razem zaś chodzili w powietrzu.

W lesie natomiast byli w stanie przechodzić przez drzewa. Niektóre z nich stawiały opór. Odczuwali to tak, jakby próbowali brnąć przez galaretowatą breję i wtedy zmuszeni byli obchodzić ją dookoła. Drzewa takie prawdopodobnie musiały być bardzo stare, jeśli mogły stanowić przeszkodę na ich drodze.

Kiedy przerwali marsz, dzień chylił się już ku zachodowi. Bush rozbił namiot. Zjedli wspólnie kolację, po czym rozpoczęli przygotowania do snu. Bush postarał się, by akt wieczornej toalety nie przeszedł niezauważony.

- Nigdy się nie myjesz? - zapytał.

- Czasami. Ty pewnie robisz to dla przyjemności?

- A kto nie?

- Mnie sprawia przyjemność bycie brudną.

- To pewnie jakaś odmiana neurozy.

- Pewnie tak. Poza tym to zawsze doprowadza takich czyścioszków jak ty do pasji.

Usiadł przy niej i spojrzał jej w oczy.

- Naprawdę lubisz denerwować ludzi, co? Myślisz, że to dla nich dobre? A może dobre dla ciebie?

- W pewnym momencie miałam chyba dosyć zabiegania o to, by ich zadowolić.

- Zawsze myślałam, że nie ma nic łatwiejszego.

Później, kiedy wracał myślami do tej rozmowy, wyrzucał sobie, że nie poświęcił jej wtedy więcej uwagi; niewątpliwie był to jakiś trop na drodze do zgłębienia osoby Ann i wskazówka, jak najlepiej ją traktować. Do tego czasu jednak, gdy doszedł do wniosku, że mimo całej jej uszczypliwości, można się z nią było porozumieć bez problemu, dziewczyny już nie było.

Popełnił błąd, nagabując ją i to po tak ciężkim dniu, przez który przeszła bez narzekania; nawet Kobieta Cień opuściła swój posterunek.

Kiedy się obudził następnego ranka, Ann wciąż spała. Wyczołgał się z namiotu, by

popatrzeć na jurajski świt. To było jak sen - olbrzymia, wypełniona po brzegi przestrzeń. Sen, który trwał miliony lat. Milion lat... w kontekście wartości, jakich człowiek mógł doznać jednego dnia, milion lat był zupełnie nieistotny, bardziej trywialny niż sekunda. Tak samo żaden z tych świtów nie miał nawet części tego znaczenia, jakie miała jedna, najbardziej błaha uwaga Ann.

Kiedy składali obóz, po raz kolejny zapytała go, czy zamierza umieścić ją na swoim obrazie. Bush cieszył się z każdego zainteresowania swoją pracą.

- Szukam nowego tematu. Moja świadomość jest trochę zdezorientowana tą zupełnie nową strukturą czasu, a chciałbym ją odzwierciedlić najlepiej jak potrafię w mojej pracy, bez konieczności zamykania jej w czymś, co byłoby tylko ilustracją, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Jednak nie mogę zacząć, nie mogę nawet zacząć zaczynania. Czuję się zupełnie sparaliżowany.

- Umieścisz mój portret w swojej instalacji?

- Przecież ci powiedziałem, że nie. Instalacje nie składają się z portretów konkretnych ludzi.

- W takim razie są abstrakcjami, jeśli dobrze rozumię.

- Nie wiesz nic o J.M. Turnerze, prawda? Od jego czasów - a żył w połowie ery wiktoriańskiej - znane są metody techniczne, umożliwiające odzwierciedlanie form natury. Abstrakcje są odzwierciedleniem idei; mimo wszystkich inteligentnych komputerów, tylko człowiek jest w stanie stworzyć coś takiego.

- Uwielbiam projekcje komputerowe.

- A ja ich nie cierpię. Moje przestrzenno-kinetyczne instalacje mają na celu... oddają ducha chwili, epoki. Kiedyś pracowałem na szkle - wtedy wszyscy odbierali PKI inaczej, każdy widział je przez pryzmat siebie, swoich cech, które się tam odbijały. Tak właśnie postrzegamy wszechświat. Nic takiego jak obiektywne spojrzenie nie istnieje - myślałaś kiedyś o tym? Nigdy nie będziemy wolni od siebie samych w postrzeganiu świata.

- Jesteś wierzący?

Potrząsnął przecząco głową i powoli podniósł się z ziemi. Wzrok miał utkwiony w jakimś niewidocznym punkcie.

- Chciałbym być. Mój ojciec, dentysta, jest wierzącym człowiekiem... Był taki czas, kiedy byłem niezmiernie kreatywny i tryskałem pomysłami. To wtedy stworzyłem swoje najlepsze instalacje. Miałem wtedy wrażenie, że tkwi we mnie częśćka Boga.

Na wspomnienie o Bogu, nagle oboje stali się bardzo zachowawczy. Bush pomógł dziewczynie wstać, po czym, nadając głosowi szorstki, formalny ton, zapytał:

- Więc nie znasz prac Turnera?

- Nie.

W ten sposób zamknęli rozmowę.

Dopiero po południu, kiedy już zeszli ze wzgórza, zauważyli w dolinie pierwsze żywe stworzenia. Bush instynktownie schował się za drzewem, by móc je bez przeszkód obserwować, po czym zdał sobie sprawę, że przecież dla tych stworzeń jest zupełnie niewidoczny i wyszedł na otwartą przestrzeń. Ann podążyła w ślad za nim.

Osiemnaście stegozaurów kłębiło się w dolinie. Samiec był gigantyczny, miał około dwudziestu stóp wysokości i był okrągły jak beczka. Jego kolczasty pancerz sprawiał, że wydawał się być jeszcze większy niż w rzeczywistości. Ogromne łuski ciągnące się wzdłuż jego kręgosłupa miały kolor zgniłej zieleni a reszta pancerza była ogniście pomarańczowa. Pochłonięty był konsumpcją liści, jednak jego okrągłe oczy wciąż bacznie obserwowały teren.

Były przy nim dwie samice; mniejsze i o delikatniejszych pancerzach. Jedna z nich była szczególnie atrakcyjnie ubarwiona: łuski kręgosłupa miała w takim samym kolorze jasnej żółci, co podbrzusze.

Dookoła tej trójki biegało piętnaścioro młodych; najprawdopodobniej nie miały więcej niż parę tygodni. Bush i Ann bez obaw weszli w sam środek tego kłębowiska. Młode stegozaury, nieskrępowane jeszcze ciężkimi pancerzami, brykały niczym owieczki wokół swoich matek, czasami stawały na tylnych nogach, to znowu przeskakiwały przez kolczaste ogony rodziców.

Dwoje ludzi stało pośrodku tego stada, obserwując igraszki młodych gadów.

- Może to dlatego wyginęły - powiedziała Ann. - Tak zawzięcie skakały przez ogony matek, że w rezultacie wszystkie wylądowały na ich ostrych kolcach.

- Teoria równie dobra jak każda inna.

Bush zauważył intruza; w gąszczu nieopodal obserwowało ich jakieś zwierzę. Bush chwycił Ann za rękę i skierował jej uwagę w miejsce, z którego w tym samym momencie wynurzył się kolejny stegozaur; samiec, mniejszy i prawdopodobnie młodszy niż przywódca stada. Jego ogon kołysał się energicznie i złowrogo.

Samice i młode zdawały się ignorować intruza i kontynuowały wcześniej rozpoczęte czynności. Przywódca jednak ruszył niezwłocznie naprzód, by rozprawić się z przybyszem; został wyzwany na pojedynek, którego wynik miał zadecydować o pozycji w stadzie.

Samce ruszyły ku sobie i w pędzie zderzyły się potężnymi głowami. Dla ludzkiego ucha uderzenie było zupełnie bezgłośnie. Olbrzymie bestie stały przez chwilę nieruchomo, próbując otrząsnąć się z szoku, po czym ponownie przeszły do natarcia. Kiedy były już blisko, rzuciły się

na siebie, używając ogonów jako równoważni, nie zaś jako broni. Otwarte pyski ukazywały małe, ostre zęby. Ta zacięta walka zupełnie nie wzbudziła zainteresowania reszty stada.

Samce siłowały się ze sobą. Ich kończyny uginały się coraz bardziej, a wielkie, niezgrabne cielska prawie dotykały ziemi. Starszy wygrywał, co z pewnością ułatwiała mu większa masa. Nagle intruz cofnął się o krok. Przywódca stada niemal runął na niego. Intruz odwrócił się ku samicom i zastygł na moment z otwartą paszczą, po czym powłókł się w stronę pobliskiego gąszczu i nie pojawił się więcej.

Po kilku triumfalnych parsknięciach, zwycięzca wrócił do swoich samic. Spojrzały na niego i po chwili wznowiły swoje monotonne przeżuwanie.

- Niewiele je obchodzi to, co się z nim stanie - powiedział Bush.

- Zdążyły się już pewnie do tej pory zorientować, jak niewielka jest różnica między tym czy innym samcem.

Posłał jej groźne spojrzenie. Uśmiechała się. Złagodniał i odwzajemnił jej uśmiech.

Kiedy wyszli z doliny, ich oczom ukazała się szeroka panorama równiny z meandrującą rzeką. Milę lub dwie dalej zaczynał się pas wielkich lasów. Namiot Borrowsov umieszczony w występie skalnym, jak i inne ślady ludzkiej bytności, znajdował się na wyciągnięcie ręki.

- Przynajmniej będziemy mogli się czegoś napić - powiedziała Ann, gdy zbliżali się do obozowiska.

- Idź pierwsza. Chcę tu jeszcze przez chwilę postać i porozmyślać.

Jego umysł wciąż był zaprzątnięty incydentem z dinozaurami. Nie dawał mu spokoju. Ze względów moralnych? Rzadko zdarzało się, żeby dwóch mężczyzn spierających się o kobietę miało w sobie tak niewiele żądy zemsty, jak tamte wegetariańskie monstra. Ze względów estetycznych? Kto był w stanie zdefiniować piękno w inny sposób, niż kierując się subiektywnymi predyspozycjami? Tak czy inaczej, w tej ogromnej kolumnie kręgosłupa, która strzelała w górę od miednicy a w dole kończyła się spiczastym ogonem, tkwiła jakaś niezgłębiona logika. Względy intelektualne? Pomyślał o Lennym i przypomniał sobie żwawe gadzie potomstwo, tak świadome swoich zmyślnych ruchów.

Rozsiadł się na kamienistym podłożu i obserwował, jak Ann oddala się od niego. Opanował impuls sięgnięcia po liść z pobliskiego drzewa; tutejsza roślinność była fizycznie nieosiągalna dla jego widmowych palców.

Jedną z najciekawszych konsekwencji podróży mentalnych było dużo mniejsze, niż we „właściwym” wymiarze czasowym, natężenie światła, czego efekty odczuwali wszyscy mentalni. Postać Ann, mimo że oddalona tylko o parę metrów, pogrążona była w głębokim mroku. Pomalowany na biało bufet Borrowsov zdawał się być jeszcze bardziej ponury. Były tu

też inne cienie, które nie tyle potęgowały ponurość tego miejsca, co budowały atmosferę grozy. Borrow osiedlił się w okolicy dość popularnej wśród podróżników w czasie. Następne pokolenia mentalnych również będą się gromadzić w tym miejscu, które w końcu przeobrazi się w miasto - prawdopodobnie pierwsze miasto jurajskie. Wszędzie można było dostrzec znaki wskazujące na jego przyszły sukces; majaczące zarysy budynków oraz cienistych ludzkich postaci - bardziej szarych i zamglonych, jako że jeszcze odległych w czasie.

Bush siedział przy budowli dużo wyższej niż klasyczne namioty jego generacji. Jej spadzisty dach był tak przezroczysty, że można było przez niego oglądać rozpościerający się w oddali dziki krajobraz, a sam pomysł konstrukcyjny został prawdopodobnie zaczerpnięty z czasów sięgających parę wieków w przyszłość od współczesnych Bushowi. Te istoty przyszłości rozwiązały wiele problemów, nad którymi głowiono się we wczesnym okresie podróży mentalnych: przykładowo, transport ciężkich materiałów czy zakładanie instalacji elektrycznych. Przyszłość przeniosła się wraz ze swoimi wynalazkami do zamierzchłej przeszłości, a jedyne, co mógł zrobić Bush, to rozbić się tu i obozować na wzór dzikich. Rozwiązany też został problem ścieków; generacja Busha dość bezkrytycznie podchodziła do problemu ekskrementów, zostawiając je po sobie od plejstocenu do kambru, bez szczególnej wiary w to, że kiedykolwiek zmienią się w koprolity.

Z tego budynku przyszłości wylinali się ludzie. Ich przezroczyste niemal postaci rysowały się w powietrzu niczym mgła i nie można się było zorientować, czy to mężczyźni, czy kobiety. Bush miał dziwne wrażenie, że ich oczy były jaśniejsze niż powinny. Nie mogli go widzieć wyraźniej niż on ich, jednak poczucie, że jest się obserwowanym, było mało komfortowe. Odwrócił wzrok ku równinom, by po chwili zorientować się, jak gęsto usiane są widmami przyszłości. Przez jego ciało przeszły fantasmagoryczne postaci dwóch mężczyzn zaabsorbowanych rozmową, z której nawet decybel nie przedostał się przez barierę dzielącą ich czasowej entropii. Spozrzegł, że Kobieta Cień znowu była przy nim; ciekawe co myślała o Ann. Była duchem, jednak na pewno miała jakieś uczucia, gdzieś tam, w swojej przyszłości. Cała czasoprzestrzeń wypełniała się powoli ludzkimi uczuciami. Pomyślał o Monecie. Staruszek miał rację, że koncentrował się na liliach wodnych; mogły zarosnąć staw, jednak nigdy nie rozprzestrzeniały się dalej, na brzeg czy okoliczne drzewa.

Przypomniał sobie, że przecież Borrow był kiedyś malarzem. Tak, to był odpowiedni człowiek do rozmowy. Był wprawdzie dość gruboskórnym człowiekiem, jednak czasami potrafił być zabawny.

Podniósł się z ziemi i skierował w stronę siedziby swego przyjaciela. Zorientował się, że Borrow poczynił spore ulepszenia. Zamiast pary namiotów stały trzy, a dwa były całkiem

pokaźnych rozmiarów. Pierwszy był czymś w rodzaju punktu sprzedaży towarów wszelkiego gatunku, drugi pełnił rolę baru, trzeci zaś - kawiarni. W górze, ponad owymi zabudowaniami, Borrow i jego żona zawiesili wielki napis: JAJO OWODNIOWE.

Z każdej strony wznosiły się kompleksy budynków w przeróżnych stylach architektonicznych. Nad niektórymi z nich również widniały szyldy z nadrukiem JAJO OWODNIOWE. Każda budowla, w zależności od tego, jak daleko w przyszłość wysunięty był czas jej zaistnienia, była na innym etapie cienistości. To właśnie te cienie, które były widocznymi omenami sukcesu, zachęciły Borrowów do założenia interesu, który, o paradoksie, prosperował fantastycznie.

- Podwójne jajo owodniowe i frytki - powiedział Bush i skierował się do kafejki.

Ver stała za barem. Trochę posiwiiała od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Teraz miała pewnie koło pięćdziesiątki. Uśmiechnęła się na jego widok i wyszła zza kontuaru, by uścisnąć mu rękę. Poczuł, że jej dłoń jest dziwnie szklista; każde z nich przeniosło się do przeszłości w trochę innym czasie; z tego samego powodu jej twarz była bardziej szara niż w rzeczywistości. Nawet jej głos docierał jakby z oddalenia, sączył się przez ciekłą barierę czasową. Kiedy zobaczył, jak wyglądają napoje i przekąski, wiedział, że będą miały taką samą „szklistą” jakość i przewidywał długi czas ich trawienia.

Kiedy już wymienili pierwsze żartobliwe złośliwości, Bush stwierdził:

- Interes kręci się fantastycznie.

- Założę się, że nie masz pojęcia, co to jest owodniowe jajo - odparła Ver. Rodzice ochrztili ją Verbena, jednak ona wolała skrót.

- Znaczy pewnie tyle, co świetny interes. Mylę się?

- Staramy się utrzymać ciało i duszę w harmonii. A jak ty się trzymasz, Eddie? Fizycznie wyglądasz w porządku - a dusza?

- Wciąż mam przez nią problemy. - Całkiem dobrze się znali w czasach, kiedy on i Borrow byli jeszcze zapalonymi malarzami. Dawno temu nawet się z nią przespał, raz czy dwa. To było jeszcze, zanim Roger zaczął się nią poważnie interesować. Sporo czasu minęło od tych wydarzeń - jakieś sto trzydzieści milionów lat. Czy to było sto trzydzieści milionów wstecz, czy do przodu? Czasami przeszłość i przyszłość mieszały się ze sobą, zdając się płynąć w odwrotnych niż zwykle kierunkach. - Nie dostaję od niej tak wielu sygnałów jak dawniej, a te, które do mnie docierają, nie są dobre.

- Nie można tego zoperować?

- Lekarze mówią, że to nieuleczalne. - Niesamowite było to, że w rozmowie z tą kobietą mógł pozwolić sobie na trywializację tak podniosłych tematów. - Skoro mówimy o sprawach

nieuleczalnych, to co u Rogera?

- W porządku. Jeśli chcesz się z nim zobaczyć, siedzi na zewnątrz. Wciąż robisz instalacje?

- Obecnie znajduję się w fazie przejściowej. Jestem... cholera, Ver, jestem totalnie zagubiony. - Mógł jej powiedzieć nawet więcej; była jedyną kobietą, która pytała o jego pracę ze szczerym zainteresowaniem.

- Okresy suszy są czasami potrzebne. Zupełnie nic nie robisz?

- Namalowałem kilka obrazów, kiedy byłem ostatnio w 2090. Dla zabicia czasu. Psychologowie nazywają to strukturalizacją czasu, która zgodnie z istniejącymi teoriami, jest największym wyzwaniem dla człowieka. Wszystkie wojny są zaledwie częściowym rozwiązaniem tego problemu.

- Wojna stuletnia jest chyba sporym sukcesem w takiej sytuacji?

- Dokładnie. Dzięki niej całą sztukę, muzykę i literaturę można było wrzucić do jednego worka; Leara, Pasje św. Mateusza, Guernikę... Chyba pójde poszukać Rogera.

Wymienili uśmiechy. Bush wyszedł na zewnątrz. Po raz pierwszy - a może myślał tak już wcześniej, tylko o tym zapomniał? - poczuł, że Ver jest bardziej interesującą osobowością niż jej mąż.

Borrow krzątał się na zewnątrz w szarym świetle dnia. Tak jak jego żona miał tendencję do tycia, jednak wciąż ubierał się z nieskazitelnym smakiem, z wyczuwalną nutką dandyzmu. Wyprostował się na widok Busha i wyciągnął rękę w powitalnym geście.

- Nie widziałem cię chyba z milion lat, Eddie. Jak życie? Czy rekord najkrótszej podróży mentalnej nadal należy do ciebie?

- O ile mi wiadomo, tak. A co u was?

- W którym roku najbliższej współczesności wylądowałeś?

- Byli tam ludzie. - Nie widział sensu w pytaniach przyjaciela.

- Całkiem nieźle. Mógłbyś to jakoś umiejscowić w czasie?

- To był któryś z okresów epoki brązu. - Wszyscy mentalni byli niesamowicie podekscytowani tym, że w miarę jak następował rozwój tej dyscypliny, rosło prawdopodobieństwo możliwości podróżowania do czasów historycznych. Kto wie, może pewnego dnia będzie można przebić się przez barierę entropii i przenieść się w przyszłość?

Borrow poklepał Busha po plecach.

- Świetnie! Któregoś dnia odwiedził nas facet, który twierdził, że udało mu się przenieść do epoki kamienia. Pomyślałem sobie, że to niezły wynik, jednak ty wciąż jesteś najlepszy.

- Tak... Mówią, że do tego, by dojść tak daleko jak ja, trzeba mieć odpowiednio rozchwianą osobowość.

Spojrzeni sobie w oczy. Borrow niemal od razu spuścił wzrok. Możliwe, iż przypomniał sobie, że Bush nie cierpi, kiedy się go dotyka. Ten drugi, żałując swego nagłego wybuchu, wysilił się na przyjazny ton.

- Dobrze was znowu zobaczyć. Wygląda na to, że Owodniowe Jajo przynosi spore zyski. Poza tym znowu malujesz! - Zauważył, jak Borrow składał sztalugi. Zatrzymał się i delikatnie podniósł jedną z nich.

Dziewięć tablic. Przeglądał je po kolei z rosnącym zdziwieniem.

- Widzę, że powróciłeś do starych upodobań.

- Obawiam się, że wchodzę na twoje terytorium, Eddie.

To jednak nie były klasyczne instalacje. W pewnym sensie wydawały się czerpać z dawnych wzorców, jak Gabo czy Pevsner, jednak z zastosowaniem nowych materiałów, z jednej strony delikatnych, z drugiej ciężkich i złożonych; efekt był uderzająco świeży.

Wszystkie dziewięć tablic było wariacjami tego samego tematu. Bush zauważył, że powleczone zostały pleksą i szkłem, a wkomponowane w całość, wirujące fragmenty metalu, były utrzymywane w odpowiedniej pozycji przez elektromagnesy. Zamontowano je w taki sposób, by stwarzały iluzję dzielących je ogromnych odległości, które zmieniały się w zależności od kąta ich obserwacji. Niektóre z nich były w nieustannym ruchu, napędzane energią nuklearną pochodzącą z miniaturowych reaktorów, umieszczonych w podstawie konstrukcji. W ten sposób element statyczny został wyeliminowany.

W jednej chwili Bush zrozumiał, co przedstawiały te instalacje: abstrakcje warstw czasowych, krążących złowieszczą wokół Owodniowego Jaja. Stworzone zostały z absolutnie precyzyjnego zamysłu, z pełną świadomością celu owych wizji; rezultatem były arcydzieła. Kiedy minął pierwszy zachwyty, przyszła gwałtowna zazdrość.

- Urocze - powiedział bez emocji.

- Myślałem, że ty je zrozumiesz - odparł Borrow, wpatrując się intensywnie w twarz przyjaciela.

- Jestem tu z dziewczyną. Mam potworną ochotę na drinka!

- Zapraszam. Zamów sobie coś na koszt firmy. Twoja dziewczyna pewnie jest w barze.

Borrow poszedł przodem. Bush podążał za nim, zbyt zły, żeby cokolwiek powiedzieć. To, co zobaczył przed chwilą, było oszałamiające - surowe, jednak najwyższej jakości - rewolucyjne, precyzyjne, oryginalne... Bush poczuł znajome ukłucie między łopatkami, które pojawiała się zawsze, gdy widział coś genialnego, a jeśli nie genialnego, to z pewnością coś

godnego naśladowania, co może stać się genialne, czymkolwiek była ta cholerna genialność - mocniejsze ułknięcie, jeszcze potężniejsza fala elektryczności przesywająca wszystkie komórki ciała. Stary Borrow to miał; Borrow, który porzucił działalność artystyczną lata temu i, z chęci zysku, stał się właścicielem sklepu, a jego śliczna żona zmieniła się w sprzedawczynię; Borrow, z jego przykrótkimi mankietami; Borrow był posiadaczem tej wiedzy i przemycił ją w przeszłość!

Najgorsze było to, że Borrow miał świadomość swego dokonania. To dlatego przypomniał Bushowi o jego rekordzie w dziedzinie najkrótszej podróży mentalnej; w ten sposób starał się zamortyzować jego szok. Bush mógł być skończony jako artysta, ale przecież wciąż był rekordzistą wśród mentalnych! Borrow wiedział, że przyjaciel zrozumie przesłanie jego dzieł i było mu go żal, gdyż Bush nie był w stanie stworzyć niczego podobnego.

Jednak, na litość boską, na ile te tablice czerpały z 2090? Nic dziwnego, że Owodniowe Jajo tak świetnie prosperowało; istniał odpowiedni kapitał, który można było weń inwestować. Ten sklepikarz był w komfortowej sytuacji; zamieniał swoje artystyczne inspiracje w hamburgery i tonik!

Bush nienawidził tych myśli. Starał się, lecz nie mógł się od nich opędzić. Te tablice... oczywiście... Gabo... Pevsner... w dwóch wymiarach - nie, oni mieli swoich mistrzów, a to było absolutnie oryginalne. Nie był to nowy język - był pomostem wychodzącym od starego. Pomostem, którego przecież on mógł być wynalazcą; teraz trzeba wymyślić coś nowego, musi wymyślić coś nowego! A stary Borrow... Człowiek, który śmiał kiedyś drwić z arcydzieł Turnera!

- Podwójną whisky - powiedział Bush. Nie mógł pozbierać się nawet na tyle, by wykrztusić dziękuję, kiedy Borrow usiadł przy nim, dotrzymując mu towarzystwa.

- Jest tu twoja dziewczyna? Jak wygląda? Blondynka?

- Jest brudna. Cholera wie, jakiego koloru ma włosy. Poderwałem ją w dewonie. Nic szczególnego - cieszę się, że ją zgubiłem. - Kłamał; nie wiedział, co mówi ze wstydu i upokorzenia. Chciał jeszcze raz obejrzeć te tablice, jednak nie był w stanie o to poprosić.

Borrow siedział przez chwilę w milczeniu, jakby zastanawiając się, na ile powinien wierzyć słowom Busha, po czym zapytał:

- Wciąż pracujesz dla Instytutu Wenlocka, Eddie?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Facet, który był tu wczoraj, nazywał się Stein - pewnie wciąż tu jest. On też pracował dla Wenlocka.

- Nie znam takiego. - Ten Stein jest z Instytutu? Niemożliwe!

- Potrzebujesz pokoju na noc? Możemy cię gdzieś ulokować.

- Mam swój namiot. Poza tym nie wiem, czy zostanie.

- Daj spokój, musisz zjeść z nami kolację, skoro już znaleźliśmy się w tym samym punkcie w czasoprzestrzeni. Nie ma pośpiechu - wszystko ma swój czas, jak to mówią.

- Nie mogę - musiał się zdobyć na potworny wysiłek, by przestać się zachowywać jak ostatni gnojek. - Wytlumacz mi, co to, u licha, jest owodniowe jajo? Jakies nowe danie?

- Można tak powiedzieć. - Borrow wyjaśnił, że jajo owodniowe to wynalazek ery mezozoicznej, rzecz, dzięki której dominacja olbrzymich gadów utrzymywała się przez miliony lat. Owodnia to membrana zawarta w jajach, która umożliwiała embrionowi przejście przez stadium „kijanki” wewnątrz jaja. Gadzi potomek przychodził na świat już jako w pełni ukształtowana istota. Dzięki temu gady mogły składać jaja na lądzie i w ten sposób opanowały większość kontynentów. Zwierzęta ziemnowodne, które były ich protoplastami, składały delikatne, galaretowate jaja i musiały je wysiadywać w środowisku wodnym; z tego powodu były skazane na przebywanie wyłącznie w pobliżu jezior i rzek.

- Gady zerwały więzi łączące je z ziemnowodnymi, tak jak człowiek oswoił się ze ssaczymi uwarunkowaniami czasoprzestrzennymi. To była ich sprytna sztuczka i umożliwiła im dominację na długi czas.

- Taką samą sztuczką jest twój sklep i bar, co?

- Co cię ugryzło, Eddie? Nie jesteś sobą. Chyba powinieneś wrócić do teraźniejszości.

Bush opróżnił swoją szklankę i wstał. Spojrzał na przyjaciela, po czym, z wielkim wysiłkiem zaczął:

- Chyba tak zrobię. Myślę, że twoje konstrukcje są naprawdę niezłe.

Ruszył pospiesznie do wyjścia. Po drodze zauważył, że jedna z tablic wisiała jako dekoracja na ścianie.

Czuł w głowie uderzenia tysiąca młotów. Powinieneś się cieszyć, że komuś udało się to zrobić. Chryste, powinieneś się cieszyć, że zrobił to twój przyjaciel. Cierpiałem... być może on też - może cierpi cały czas tak jak ja - nie wiadomo. Nic wielkiego nie zrobił. Zwykłe sztuczki, haczyki na turystów. Jestem żaloszny. Nie panuję nad sobą. Całe to samooskarżanie to tylko przykrywką. Co się kryje pod nią? Gdyby złuszczyć wszystkie warstwy, jedną po drugiej, okazałoby się, że kolejno po sobie następują miłość własna i nienawiść, i tak w kółko, aż do przegniłych korzeni. To wina moich rodziców... znowu motyw kazirodztwa. Boże, mam siebie dość! Wypuście mnie stąd!

Zupełnie się wypalił. Jeszcze pięć lat temu robił naprawdę dobre rzeczy. Teraz był tylko nałogowcem podróży mentalnych.

Jednym ze sposobów ucieczki od siebie była obserwacja świata zewnętrznego. Na wprost Busha szła para: mężczyzna i kobieta. Widział ich tak wyraźnie, że było jasne, iż cofnęli się tutaj z tego samego roku, co on. Rzucił zaledwie przelotne spojrzenie na mężczyznę. Dziewczyna była olśniewająca; miała piękne, długie nogi i miękki chód, ładnie wyrzeźbione pośladki, krótkie włosy. W jej twarzy nie dostrzegł nic szczególnego, jednak nie mógł oderwać od niej wzroku.

To było niczym uzależnienie hazardzisty, którego ofiarą był przez długi czas. Nie potrzebował modelki, więc nie miał żadnej wymówki dla wpatrywania się w tę kobietę. Tysiące dziewcząt z tyłu wyglądało atrakcyjnie - jedna na tysiąc miała znośną twarz. Ekscytacja opuszczała go natychmiast, kiedy się orientował, że ta czy inna nie spełnia warunków pewnego określonego przez niego standardu. Miał obsesję na punkcie twarzy. Niejako w formie dygresji przyszła myśl o twarzy Ann - była ładna.

Ostrożnie podążył w ślad za parą. Przechodził to na jedną, to na drugą stronę, by móc jak najwięcej uchwycić z profilu kobiety. Dookoła stały namioty, a jakieś obdarte indywidua rozprawiały o tym, co, do diabła, zrobić z przeszłością, kiedy już mogą jej fizycznie doświadczać. Bush starał się przejść obok nich niezauważony.

Ci, których śledził, zniknęli za rogiem jednego z namiotów. Bush przyśpieszył kroku. Zauważył, że dziewczyna stoi sama na wprost niego. Odwróciła się i wymienili spojrzenia. Nie była tak ładna, jak mu się wcześniej wydawało.. Niemal w tym samym momencie Bush wyczuł niebezpieczeństwo. Chciał uciekać, jednak było już za późno. Eskorta dziewczyny wynurzyła się z namiotu. Czekał na cios.

Chwila przeobraziła się w wieczność. Bush widział strach i szaleństwo - tak pełne nienawiści, jak samo uderzenie - malujące się na twarzy mężczyzny. Poczynił też pewne spostrzeżenia: powinienem był przyjrzeć się temu facetowi albo przynajmniej rzucić mu jedno uważne spojrzenie. Pamiętam go: to ten dziwny koleś od Lenny'ego i Ann, niech ją szlag! Farbowane włosy, nazywał się - Roger też wspomniał to imię - dlaczego nie zwróciłem na to uwagi? Dlaczego jestem zawsze zajęty czymś innym? Zawsze skoncentrowany na sobie: teraz mam problem; Stone - nie, Stein. Stein, Stein!

Nieudolne, lecz mocne uderzenie spadło na jego twarz i szyję. Runął na ziemię. Złość nadeszła zbyt późno (znów zajęty był myślą o tym, jak najszybciej zareagować na zewnętrzną sytuację) i kiedy padał, chwycił się spodni Steina. Ten kopnął go w brzuch i odskoczył. Powalony na ziemię Bush widział, jak mężczyzna ucieka, mijając dziewczynę, nie rzuciwszy jej jednego spojrzenia.

Podczas całego zajścia nie poruszyło się nawet najmniejsze ziarnko jurajskiego piasku.

Wszystko pozostało zupełnie nieruchome.

Dwaj przechodzący obok mężczyźni pomogli Bushowi wstać. Mówili coś o tym, że zaprowadzą go do Owodniowego Jaja. To była ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę. Wciąż zamroczony wyrwał się z ich uścisku i, kulejąc, oddalił się od obozowiska. Czuł, jak buzują w nim emocje. Pamiętał twarz tamtej dziewczyny: z gęstymi brwiami i śmiesznym małym nosem daleko jej było do piękności.

Kiedy opuścił teren usiany namiotami ludzi przybyłych z czasów jemu współczesnych, zaczęły się cieniste zabudowania należące do najeźdźców z przyszłości. Przeszedł przez architektoniczne majaki, przez cienie, które w nich zamieszkiwały, aż wreszcie dotarł do zielonego gąszczu gimnospermów. Mały koelurozaur, nie większy niż kura, przemknął między jego nogami. Stworzenie wyglądało na przerażone, mimo że Bush nie zrobił nic, co mogłoby je przestraszyć.

Kiedy wynurzył się z gąszczu, okazało się, że znajduje się na brzegu szerokiej, leniwie płynącej rzeki, tej samej, którą widzieli z Ann, zanim jeszcze go opuściła. Usiadł, rozcierając bolącą szyję. Niedaleko zaczynała się gęsta jurajska puszcza, niemal zupełnie pozbawiona kwiatów, zaś na przeciwnym brzegu, tam gdzie rzeka zaczynała meandrować, gdzie zaczynały się bagna i trzciny, kwitły smukłe cykadeidy.

Bush podziwiał przez chwilę ten obrazek, próbując znaleźć do niego jakiś komentarz, aż uświadomił sobie, że przypomina mu on zdjęcie z podręcznika, który czytał jako chłopiec, zanim jeszcze nastąpiły czasy podróży mentalnych, lecz ogólne zainteresowanie odległą przeszłością było dosyć intensywne. To było chyba w 2056, kiedy jego ojciec otworzył gabinet dentystyczny. Ludzie dostali hopla na punkcie epoki wiktoriańskiej - ojciec nawet zamontował dla swoich klientów plastikową spluwaczkę w kolorze mahoni. To właśnie człowiek tej epoki odkrył świat prehistorii z jego potworami błędzącymi gdzieś w czeluściach umysłu. Prawdopodobnie Wenlock znajdował się pod wpływem tamtego okresu. Wenlock był pierwszym wielkim umysłem swego wieku, nie zaś jakimś artystą-nieudacznikiem.

Rysunek w jego szkolnym podręczniku przedstawiał taką samą wijącą się rzekę, bagna, różnorodność egzotycznych roślin i odległy las, który teraz rozciągał się przed oczami Busha. Prócz tego widniało na nim kilka gatunków gadów: wielki allozaur po lewej, znajdujący się w trakcie posiłku, czyli martwego stegozaura; następnie kroczący komptozaur, którego wzniesione małe przednie łapy wyglądały tak, jakby monstrum szykowało się do modlitwy za duszę stegozaura; jego medytację przerywały dwa pikujące pośrodku obrazu pterodaktyle; dalej znajdował się niewielki ornitolest usiłujący złapać ukrytego w paprociach archaopteryksa; na końcu, po prawej stronie obrazu, widniał brontozaur z wynurzoną ponad poziom wody

głową i długą szyją; wystająca z jego paszczy kępa sitowia implikowała jego wegetariańskie upodobania.

Jak nieskomplikowany był ten świat, jak podobny i zarazem różny od rzeczywistości, która nie była aż tak zatłoczona, jak to ukazywały książki. Z tego pewnie powodu Bush nigdy nie widział pterodaktyla. Może był bardzo rzadkim okazem. Może zamieszkiwał inną część globu. A może po prostu jakiś dziewiętnastowieczny paleontolog źle poskładał skamieliny kości jakiegoś pełzającego stworzenia. Pterodaktyl mógł być po prostu jednym z wiktoriańskim wymysłów, tak jak Piotruś Pan, Alicja z Krainy Czarów czy Drakula.

Było gorąco i pochmurno - przynajmniej w tym sensie rzeczywistość pokrywała się z obrazkiem w książce; żadne ze zwierząt nie rzucało cienia - tak jak tamtego poranka, gdy jego matka powiedziała, że go nie kocha i na dowód tego oświadczenia zamknęła go na cały dzień w ogrodzie. Pragnął teraz, by stary dobry brontozaur wynurzył się z rzeki głośno chrupiąc trzcinę; mógłby mu też przyjść z pomocą tamtego, pamiętnego dnia; na horyzoncie nie było jednak żadnego brontozaura. Prawda była taka, że era gadów nigdy nie roła się tak od gadów, jak era człowieka od ludzi.

Kiedy ból ustąpił, a puls wrócił do normy, Bush podjął próbę ogarnięcia sytuacji. Zmęczenie zakłócało trochę jasność myślenia, jednak udało mu się pewne rzeczy ustalić.

Jakikolwiek był tego powód, Stein był przekonany, że Bush śledzi nie dziewczynę, lecz właśnie jego. Jeśli Stein tu był, to pewnie Lenny i jego odziani w skóry towarzysze też kręcili się gdzieś w okolicy. Ich obecność tłumaczyłaby zniknięcie Ann; Lenny mógł ją dopaść i przetrzymywać teraz wbrew jej woli. Albo inaczej: zobaczyła go i pobiegła do niego z radością, szczęśliwa z faktu, że będzie mogła wymienić pretensjonalną gadaninę Busha na brudne nogi i tępotę Lenny'ego... Jednak ten pierwszy wieczór na rozrzuconych wokół muszlach fragmocerów, w małej dolinie, sposób w jaki unosiła zgiętą nogę, jej wspaniałe uda, fale słodkiego podniecenia...

- Nie nakręcaj się tak! - krzyknął do siebie. Nie miał nic do tych wszystkich ludzi: ani do Rogera i Ver, ani do Lenny'ego i jego brygady, ani też do Steina. Było jednak wysoce prawdopodobne, że któryś z nich go dopadnie i złozi mu skórę. A co do Ann... nie miał do niej żalu. Nie dał jej nic, co mogłoby ją przy nim zatrzymać.

Niespokojnie rozejrzał się wokół. Nawet Kobieta Cień go opuściła. Nadszedł czas powrotu do domu. Trzeba było stawić się w Instytucie. Jura ze swoimi owodniowymi jajami jak zwykle okazała się klapą.

Wyjął paczuszkę z ampułką CSD. Jego terazniejszość czekała na niego. Żadnych gadów. Tylko rodzice.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Śmierć to za mało

W pewnych okolicznościach podróże mentalne nie były niczym trudnym, kiedy się już opanowało ich zasady i stosowało do dyrektyw Wenlocka. Jednak powrót do terażniejszości kosztował wiele wysiłku i bólu. To było jak powtórne narodziny. Człowiek znajdował się nagle w zupełnej ciemności, osaczały go klaustrofobiczne lęki, strach przed uduszeniem. Bush miotał się na wszystkie strony; w głowie usłyszał krzyk „tam, w tamto miejsce!” i skierował się w jego stronę powodowany perystaltycznym ruchem jakiejś nieznanego mu części jego mózgu.

Światło ponownie zajaśniało w jego wszechświecie. Leżał rozciągnięty na kanapie. Ogarnęło go poczucie niesamowitego komfortu; był z powrotem. Powoli otworzył oczy. Znajdował się na stacji podróży mentalnych w Southhall, z której wyruszył. Szyja wciąż przypominała o sobie bólem, jednak był w domu.

Znajdował się w czymś w rodzaju kokonu umieszczonego w sześciennym pomieszczeniu, które przez cały czas jego podróży, rozpoczętej pewnego zimowego dnia 2090 roku, pozostawało zamknięte. Nad jego głową znajdowała się niewielka roślina podtrzymująca czynności życiowe niektórych tkanek oraz ćwierć kwarty jego krwi. Były to jedne z niewielu, a zarazem najistotniejsze rzeczy, jakie posiadał w swojej terażniejszości; dzięki nim mógł wrócić do domu. Teraz ich rola się skończyła.

Usiadł i rozdarł kokon delikatnej plastikowej powłoki - to było jak reminiscencja dinozaura wytaczającego się z przekłętego owodniowego jaja - po czym rozejrzał się po pomieszczeniu. Wiszący na ścianie zegar z datą informował o konkretnym czasie: wtorek, drugi kwietnia 2093 roku. Nie sądził, że zabawi tak długo; kiedy powracał z podróży i okazywało się, że czas płynie niezależnie od jego nieobecności, czuł się tak, jakby go okradzione. Bo przecież przeszłość, podobnie jak przyszłość, to nie był prawdziwy świat, lecz sen zaledwie. Prawdą była terażniejszość z jej upływającym czasem, który wymyślił człowiek i w którym utknął.

Wygrzebał się ze swego „opakowania” i przejrzał się w lustrze. Pośród tych sanitarnych urządzeń wyglądał dosyć niechlujnie. Podał swoje wymiary i, za pomocą odpowiedniego przycisku, zamówił jeden komplet w automacie na ubrania. Czekał trzydzieści sekund, po których z automatu wyskoczył metalowy pojemnik, boleśnie uderzając go w piszczel. Wyjął ubranie i rozłożył je na łóżku. Z czystym ręcznikiem powędrował pod prysznic. Kiedy tak stał pod strumieniem ciepłej wody - rozkosz naprawdę niewypowiedziana - pomyślał o Ann i jej, zagubionym w prehistorii, ciele, które obecnie przeistaczało się w kolejne warstwy skalne,

ukryte gdzieś pod ziemią. Od tej pory będzie ją pamiętał jako jedną z wielu przypadkowych kochanek; nie było powodu, by myśleć, że się jeszcze kiedyś spotkają.

W ciągu dziesięciu minut był gotowy do wyjścia. Nacisnął dzwonek i po chwili w drzwiach stanął mężczyzna z rachunkiem za pokój i obsługę. Bush był zaskoczony jego wysokością: Instytut Wenlocka za to zapłaci. Będzie musiał przedstawić krótki raport, w którym opíše, czym się zajmował przez ostatnie dwa i pół roku. Najpierw jednak pójdzie do domu i będzie kochającym synem. Wszystko, byleby odwlec w czasie ten przekłety raport.

Przewiesił torbę przez ramię i ruszył wzdłuż korytarza. Za zamkniętymi drzwiami wielu eskapistów brnęło w swoich umysłach ku ciemnej otchłani czasu. Jedna z jego największych prac wisiała przy wyjściowych drzwiach. Przekłety Borrow! Powstrzymał się przed spojrzeniem do góry na obraz, a po chwili był już na zewnątrz.

- Taksomobil dla pana?
- Upominek dla dziecka? Śliczne małe laleczki!
- Kup pan kwiatek - świeże żonkile, dzisiaj zrywane.
- Zapraszam do taksomobilu. Zabierzemy cię wszędzie!
- Masz ochotę na dziewczynkę, kolego? Chwila oderwania od podróży mentalnych?
- Daj pan centa!

Pamiętał te desperackie zaczepki. Dom; 2090 czy 2093, to był czas, który był mu znajomy. Mógł z tego stworzyć podręcznikowe zdjęcie, nieszczęśnicy w porządku od lewej do prawej, jak dinozaury z tamtego obrazka: najpierw żebrak, zaraz obok kobieta, woźnica, dalej sprzedawca lalek piściami opędzający się od jakiegoś małego obdartusa, a w rogu po prawej stronie kwiaciarka przy lampie ulicznej; w tle zaś elegancka stacja podróży mentalnych, stanowiąca spory kontrast dla walących się, odrapanych domów i zniszczonych wyboistych dróg. Przebił się przez zbiorowisko żebraków i sprzedawców ulicznych i spacerem ruszył dalej, po chwili jednak zmienił zdanie i wrócił do woźnicy ponuro oczekującego na klientów. Podał mu adres swego ojca i zapytał, ile będzie kosztować taka przejażdżka. Kiedy usłyszał odpowiedź, krzyknął:

- To zdecydowanie za dużo!
- Ceny poszły w górę, kiedy pan oddawał się wycieczkom w czasoprzestrzeni.

Zawsze tak mówili. Zawsze też okazywało się to prawdą.

Bush wspiął się do pojazdu, mężczyzna zwołał dyszle i ruszyli.

Powietrze smakowało wspaniale! Niesamowite, że tylko w tej przestrzeni czasowej, którą była terażniejszość, można było doświadczyć tej magicznej substancji w pełnej obfitości, nawet tam, gdzie nie było ludzi. Jakkolwiek sprytnym wynalazkiem okazały się konwertery

powietrza, zawsze przyprawiały o stany bliskie duszeniu. Nie tylko powietrze miało tę magiczną wartość - tysiące różnych odgłosów, nawet te najbardziej przykre, rozbrzmiewały w uszach Busha niczym najpiękniejsza melodia. Poza tym wszystko, co widział, miało swoją indywidualną zmysłową jakość; to, co przeszłość przeobrażała w szkło, tutaj miało cudowne właściwości różnorodnych struktur.

Mimo, że zdawał sobie sprawę ze swojego uzależnienia od podróży mentalnych i wiedział, że zanurzy się w nie ponownie, to szczerze nienawidził braku doznań zmysłowych, które były ich elementem. Tutaj był świat, prawdziwy świat - brzęczący, świetlisty, żywy: jednak chyba zbyt dla niego uciążliwy, czego dowiodły wcześniejsze wydarzenia.

Mknęli z turkotem przez ulice. Kiedy Bush napełnił powietrzem płuca, zwrócił uwagę na niepokojące sygnały świadczące o tym, jak odległa była rzeczywistość 2093 roku od raj, być może nawet bardziej, niż ta z 2090. Zaczynał rozumieć sens powiedzenia „być na czasie”; możliwe, że bezmyślna, zamieszkiwana przez gady przeszłość stała się dla niego miejscem bardziej familiarnym od czasów jemu współczesnych. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie rozumie sloganów wypisanych na murach, poczuł, że jednak nie należy do tego świata.

Podwójna kolumna żołnierzy maszerowała wzdłuż drogi. Woźnica zrobił im miejsce.

- Jakież problemy w mieście?

- Nie, jeśli będziesz pilnował swojego nosa.

Dziwna odpowiedź, pomyślał Bush.

Trochę czasu upłynęło, zanim zrozumiał dlaczego ulica, na której mieszkali jego rodzice, wyglądała na mniejszą, bardziej ponurą i bezbarwną. Nie dlatego, że kilka okien zabito deskami a wszędzie rozrzucone były śmieci; to pamiętał z poprzedniego razu. Dopiero kiedy zapłacił za kurs i stanął przed domem swego ojca, zorientował się, że wszystkie drzewa w okolicy zostały wycięte. W małym, zadbanym ogródku za domem, rosły kiedyś dwie ozdobne wiśnie - James Bush sam je zasadził, kiedy otworzył swój gabinet - o tej porze zazwyczaj pokrywały się kwiatami. Kiedy wszedł na wybrukowaną ścieżkę wiodącą do ogrodu, ujrzał wystające z ziemi dwa spróchniałe pnie; były niczym żywa reklama profesji, którą uprawiał ojciec.

Niektóre rzeczy się nie zmieniły. Na mosiężnej tablicy wciąż widniał wygrawerowany napis: James Bush, L.D.S., Stomatolog. Na drzwiach wciąż wisiała zapisana ręką matki kartka: „Przed wejściem prosimy dzwonić”. Kiedy praktyka przestała przynosić zyski, matka, ze względów ekonomicznych, zmuszona była zostać sekretarką ojca, stając się żywym przykładem na to, jak czas zatacza koło, gdyż swego męża poznała właśnie pełniąc funkcję sekretarki. Bush przygotował się na to, że usłyszy jeszcze o wielu rzeczach tego typu, które

wydarzyły się od czasu, kiedy wyruszył w podróż; jego matka była ekspertem w przytaczaniu męczących przykładów z każdej dziedziny życia. Pociągnął za klamkę i wszedł bez dzwonienia.

Korytarz, który pełnił również funkcję poczekalni, był pusty. Kolorowe magazyny i gazety leżały rozrzucone na stoliku i krzesłach, na ścianach wisiały gęsto rozmieszczone diagramy, dyplomy i certyfikaty, jakby to było centrum badań umiejętności czytania.

- Mamo! - krzyknął, patrząc w górę schodów. Ciemno. Żadnego poruszenia.

Nie próbował po raz kolejny. Zamiast tego zapukał w drzwi gabinetu i wszedł do środka.

Jego ojciec, Jimmy Bush, James Bush, stomatolog, siedział na fotelu dentystycznym ze wzrokiem utkwionym w ogród. Na nogach miał kaptcie, a jego rozpięty fartuch ukazywał rozciągnięty sweter. Powoli odwrócił głowę ku synowi, jak gdyby niechętny wizycie jakiegokolwiek człowieka.

- Witaj, tato! Właśnie wróciłem.

- Ted, mój chłopcze! Myśleliśmy, że już po tobie! Dobrze cię widzieć! Więc wróciłeś, tak?

- Tak, tato. - W pewnych sytuacjach nie dało się racjonalnie objąć tego, co mówił ojciec.

Jimmy Bush podniósł się z krzesła i uściśnął rękę swemu synowi, uśmiechając się podczas wzajemnej wymiany powitalnych czułości. Był mężczyzną o budowie zbliżonej do swego syna, dosyć zaniedbanym. Zarówno jego wiek, jak i zwyczaje, wpłynęły na niejako przeprasające przygarbienie jego postury. Element przepraszący czał się też w uśmiechu mężczyzny. Jimmy Bush nie był człowiekiem, który poświęcał sobie zbyt wiele uwagi.

- Myślałem, że już nigdy nie wrócisz! Musimy to uczcić! Powinienem mieć jeszcze odrobinę czegoś. Szkocki odświeżacz oddechu - ruina dla dentysty. - Chwilę szperał w szafce i przyniósł do połowy opróżnioną butelkę whisky. - Wiesz, ile to teraz kosztuje? Pięćdziesiąt funtów i sześćdziesiąt centów, a to tylko pół litra. Mój budżet jest na wykończeniu. Nie wiem, jak to się skończy, naprawdę nie wiem. Wordsworth pisał: „Świat jest dla nas za drogi”. Niezłe by się zdziwił, gdyby żył w dzisiejszych czasach.

Bush zapomniał o literackich zapędach swego ojca. Lubił je. Starając się tchnąć w siebie trochę życia, powiedział:

- Dopiero wróciłem, tato. Nawet nie zdałem jeszcze raportu w Instytucie.

Kiedy ojciec napełniał szklanki, Bush zapytał:

- Czy mama jest w domu?

Jimmy Bush wahał się przez chwilę, po czym wychylił duszkiem swoją whisky.

- Twoja matka zmarła w czerwcu zeszłego roku. Dziesiątego czerwca. Chorowała parę miesięcy. Często pytała o ciebie. Było nam bardzo przykro, że nie ma cię z nami, jednak przecież nie mogliśmy nic zrobić, prawda?

- Nie, nic. Tato, tak mi przykro... Ja nigdy... Czy to było coś poważnego? - Kiedy zrozumiał idiotyczność swego pytania, zaraz się poprawił. - To znaczy, na co była chora?

- Standard - odrzekł Jimmy Bush, jakby jego żona umierała już parę razy; wzrok miał utkwiony w szklance, której zawartość zaraz energicznie wychylił. - Rak. Biedna staruszka. Rozwijał się jednak w jelitach i nigdy nie odczuwała bólu, więc powinniśmy być wdzięczni. Tak czy inaczej - na zdrowie!

Bush nie miał pojęcia, co powiedzieć. Jego matka nigdy nie była szczęśliwą kobietą, jednak wspomnienia rzadkich chwil radości wróciły teraz do niego, tak wyraziste, jak nigdy dotąd. Pociągnął ze szklanki. Whisky smakowała jak środek do dezynfekcji, jednak uczucie, jakie wywoływała, spływając w dół przełyku, było wystarczającą rekompensatą. Przyjął propozycję zapalenia meskaliny, którą podał mu ojciec i posłusznie się zaciągnął.

- Muszę przetrwać te wiadomości. Nie mogę w to wszystko uwierzyć! - powiedział spokojnie. Nie mógł pozwolić sobie na okazanie prawdziwych emocji.

Zostawił swego drinka i opuścił ojca. Przeszedł przez niewielkie pomieszczenie prowadzące do ogrodu. Jego pracownia znajdowała się na drugim końcu podwórka. Gdy już był na miejscu, zamknął się w jej środku.

Ona nie żyje... Nie, to niemożliwe, nie teraz, kiedy zostało jeszcze tyle niewyjaśnionych spraw między nimi! Gdyby wrócił na czas... Ale przecież czuła się dobrze, kiedy wyjeżdżał. Nie wyobrażał sobie, że jego matka może umrzeć. Boże, gdyby tylko mógł wpłynąć na te przekłętą prawa natury!

Uniósł do góry zaciśniętą pięść i zazgrzytał zębami. To dla niego zbyt wiele. Nieprzytomnie rozejrzał się wokół i zatrzymał nienawistne spojrzenie na obrazie Goi „Chronos Pożerający Swoje Dzieci”. Na drugiej ścianie wisiała reprodukcja Turnera „Deszcz, Para i Prędkość”; także tutaj przerażająca groźba rozpadu ukryta w obrazie była nie do zniesienia. Na półce stała jedna z elektrycznych rzeźb Takisa, datowana na około 1960; popsuta, pokryta kurzem ruina, z której nie wypływało już żadne przesłanie. Jeszcze gorsze były próby artystycznej ekspresji samego Busha, jego płótna, szkice, montaż, sieciorzeźby z plastiku, jego ostatnia instalacja. Wszystkie były teraz bez znaczenia; droga nie prowadząca do żadnego postępu.

W szale zaczął demolować studio, uderzał gdzie popadło, zupełnie nieświadomy głośnego płaczu, który się z niego wydobywał. Miejsce zdawało się rozpryskiwać w drobne

kawałki.

Kiedy odzyskał przytomność, okazało się, że leży na fotelu dentystycznym. Jego ojciec siedział obok, wciąż sącząc whisky.

- Jak się tutaj znalazłem?

- Dobrze się czujesz?

- Jak się tutaj znalazłem?

- Szedłeś i nagle osunąłeś się na ziemię. Mam nadzieję, że to nie przez whisky.

Nie wiedział, co odpowiedzieć na te bzdury. Jego ojciec nigdy go nie rozumiał; teraz nie było nikogo, kto mógłby go zrozumieć.

Powoli doszedł do siebie.

- Jak sobie radzisz, tato? Ktoś się tobą opiekuje?

- Pani Annivale z mieszkania obok. To dobra kobieta.

- Nie pamiętam nikogo takiego.

- Wprowadziła się tutaj w zeszłym roku. Jest wdową. Jej męża zastrzelono podczas rewolucji.

- Rewolucji? Jakiej rewolucji?

Ojciec obejrzał się ostrożnie za siebie. Spojrzał przez okno na zaniedbany ogród, śpiący w promieniach kwietniowego słońca. Upewniwszy się, że nie ma tam żadnych szpiegów, zaczął opowiadać:

- Kraj zbankrutował. Te wszystkie wydatki na mentalne podróże i żadnego zwrotu kosztów... Miliony bezrobotnych. Siły zbrojne przeszły na ich stronę i obalono rząd. Przez kilka miesięcy to było istne piekło! Najlepszym wyjściem był wyjazd z kraju. Cieszyłem się, że twoja matka nie dożyła tych najgorszych dni.

Bush pomyślał o świetnie prosperującym Owodniowym Jaju.

- Czy nowy rząd nie jest w stanie zatrzymać podróży mentalnych?

- Za późno! Ludzie zwariowali na ich punkcie. Z tym jest jak z piciem; czujesz, jakby otaczał cię troskliwy kokon. Mamy teraz rząd wojskowy, który nadzoruje eksport, import i tym podobne, jednak Instytut Wenlocka ma w tym wszystkim spory udział - tak przynajmniej mówią. Nie interesuje mnie to. Teraz nie interesuje mnie już nic. Przyszli kiedyś do mnie z nakazem pracy w jednostce wojskowej; miałem zajmować się higieną jamy ustnej żołnierzy. Powiedziałem im, że tutaj mam swoją praktykę i jeśli taka potrzeba zaistnieje, to żołnierze mogą przychodzić do mnie, ale ja do nich nie pójde i musieliby mnie zastrzelić, żebym zmienił zdanie! Od tamtej chwili mam spokój.

- Co się stało z wiśniami w naszym ogrodzie?

- Ostatnia zima była potworna. Nie pamiętam ostrzejszej. Musiałem je porąbać na opał. Z litości. Pani Annivale mieszkała tu ze mną. W jej mieszkaniu nie ma ogrzewania. Czysty altruizm; ostatnimi czasy wolę butelkę niż seks, jak dziecko. Staruszek ze mnie, skończyłem już siedemdziesiąt dwa lata. Poza tym, jestem wierny pamięci twojej matki.

- Musisz za nią bardzo tęsknić.

- Shelly pisał: „Kiedy lutnia złamana, słodkich jej dźwięków nie pomnisz; gdy usta przemówią, o czulej słów treści niechybnie zapomnisz.” Bzdura! Wiele rzeczy dostrzegasz dopiero wtedy, gdy należą już do przeszłości, wiele spraw zaczynasz rozumieć po latach od momentu, w którym się z nimi zetknąłeś. Na Boga, jakim twoja matka potrafiła być czasami potworem. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile cierpienia mi zadała!

Bush nic nie powiedział.

Ojciec kontynuował swoje opowiadanie bez najmniejszej przerwy, jak gdyby jedna myśl racjonalnie wypływała z drugiej.

- I pewnego popołudnia, kiedy już sytuacja była krytyczna, w mieście zaczęły się rozruchy. Oddziały wojska spaliły Most na Neasden. Pani Annivale przyszła się do mnie schronić; płakała. Dwóch żołnierzy dorwało jakąś dziewczynę na ulicy. Nie znałem jej imienia - w ciągu ostatnich lat ludzie bardzo się zmienili - albo mają wspaniałe zęby, albo ich usta pełne są ich spróchniałych pozostałości, bo nie za bardzo o nie dbają. W każdym razie to była ładna dziewczyna, około dwudziestu lat, i jeden z tych żołnierzy przyciągnął ją tutaj, do ogrodu, do mojego ogrodu! - i przyparł ją do muru. Był ciepły letni dzień i wiśniowe drzewa wciąż jeszcze tam stały. Był bardzo brutalny. Walczyła z nim. Praktycznie zerwał z niej całe ubranie. Pani Annivale i ja obserwowaliśmy tę scenę z okna poczekalni.

W jego oczach płonął żar; wydawało się, że rodzi się w nim nowe życie. Bush zastanawiał się, co zaszło między jego ojcem a panią Annivale tamtego dnia.

Obrazy przemocy, od których ojciec nigdy nie był wolny. Co wspólnego miał ten gwałt z jego wspomnieniami o matce? Może zmyślił tę historię, by dać upust swemu pożądaniu, agresji i nienawiści do kobiet; obawie przed nimi? To były puzzle, których Bush nigdy nie chciał ułożyć do końca; pradawne tabu dotyczące rozmów o seksie z ojcem nie zostało obalone, mimo tego, że ojciec był pijany; jednak doszedł do wniosku, że, być może, nie był jedyną osobą pozbawioną miłości matki. Nie chciał już słyszeć nic więcej, pragnął zanurzyć się w klaustrofobiczną ciszę przeszłości.

Kiedy Bush podniósł się z fotela, ojciec nagle oprzytomniał.

- Ludzie są jak zwierzęta - powiedział. - Pieprzone zwierzęta!

Kiedyś istniało tabu a propos spierania się z ojcem.

Przynajmniej to traciło rację bytu, tam, gdzie na brzegu odpoczywały pelzopławy; w miejscu, w którym przebywał z dala od swego normalnego życia.

- Nigdy nie słyszałem o zwierzętach dokonujących gwałtu, tato. To prerogatywa człowieka! Dla zwierząt prokreacja jest aktem neutralnym, jak jedzenie, spanie czy wydalanie, natomiast w rękach człowieka może być wszystkim - zarówno ekspresją miłości, jak i ekspresją nienawiści...

Ojciec opróżnił szklanekę, odstawił ją na bok i powiedział chłodno:

- Boisz się tego, prawda? Mam na myśli seks. Zawsze się tego bałeś.

- Nic podobnego. Projektujesz na mnie swoje lęki. Jednak czy byłoby w tym coś dziwnego, gdybym faktycznie się go obawiał, biorąc pod uwagę fakt, że za każdym razem, kiedy przyprowadziłem do domu jakąś dziewczynę, byłem obiektem twoich kpin?

- Dobry stary Ted, nie zapominasz o dawnych urazach, zupełnie jak twoja matka.

- Ty też musiałeś się nieźle obawiać, co? Gdyby było inaczej, czy nie miałbym do tej pory jakiegoś rodzeństwa?

- Powinieneś być zwrócić się z tym pytaniem do twojej matki.

- Ha! „O czulej słów treści nieprędko zapomnisz”, co? Chryste, nieźle stanowimy trio!

- Duet - tylko ty i ja. Będziesz musiał nauczyć się cierpliwości względem mnie.

- Nie, wciąż trio! Potrzeba czegoś więcej niż śmierci, by pozbyć się wspomnień, mam rację?

- Wspomnienia to wszystko, co mi zostało, synu - nie jestem podróżnikiem mentalnym zdolnym do życia w przeszłości... Mam na górze jeszcze jedną butelkę, tak na wszelki wypadek.

James Bush wyszedł z pokoju, powłóczę nogami. Jego syn bezradnie ruszył za nim. Weszli po schodach, przebijając się przez ciemność. Dotarli do niewielkiego saloniku, w którym unosił się zapach stęchlizny.

Ojciec włączył elektryczny kominek.

- W dachu jest dziura. Nie dotykaj sufitu, bo tynk może odpaść. Postaram się to naprawić latem, kiedy już trochę wyschnie. Trudna sprawa. Może będziesz mógł mi pomóc, jeśli do tego czasu znów nie wyruszysz w jakąś podróż.

Wyjął kolejną butelkę whisky, pełną jeszcze w trzech czwartych. Kieliszki przynieśli z dołu. Usiedli naprzeciwko siebie w dwóch rozpadających się fotelach i patrzyli na siebie, szczerząc zęby. Stary Bush mrugnął.

- No to, za ten stary ród ludzki! - powiedział. Wypili toast. - Rządzi tu niejaki generał Peregrine Bolt. Nie wydaje się być taki zły, jak na dyktatora. Ma spore poparcie u ludzi. Dzięki

niemu przynajmniej w nocy mamy spokój na ulicach.

- Żadnych gwałtów?

- Nie zaczynaj.

- Co takiego Bolt zrobił dla Instytutu?

- Wszyscy twierdzą, że dzięki niemu świetnie prosperuje. Oczywiście nic nie wiem na pewno. Nie mam z tym nic wspólnego. Słyszałem, że prowadzą go teraz bardziej na wojskową modłę.

- Muszę złożyć raport. Zrobię to jutro z samego rana, inaczej mnie wyleją.

- Nie wybierasz się z powrotem w przeszłość? Nowy rząd ma się tym wszystkim zająć. Teraz, kiedy tylu ludzi praktykuje podróże mentalne, zaobserwowano spory wzrost przestępczości w czasach prehistorycznych. Pani Annivale słyszała w sklepie, że w zeszłym tygodniu zamordowano w permie dwóch gości. Generał Bolt powołał jednostkę policji do spraw podróży mentalnych, która zajmuje się utrzymaniem porządku.

- Przeszłość jest w wystarczającym porządku. Nie zauważyłem nic niepokojącego. Kilka tysięcy osób rozrzuconych na przestrzeni milionów lat - cóż złego może się stać?

- Chyba jednak nie pozostają tak rozrzucony na zawsze? Tak czy inaczej, nie powstrzymam cię, jeśli bardzo chcesz tam wrócić. Dlaczego tu nie osiadasz i nie zaczniesz znów tworzyć czegoś, co przyniosłoby ci prawdziwe pieniądze? Wszystkie twoje rzeczy są w pracowni. Mógłbyś tu zostać.

Bush potrząsnął głową. Nie mógł mówić o swojej pracy. Drink spowodował, że jego szyja znowu przypominała o sobie nieprzyjemnym pulsowaniem. Bolało go też ucho. Marzył teraz o tym, żeby się położyć. Przynajmniej to mógł tutaj zrobić; zauważył, że mieszkanie ojca padło ofiarą kilku rekwizycji.

W momencie, kiedy stawiał szklanę na szerokim oparciu fotela, usłyszał, jak ktoś wali zapamiętane we frontowe drzwi.

- Przecież jest napisane „Przed wejściem prosimy dzwonić”.

Ojciec zrobił się blady.

- To nie pacjent. Prawdopodobnie wojsko. Lepiej zejdźmy zobaczyć. Chodź ze mną, Ted. To może być do ciebie. Ja nic nie zrobiłem. Tylko schowam butelkę pod krzesło. Ostatnio są zawziętymi przeciwnikami czarnego rynku, niech ich szlag! Czego mogą chcieć? Nic nie zrobiłem. Prawie nie wychodzę z domu...

Mrucząc pod nosem, zszedł na dół, a Bush tuż za nim. Stanowcze walenie rozległo się po raz kolejny, jeszcze zanim zdążyli zejść na dół. Bush wyprzedził ojca, wszedł do poczekalni i otworzył drzwi.

Na schodach stali dwaj uzbrojeni mężczyźni w mundurach. Na głowach mieli stalowe hełmy i zdecydowanie nie wyglądali na potulnych. Na ulicy stał wojskowy samochód, którego włączony silnik pracował głośno.

- Edward Lonsdale Bush?

- To ja. O co chodzi?

- Nie wywiązaliście się z obowiązku złożenia raportu w Instytucie po przedłużonym okresie podróży mentalnej. Macie kłopoty i musicie pójść z nami.

- Właśnie miałem udać się do Instytutu, sierżancie!

- A to pewnie droga na skróty, co? Jeszcze na dodatek piliście - czuć od was na kilometr! Idziemy!

Bush sięgnął za siebie i chwycił swoją torbę ze stolika zarzuconego gazetami.

- Mam tu notatki, mówię panu, właśnie miałem wychodzić...

- Bez dyskusji, bo oskarżymy was o stawianie oporu i znajdziecie się przed plutonem egzekucyjnym. Marsz!

Rozejrzał się desperacko wokół, lecz jego ojciec ukrył się w jakimś ciemnym kącie i nie mógł go dostrzec. Prowadzili go ogrodową ścieżką, wzdłuż rozpadającej się kamiennej ściany, przy której miał miejsce gwałt. Upchnęli go do oczekującego samochodu i zatrzasnęli za nim drzwi, po czym odjechali.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nowy człowiek w Instytucie

Dziwne, ale podczas podróży nie tracił czasu na nerwowe zastanawianie się nad tym, co go czeka, lecz z czułością rozmyślał o ojcu. Biedny staruszek był przyparty do muru i zasługiwał na współczucie. Skończyły się dni jego przewagi nad synem; teraz sytuacja była odwrotna - byłaby, gdyby Bush zdecydował się wrócić do tego podupadającego małego domku.

Mimo nieodwracalności pewnych bolesnych wydarzeń rodzinnych, istniały przecież niezliczone okresy ciszy między burzami, okresy pełne krystalicznego spokoju, spokoju zrodzonego z obojętności, kiedy już wszystkie obrzydliwości zostały wypowiedziane. To było jak motyw kazirodztwa, który, rzekomo, miał być jednym z najczęstszych powodów kłótni rodzinnych: mieszanka rzeczy najgorszych, zakazanych, najlepszych i najśłodszych.

Chcąc przetestować swoje reakcje emocjonalne związane ze śmiercią matki, zaczął o niej intensywnie rozmyślać. W pewnym momencie poczuł, jak ciężarówka hamuje. Na skutek gwałtownego szarpnięcia, Bush zjechał po ławce i wylądował z trzaskiem na tylnych drzwiach, które pod wpływem tego uderzenia otworzyły się, wypływając go tym samym na zewnątrz.

Wciąż jeszcze leżąc na ziemi pomiędzy swoimi oprawcami, zdążył objąć wzrokiem ponurą okolicę rozciągającą się za ciężarówką. Brama, przez którą przejechali, wmurowana w wysoką, betonową ścianę, zamykała się teraz z łoskotem. Przy bramie zauważył kilku strażników, którzy rozsiedli się w cieniu baraków postawionych przy murze. Ziemia pokryta była gruzem, jak gdyby niedawno ukończono tu jakieś roboty.

Dwóch żołnierzy poprowadziło go w kierunku wejścia do sporego budynku, w którym nie dostrzegł żadnych szczególnych cech. Z niedowierzaniem stwierdził, że znajduje się przy Instytucie Wenlocka.

Ogarnęło go poczucie dezorientacji, pojawiające się u każdego, kto poruszał się między różnymi czasookresami, w których Jutra doświadcza się jako Wczoraj i odwrotnie. Przez chwilę nie mógł uwierzyć, że jest we właściwej terażniejszości. Instytut znajdował się w bocznej uliczce. Po jednej jego stronie rozciągał się parking, po drugiej zaś, jak i naprzeciwko, wznosiły się budynki. Vis a vis Instytutu znajdowało się biuro ubezpieczeniowe, które zbijało fortunę na podróżnikach mentalnych.

Żołnierze wprowadzili Busha do Instytutu, zanim jeszcze zdążył oswoić się z tym nowym widokiem. Ojciec mówił, że pod rządami generała Peregrine Bolta, pozycja Instytutu zdecydowanie wzrosła. Dzięki temu można było zdemolować większość domów i wybudować

mur okalający budynki należące do Instytutu, który, z takimi zabezpieczeniami, wreszcie mógł być należycie chroniony, a każdy kto wchodził lub wychodził, mógł zostać zrewidowany.

W środku natomiast niewiele się zmieniło. Faktycznie, można było zauważyć, że Instytut świetnie prosperował; oświetlenie było lepsze, poprawiono posadzki; zainstalowano telewizję wewnętrzną, która nieustannie transmitowała jakieś kolorowe informacje. Rozbudowano znacznie punkt recepcyjny - obsługa rozrosła się do czterech mężczyzn odzianych w służbowe uniformy, których jednolitość i formalność bardziej przyczyniła się do zmiany, bezpretensjonalnej niegdyś atmosfery tego miejsca, niż wszystkie techniczne ulepszenia.

W recepcji strażnicy pokazali jakiś papier. Czekali. Jeden ze zuniformizowanych recepcjonistów rozmawiał z kimś przez telefon. Wreszcie odłożył słuchawkę i powiedział: „Pokój Numer Trzy”. Strażnicy poprowadzili Busha we wskazanym kierunku i zostawili go przed drzwiami Pokoju Numer Trzy - kabiny w głównym korytarzu - po czym odeszli.

W pokoju nie było nic prócz dwóch krzeseł. Bush stał pośrodku, z rękami zaciśniętymi na swojej teczce i nasłuchiwał. Był trochę bardziej rozluźniony niż na początku - wszystkie okropności, które wyobrażał sobie w myślach, ciosy w szczękę, kopniaki wymierzone w jądra i inne gesty kojarzące się z reżimem totalitarnym, oddaliły się od niego. Być może jego oprawcy dostali po prostu rozkaz dostarczenia go na miejsce, by mógł jak najszybciej złożyć raport. Miał nadzieję, że Howells wciąż tu pracuje; to on zawsze przyjmował jego raporty i - symptomy tego Bush zauważył już dawno temu - żywił względem niego skrywany podziw, przyprawiony odrobiną zazdrości.

Zaczął się denerwować, przez co jego oddech stawał się coraz szybszy i płytszy. Podejrzenie długo trzymali go w niepewności w tym pokoju przypominającym małe pudełko.

Miał problem. Oby tylko nie wspominali o tym roku opóźnienia - oby uwierzyli w to, że miał zamiar wrócić na czas, złożyć raport, zacząć znowu pracować. Był przecież ich najlepszym mentalnym.

Nagle jego myśli zaczęły biec innym torem. A jeśli to nie był Howells, lecz nowy pracownik, który nie miał pojęcia o tym, że Bush przekroczył dozwolony czas podróży. Ktoś nowy... zwolennik totalitaryzmu... jeden z ludzi Bolta...

Nie wiedząc o obecnej sytuacji politycznej nic prócz tego, co zdążył powiedzieć mu ojciec, Bush zaczął snuć w myślach potworną intrygę, w której zostaje poddany torturom, a następnie sam staje się szafarzem brutalności i upokorzeń dla innych. Jak gdyby, wraz z odejściem matki, musiał znaleźć na tyle absorbujący temat, by odpowiednio szczelnie móc nim wypełnić umysł. Ostatnie wydarzenia, spotkanie z gangiem Lenny'ego, niespodziewany atak

Steina, szok, jaki przeżył, gdy okazało się, że Borrow zupełnie bez wysiłku osiągnął to, o czym on marzył całe życie, wiadomość o śmierci matki - to było zdecydowanie za dużo. Obawiał się, że nie zniesie kolejnych niespodzianek.

Usiadł na krześle stojącym w rogu pokoju i ukrył głowę w dłoniach, pozwalając, by wszechświat runął na niego z całą swoją mocą.

Przetaczały się przez niego obrazy, które trudno opisać. Nagle, jak porażony zerwał się na równe nogi. Zobaczył otwierające się drzwi pokoju i stojącego w nich posłańca. Bush miał wrażenie, że coś stało się z jego oczami, gdyż niezbyt wyraźnie widział mężczyznę w drzwiach.

- Czy mam teraz złożyć raport? - zapytał, zeskakując z krzesła.

- Tak. Proszę za mną.

Wsiedli do windy i ruszyli na drugie piętro, gdzie Bush zwykle składał raporty. Ogarnęło go przerażenie, przecucie czegoś straszego. Kiedy metalowe drzwi zatrzasnęły się za nimi jak paszcza dzikiego zwierzęcia, poczuł, że wewnątrz Instytutu zmieniło się w pewien sposób; z jego zakamarków i cieni sączyła się jakaś nieludzka energia, windy stały się bardziej surowe. Był cały spocony, kiedy wysiedli i ruszyli wzdłuż korytarza.

- Czy spotkam się z Reggie Howellsem?

- Howellsem? A któż to taki? Nie wiem, o kim mowa. Nigdy o nim nie słyszałem.

Pokój, w którym składano raporty, wyglądał tak, jak go pamiętał z poprzedniego razu, nie licząc telebimu i jednego lub dwóch dodatkowych urządzeń do ciągłej obserwacji wnętrza. Pośrodku stał stół, na którym leżały bloczki do raportów, a po jego obu stronach ustawiono krzesła; na ścianie wisiał mruczący nieustannie głosobraz. Bush wciąż stał, nerwowo zaciskając i rozluźniając pięści, kiedy wszedł Franklin.

Franklin - błądy grubas o kiepskim wzroku - był zastępcą Howellsa. Jego świńskie oczka pływały za szybą małych okularów w stalowych oprawkach. Mało atrakcyjny typ. Bush przypomniał sobie, że nigdy nie przepadał za tym gościem ani też nie próbował zyskać sobie jego przychylności. Teraz jednak przywitał się z nim dosyć wylewnie - niesamowitą ulgą było spotkać kogoś znajomego, nawet jeśli był to Franklin.

- Proszę, niech się pan rozgości, panie Bush. Proszę pokazać teczkę.

- Przepraszam, że nie złożyłem raportu od razu, jednak moja matka...

- Tak. Instytut prowadzony jest obecnie dużo sprawniej niż podczas pańskiej ostatniej wizyty. W przyszłości będzie pan składał raporty bezpośrednio po powrocie do teraźniejszości. Tak długo, jak będzie pan przestrzegał zasad, nic złego nie może się przydarzyć. Zrozumieliśmy się?

- Tak, w zupełności, rozumiem. Będę o tym pamiętał. Słyszałem, że Reggie Howells

odszedł z Instytutu. Tak powiedział mi posłaniec.

Franklin spojrzał na niego i lekko zmrużył oczy.

- Tak prawdę mówiąc, to Howells został zastrzelony.

Bush nie wiedział dokładnie dlaczego, ale fraza „tak prawdę mówiąc” zirytowała go; była zbyt kolokwialna, by stanowić wprowadzenie do dalszej części zdania przekazującego taką treść. Doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie nie wspominać więcej o Howellsie; w tym samym czasie myślał, że najgłupszą rzeczą, jaką mógłby w tej chwili zrobić, i na którą miał potworną ochotę, było złamać Franklinowi jego świński nos.

By ukryć prawdziwe emocje, zajął się swoją zdezelowaną teczką, którą rozłożył na stole i zaczął rozpinać.

- Ja to otworzę - powiedział Franklin, przysuwając teczkę do siebie. Chrząknął głośno i otworzył „skarbiec” Busha, którego zawartość wysypał na stół.

Bush poczuł, jak przesywa go dreszcz, a wnętrzności zaczynają się buntować. Właściwe odczuwanie czasu zostało nagle zakłócone, tak jak wtedy, gdy spadł na niego niespodziewany cios Steina. Franklin sięgał ku papierom rozrzuconym na stole, ruch jego ręki był procesem kontrolowanym w każdym calu, niczym wielowymiarowa prezentacja serii skomplikowanych reakcji zachodzących między systemem nerwowym, mięśniami a siłami grawitacji ziemskiej, kształtowana zarówno przez ciśnienie powietrza, jak i wrażenia optyczne.

Scena, która rozgrywała się przed oczami Busha, była niczym obrazek wyjęty z podręcznika do mechaniki anatomii; mógł obserwować szczegółową strukturę gestu Franklina; kość ramienia wysunęła się delikatnie naprzód, w tym samym momencie uniosły się kości promieniowa i łokciowa; nadgarstek zgięty, kości palców wyciągnięte niczym zranione ptasie skrzydła; pod niebieskim, wełnianym rękawem leniwym strumieniem płynęła limfa.

Bush z obrzydzeniem podniósł wzrok i spojrzał na Franklina; jego malutkie, porażone astygmatyzmem oczka wciąż obserwowały go zza okularów, lecz cała twarz zniekształciła się tak, że przypominała raczej diagram nagiej czaszki, z której część mięsa usunięto, by zaprezentować zęby, podniebienie i zawłości ucha wewnętrznego. Seria cieniutkich, czerwonych strzałek, znaczących drogę wydychanego przez owo stworzenie powietrza wytrysnęła ku Bushowi, gdy to coś powiedziało: „Zgromadzenie Rodzinne”.

Mężczyzna studiował kartki, które wyławiał spośród rozgardiaszu na stole. Wszystkie arkusze były pogniecione. Rozprasowywał je ręką podczas przeglądania.

Kolorowy szkic ukazywał opustoszały krajobraz rozciągający się nad metalicznie połyskującym morzem; ze słonecznego blasku i z koron drzew wyłaniały się twarze. Po dłuższej chwili Bush przypomniał sobie, że stworzył ten szkic podczas pobytu w dewonie.

Podpisał go tym właśnie tytułem, który przed chwilą został głośno odczytany przez indywiduum siedzące naprzeciwko niego.

Bush zamknął oczy i kilka razy poruszył głową na boki. Kiedy zdecydował się spojrzeć, Franklin znowu wyglądał normalnie, a jego anatomia była przyzwoicie opakowana w garnitur. Ponownie zgniół rysunek i odrzucił go ze wstrętem. Teraz przeszedł do analizowania serii kolejnych szkiców, które Bush wykonał w swoim notatniku. Prace prezentowały różnorodne formy, o tyle tajemnicze, że nie został im nadany żaden rozpoznawalny kształt. Bush przedstawił je w takim nagromadzeniu, by, poprzez zatarcie wrażenia jednokierunkowości, nie można było ich zamknąć w żadnych znanych ramach.

- Co to jest? - zapytał Franklin.

Muszę odchrząknąć, pomyślał Bush. W gardle czuł dziwny ucisk. To wszystko było bardzo nieprzyjemne. Oczywiście nie ma sensu czegokolwiek wyjaśniać... Kaszlnął. Doświadczył pewnej ulgi, kiedy śluz nie powodował już takiego napięcia w przełyku. Błędem było myśleć, że wydarzenia zachodzące w czasoprzestrzeni można przenieść na papier pod postacią określonych symboli - był to błąd kardynalny, przy którym ludzkość trwała od momentu, kiedy pojawiły się pierwsze malowidła na ścianach jaskiń. Być może istniało prawdopodobieństwo obmyślenia sposobu na przedstawienie tego w czasie i przestrzeni. Lecz przecież takie działania skutecznie są nieustannie. Utwór muzyczny...

- Dyski, na których są moje sprawozdania.

Franklin skinieniem głowy zaakceptował odpowiedź, uznając ją za adekwatną. Ostrożnie położył blok na tacy stojącej obok. Gest był celowy. Przez chwilę wyglądał tak, jak gdyby miał się za moment przeobrazić w diagram energii motorycznej, jednak Bush zwalczył w sobie myśl o takiej ewentualności.

- Ja... te dyski...

Czymkolwiek była ta iluzja - prysła. Czas wrócił do swojej normalnej postaci. Bush znowu czuł posępną atmosferę pokoju, słyszał hałasy, szmery dochodzące z miejsca, w którym Franklin myszkował wśród jego rzeczy.

Franklin wyjął palmtopa, wymienne dyski i kieszonkową kamerę, a resztę, z fotografią kobiety włącznie, zmiótł ręką do stojącego obok pojemnika.

- Twoje rzeczy osobiste zostaną ci zwrócone później.

Wziął pierwszy dysk i włożył go do znajdującego się na ścianie miniskanera. Pokój wypełnił się głosem Busha płynącym z zawieszonych przy suficie głośników.

Franklin słuchał, a na jego twarzy nie pojawił się nawet jeden grymas. Bush zaczął nerwowo bębnić palcami po stole, potem splótł ręce na kolanach. Na każdym z dysków

mieściło się jakieś dwadzieścia pięć minut nagranych materiału, a takich dysków, zawierających jego raporty powstałe na przestrzeni wielomiesięcznej podróży, było pięć. Kiedy doszli do końca pierwszego, Franklin, bez słowa, włączył drugi. Ten mężczyzna został tak wytrenowany, by w jego obecności ludzie czuli się zakłopotani; jeszcze dwa, trzy lata temu wierciłby się, chrząkał w tak nieprzyjemnej atmosferze - teraz Bush robił to za niego.

Sprawozdania robione były z myślą o tym, że odbiorcą ich będzie Howells, genialny Howells, zawsze otwarty na pogawędki. Nie zawierały zbyt wiele nowych informacji o przeszłości, chociaż był tam spory kawałek o fragmocerach. Bush przeprowadził również sumienne badania na przestrzeni wielu stuleci wstecz dotyczące długości roku, która okazała się zwiększać, im dalej cofał się w przeszłość, a to wszystko dzięki mniejszemu wpływowi fazy księżyca na Ziemię. Dowiódł, że w okresie kambryjskim rok liczył 428 dni. Prócz tego dokładnie odnotował psychologiczne efekty CSD i podróży mentalnych. Jednak większość jego sprawozdania była tylko bezużyteczną gadaniną o ludziach, których spotkał podczas swoich wędrówek w czasie, przeplataną jego impresjami artystycznymi. Kiedy wreszcie, po niemalże dwóch godzinach playbacku, ostatnie nagranie dobiegło końca, Bush z trudem spojrzał na Franklina, który przez cały ten czas wydawał się rozrastać, podczas gdy on coraz bardziej się kurczył.

Franklin przemówił łagodnym tonem.

- Jak ci się wydaje, Bush, jakie są cele Instytutu?

- No... Początkowo było to centrum badań analizy mentalnej, które zajmowało się badaniem submentalności, a raczej teorii na jej temat. Nie jestem naukowcem i obawiam się, że mogę mieć problemy z werbalnym poruszaniem się w tej materii, jednak spróbuję. Anthony Wenlock i współpracujący z nim badacze odkryli zastosowanie CSD i tym samym otworzyli w umyśle ludzkim ścieżki umożliwiające nam pokonanie przeszkód, które wzniesli nasi przodkowie, by bronić się przed czasem i przestrzenią. W taki sposób rozwinęły się podróże mentalne. W skrócie to chyba wszystko. To znaczy, rozumiem, że istnieją wciąż paradoksy, których jeszcze nie wyjaśniono, jednak... W każdym razie Instytut jest w chwili obecnej głównym centrum podróży mentalnych i kładzie nacisk na bardziej dogłębne naukowe zrozumienie... hmm, przeszłości. Jak już powiedziałem, ja...

- A w jaki sposób ty przyczyniłeś się do „dogłębnego naukowego zrozumienia przeszłości”, jak to ładnie ująłeś?

Wiedział, że znalazł się w pułapce. Zdobywając się na wysiłek, powiedział:

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem naukowcem. Jestem artystą. Sam dr Wenlock przesłuchiwał mnie na rozmowie wstępnej. Uważał, że perspektywa artystyczna jest tak samo

ważna jak naukowa. Poza tym okazało się, że wyjątkowo nadają się do podróży mentalnych. Podróżuję z większą prędkością niż inni mentalni - ponadto, docieram do punktów w czasie znajdujących się najbliżej teraźniejszości. To wszystko jest w moich papierach.

- Dobrze, ale jaki jest twój wkład w to „dogłębne naukowe zrozumienie przeszłości”, o którym tyle mówisz?

- Podejrzewam, że twoja opinia jest taka, iż zrobiłem niewiele. Mówiłem - nie jestem naukowcem. Zrobiłem to, co do mnie należało, jednak bardziej interesują mnie ludzie. Do cholery, wywiązałem się z pracy, za którą mi zapłacono. Tak a propos, to nie otrzymałem jeszcze sporej części mojej wypłaty.

Franklin zamrugnął oczami, jak gdyby to było jego nowe hobby.

- Z twoich raportów wynika, że ujęcie naukowe kwestii, z którymi się zetknąłeś, zostało przez ciebie kompletnie zlekceważone. Traciłeś swój czas na bezsensowne szwendanie się. Nawet nie trzymałeś się ery, którą ci przydzielono.

To, co mówił Franklin, zgadzało się z prawdą. Bush miał tego świadomość i dzięki temu powstrzymywał się od komentarzy. Przełknął głośno ślinę; cios w szczękę, kopniak w krocze znowu się zbliżały.

- Z drugiej strony, zebrałeś sporo informacji o ludziach.

Bush skinął głową. Kiedy zorientował się, że Franklin nie zwrócił uwagi na brak odpowiedzi z jego strony, poczuł się odrobinę lepiej.

Franklin przechylił się przez biurko i wycelował palcem w Busha, jak gdyby nagle wyczuł w pokoju coś podejrzanego.

- Założenia Instytutu zmieniły się od tamtego czasu, Bush. Jesteś trochę archaiczny w swoich wyobrażeniach na ich temat - mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż „dogłębne naukowe zrozumienie przeszłości”. Radzę ci, byś wyczyścił umysł z tego typu idei. Chyba nie powinieneś mieć z tym problemu, bo odnoszę wrażenie, że nie byłeś do nich specjalnie przywiązany, co? No, ale jesteśmy teraz po twojej stronie.

Z szyderczym uśmiechem obserwował, jakie jego reprimenda wywarła wrażenie na Bushu, który siedział ze zwieszoną głową, szukając odpowiedniego wytłumaczenia dla zdrady wobec nauki. Był artystą i z dumą myślał o tym, że stoi po drugiej stronie, że wspiera to, co indywidualne, w walce z tym, co ogólne. Nagle spostrzegł, jak nietrwale i puste, w gruncie rzeczy, było to pojęcie; poczucie nonsensu tego wszystkiego wspomogło inny rodzaj opozycji względem nauki, który Bush rozpoznał - być może po samym zapachu tego strasznego pokoju - jako antytezę wartości ludzkich. Było naprawdę niedobrze, jeśli Franklin mógł powiedzieć, nawet gdyby to uznać za kiepski żart, że obaj znajdują się po tej samej stronie.

Nagle wróciła mu odwaga. Podniósł się z krzesła i powiedział:

- Masz rację. Jestem archaiczny! Zacofany! W takim razie, odchodzę z Instytutu. Zaraz złożę rezygnację.

Franklin pozwolił sobie na jedno, krótkie mrugnięcie.

- Siadaj, Bush. Jeszcze nie skończyłem. Jesteś trochę zacofany, jak sam przyznałeś. Obecny system zatrudniania, jak i krytyczna sytuacja, z którą mamy do czynienia - mam nadzieję, że zorientowałeś się już, że zaistniała sytuacja krytyczna - uniemożliwiają rezygnację z pracy.

- Ja mógłbym odejść! Po prostu odmówiłbym podróżowania!

- W takim razie wylądowałbyś w więzieniu, albo jeszcze gorzej. Usiądziesz czy mam wezwać naszych nowych ludzi? Posłuchaj, postaram się wyłożyć ci to jak najprościej

- ekonomicznie stoimy coraz gorzej, bo wszyscy nagle zaczęli podróżować; tysiące, setki tysięcy mentalnych podróżników! Rozwija się nielegalny handel CSD; dealerzy sprowadzają towar zza granicy. Ci ludzie to wybrakowane elementy, stanowią zagrożenie dla reżimu, dla ciebie i dla mnie, Bush. Potrzebujemy zaufanych ludzi, którzy sprawdzą, co się tam dzieje. Myślę, że świetnie byś sobie tam poradził ze swoimi zdolnościami. To dobra praca - generał obiecuje też świetne zarobki. Miesiąc intensywnego treningu i odeślemy cię tam z powrotem z odpowiednimi uprawnieniami świadczącymi o tym, że się nadajesz.

Nie do końca rozumiejąc to, co usłyszał, Bush zapytał:

- Nadaję się? Co to znaczy?

- Znaczy tyle, że będziesz dobrze funkcjonującym elementem społeczeństwa. Będziesz musiał zrezygnować z idei przemierzania czasoprzestrzeni w pogoni za swoją tożsamością.

Kiedy Bush trawił jego słowa, Franklin dodał:

- Wybierz sobie też z głowy siebie jako artystę. Ten temat jest skończony, zamknięty! Na rynku nie ma miejsca ani potrzeby na dzieła sztuki, a poza tym, twój talent już się chyba wyczerpał, co? Borrow tego dowiódł!

Bush spuścił głowę. Po chwili zmusił się, by popatrzeć w chytre oczka spoglądające na niego zza małych szkieł po przeciwnej stronie stołu.

- W porządku - zdołał wydusić. To była kompletna kapitulacja, akceptacja wszystkiego, co powiedział Franklin. Zgodził się z tym, że jest zupełnie bezużyteczny w każdej roli innej niż szpieg, kapuś, informator czy jakkolwiek to teraz nazywają: mimo jednak, że oddał się w ręce kogoś, kogo instynktownie rozpoznał jako swego wroga, narodził się na nowo w odwadze i determinacji, bo wiedział, że jego jedyna szansa jako artysty, leży w kolejnych podróżach mentalnych. Poczul też, że jest bardziej podróżnikiem mentalnym niż artystą, pierwszym z

nowego pokolenia, którego jedyną naturalną umiejętnością było przemierzanie czasoprzestrzeni; że wolałby umrzeć, niż utracić tę specyficzną wolność. Konsekwencją tego odkrycia było poczucie, że poprzez odkrywanie swojej tożsamości na tym nowym gruncie, mógłby stać się odkrywcą nowej formy sztuki, w której znalazłyby swój wyraz zmieniający się pogląd na świat, ten nowy schizofreniczny zeitgeist.

Przez krótką chwilę, kiedy spoglądał na Franklina, poczuł w sobie ogromną radość; miał wrażenie, że wciąż może opowiadać całemu światu (lub niechby to nawet była garstka) o swojej wizji, wyjątkowej wizji; pomyślał, jak nic nie znaczące okaże się to drwiące spojrzenie, które posłał mu Borrow; ten maleńki krok w wyobraźni przywrócił go do rzeczywistości, do dźwięku odtwarzacza, nosa Franklina i jego okularów.

Franklin podniósł się z krzesła.

- Jeśli zechcesz poczekać na dole, zaraz ktoś przyniesie twoje rzeczy.

- A moja wypłata?

- Razem z twoją wypłatą. Jej częścią. Reszta będzie napływać do ciebie ratami. Możesz już iść do domu. Początek kursu został wyznaczony na poniedziałek; do tego czasu jesteś wolny - postaraj się nie zrobić niczego głupiego. Ciężarówka odbierze cię w poniedziałek rano. Bądź gotowy! Zrozumiano?

Z nieukrywaną złościwością Bush powiedział.

- Miło było cię znowu zobaczyć, Franklin. A co dr Wenlock myśli o tych wszystkich zmianach?

Franklin zaprezentował jedno ze swoich mrugnięć.

- Zbyt długo cię nie było, Bush. Wenlock jakiś czas temu stracił władzę nad swoim umysłem. Prawdę mówiąc, znajduje się teraz w odpowiedniej placówce medycznej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Analogia z zegarem

Zaczynało padać, kiedy mijał dwa spróchniałe pnie i ścianę, przy której gwałciciel znęcał się nad swoją ofiarą; gdy wspiał się na schody, okazało się, że drzwi zamknięte są na klucz. Musiał długo dzwonić, pukać i krzyczeć, by ojciec wreszcie zszedł na dół i mu otworzył.

James Bush zdążył już wchłonąć w siebie większość pozostałej whisky. Zaległa wypłata Busha wystarczyła na odpowiednie zaopatrzenie, dzięki któremu ojciec i syn mogli się upić tego wieczora, podobnie jak i następnego dnia. Wspólne pijaństwo było substytutem przyjaźni, której jakoś dotąd nie udawało im się wprowadzić w życie; poza tym pomagało Bushowi zatrzeć wspomnienie przerażenia, jakie wywołały w nim ostatnie wypadki.

Następnego dnia, w czwartek, James Bush zabrał swego syna na grób matki. Obaj byli trzeźwi i potrzebowali odrobiny melancholii. Cmentarz był bardzo stary i zaniedbany. Wzniesiony został na stromym, targanym wiatrem wzgórzu; trawa porastała jedynie jego zbocze. Nie było to najbardziej odpowiednie miejsce, w jakim mogłaby spoczywać Elizabeth Lavinia, Ukochana Żona Jamesa Busha. Po raz pierwszy Bush zaczął rozmyślać o tym, jak mogła się czuć tamtego dłużącego się dnia, siedząc w domu, podczas gdy on był zamknięty w przeszłości. Teraz to ona była odcięta na dobre; jej dusza wyrzucona na brzeg bardziej stromy i dłuższy niż brzeg jakiegokolwiek plaży, jaką znała w swojej historii Ziemia.

- Jej rodzice byli katolikami. Ona odeszła od wiary, kiedy miała sześć lat.

Sześć lat? Wiek wydawał się być co najmniej dziwny, jeśli chodzi o odchodzenie od czegokolwiek. Ojciec mógł równie dobrze powiedzieć, że stało się to „o szóstej nad ranem”.

- Kiedy miała sześć lat, wydarzyło się coś, co przekonało ją do tego, że Bóg nie istnieje. Nigdy nie chciała mi o tym opowiedzieć.

Bush nie odezwał się ani słowem. Ojciec nie poruszał tematu religii, odkąd jego syn wrócił z rozmowy z Franklinem. Teraz znowu balansował nad przepaścią; moment był aż obrzydliwie sprzyjający. Bush zaczął gwizdać pod nosem, chcąc pokrzyżować ojcu te plany. Nawet sama myśl o religii była dla niego nie do zniesienia.

Nie wierzył w tę historyjkę o matce, która straciła wiarę, czy cokolwiek to było, w wieku sześciu lat. Gdyby coś takiego faktycznie miało miejsce, na pewno słyszałby o tym niejednokrotnie od obojga rodziców, którzy nigdy nie kryli się ze swoimi nieszczęściami.

- Myślę, że powinniśmy już wracać, tato - zaszurał niecierpliwie nogami. James Bush stał bez ruchu. Patrzył w dół, na grób swojej żony, drapiąc się bezmyślnie po pośladku. Obserwując tę scenę, Bush zauważył, że ojciec przybrał jedną ze swoich świętoszkowatych

min, za którą, być może kryło się coś bardziej szczerego, może jakieś ogólne uczucie pustki i dezorientacji dotyczącej tego, co on i Ted, cała reszta ludzkości i wszystkie żywe stworzenia, powinny zrobić z życiem. To właśnie, dużo bardziej niż mina świętoszka, zaniepokoiło Busha; był wystarczająco świadom źródła, z którego płyną takie pytania. Miał nadzieję, że lata flirtu z wiarą ojciec już dawno pogrzebał; nagle zmartwychwstanie nie wróżyłoby nic dobrego.

- Chyba zaczyna padać.

- Nie wiedziała do końca, jaki jest jej stosunek do Boga. Chciała jednak, by pochowano ją tutaj. „To, co nami kieruje, wiedzie niezależne od nas życie”, jak mówi Skellet.

- Czy możemy wrócić autobusem?

- Tak. Nie uwierzysz, ale nie można dzisiaj kupić nagrobka. Widzisz ten tutaj? Sam go zrobiłem. Jak ci się podoba? Żelazobeton. Wygrawerowałem litery zanim wysechł.

- Profesjonalna robota.

- Nie sądzisz, że powinno być jedynie „E. Lavinia”? Nigdy nie używała Elizabeth.

- Jest dobrze, tato. Naprawdę.

- Podoba ci się?

- Tak.

- Naprawdę mi przykro, że cię tu wtedy nie było. Czułem, że bez ciebie nie jest tak, jak powinno być.

Więc jej życie się skończyło; nieobecna w wymianie trywialności między jej synem a mężem, leżała pod tym kopcem na wzgórzu, z którego woda spływając wartkim strumieniem, zapoczątkowała proces erozji jednego z jego zboczy. Bush czuł podskórnym, że żaden z nich nie przyjdzie tu po raz kolejny. Istniał pewien limit tolerancji na podobne wydarzenia.

- Przecież to nie ma sensu - powiedział. - Kim była ta kobieta? Ja nie mam pojęcia i wątpię, żebyś ty je miał. Czy miała w życiu jakiś cel? Jeśli tak, to jaki? I jeszcze ten dzień, w którym skończyła sześć lat! Jeśli ta historyjka jest prawdziwa, to całe jej życie od tamtej chwili to antyklmaks! W takiej sytuacji lepszym wyjściem byłoby dla niej przeżywać dni, cofając się w przeszłość; rak zanikałby powoli, ona byłaby coraz młodsza, osiągając wreszcie punkt, w którym odzyskałaby swoją dziecięcą wiarę!

Z trudem opanował ten nagły wybuch emocji. Wolnym krokiem zmierzali ku wyjściu z cmentarza.

- Nie zadawaliśmy sobie takich pytań, kiedy się pobieraliśmy - powiedział ojciec.

- Przepraszam, tato. Chodźmy do domu. Nie to miałem na myśli... Ty zawsze byłeś dla niej ważniejszy niż ja. Po prostu...

- Byłeś sensem jej życia w takim samym stopniu, w jakim ja nim byłem.

- To wszystko bzdura, chyba że się wierzy w to, że jedynym celem rasy ludzkiej jest zapewnić ciągłość gatunku...

Ojciec gwałtownie ruszył w dół wzgórza, w kierunku zdezelowanej cmentarnej bramy.

Dzień był chłodny. W zapuszczonym domu Jamesa Busha, ojciec i syn zjedli skromny obiad złożony ze smażonych ziemniaków. Niewiele tego było, jak na ich ogromny apetyt. Po południu Bush przeglądał stare czasopisma leżące w poczekalni. W pewnym momencie pojawił się niespodziewany pacjent z dłonią przyciśniętą do rozwartej szczęki, ukazującej ropiejące dziąsło. Bush nie był specjalnie zachwycony tym, że ktoś przeszkadza mu w lekturze.

Przerzucając strony gazet, uzyskał dosyć spójny obraz tego, co doprowadziło do obecnej sytuacji. W czasie beztrioskiej podróży, dyskutował, kłócił się, kochał, malował, nie zastanawiając się nad tym, co wypada a co nie, nie robił żadnych odniesień do problemów, które kształtowały w tym czasie jego pokolenie. Jedną z okazjonalnych reakcji przeciwko zindustrializowanemu społeczeństwu miała miejsce kilka lat wcześniej i znalazła swój wyraz w krótkotrwałym uwielbieniu dla ery wiktoriańskiej. Tego typu akcje nie trwały długo, gdyż z czasem powszedniały, po chwili jednak rodził się kolejny kaprys, którego realizacja zaprzętała uwagę społeczeństwa. Około 2070 roku pojawiła się nowa idea - podróże mentalne - która podsycała tylko publiczną nostalgię. W zaskakująco krótkim czasie, z pewnością do połowy lat osiemdziesiątych, nastąpiła reorientacja najbardziej zaawansowanych cywilizacji świata ku przeszłości - odległej, prehistorycznej przeszłości, gdyż, dosyć paradoksalnie, do niej właśnie najłatwiej było dotrzeć; drugie prawo termodynamiki nie obejmowało jednak obszarów submentalności. Wyrosło pokolenie, które cały swój energetyczny potencjał poświęciło ucieczce od teraźniejszości. Ludzie zrezygnowali z niemal każdej działalności, która nie korespondowała z eskapistycznymi aspiracjami, od turystyki (piaszczyste wybrzeża Florydy, plaże nad Morzem Śródziemnym były tak samo opustoszałe jak w czasach wiktoriańskich) po przemysł ciężki, od rozrywki po filozofię.

Pośród tego ogólnoswiatowego kryzysu, jedynie Instytutowi Wenlocka wiodło się świetnie. Można się było zapisywać na względnie niedrogie kursy, gdzie wykładano zasady Wenlocka, opanowanie których umożliwiało przekraczanie pradawnych ograniczeń umysłu. Instytut prowadził sprzedaż specyfiku, który otwierał chętnym drogę do przestrzeni opanowanych przez plezjozaury. Wenlock zarządzał również szeregiem stacji podróży mentalnych, gdzie można było, za całkiem przyzwoitą cenę, zakotwiczyć się w świecie upływającego czasu. Kiedy ktoś, nie zapewniwszy sobie wcześniej odpowiedniego finansowego zaplecza, zapuszczał się w przeszłość, czasami zostawał tam na zawsze, jeśli nagle kończyła się gotówka konieczna do pokrycia wydatków za usługi.

Tak jak wszystkie inne systemy założone przez człowieka, tak i system Wenlocka okazał się wadliwy. W wielu krajach został zdemaskowany jako niebezpieczny monopol; w innych, niemalże od razu dostawał się pod kierownictwo rządu. Oczywiście znajdowało się mnóstwo takich, którzy, kiedy już udało im się wykraść tajemnice zasad Instytutu z formułą narkotyku włącznie, wypuszczali je na rynek, jednak były to ich własne wersje. Chłodnie w wielu pustych pokojach przetrzymywały naczynia z krwią i załączki komórek, podczas gdy rodzina eskapistów przebywała na wagarach od życia w dewonie.

W samym imperium Wenlocka też nie działało się najlepiej. Artykuł w Świecie Stomatologicznym ze stycznia poprzedniego roku, zatytułowany „Dyscyplina i płaca” przykuł uwagę Busha, gdyż pojawiło się w nim nazwisko Normana Silverstone’a, na które później natrafił ponownie w jednej czy dwóch starych gazetach. Jak dobrze zauważył autor artykułu, cała teoria na temat podróży mentalnych bazowała na kilku faktach i całej masie domysłów. Podobnie było z teoriami psychoanalizy Zygmunta Freuda, na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Silverstone był Jungiem, podczas gdy Wenlock grał Freuda. Mimo że nikt nie mógł zaprzeczyć faktowi podróży mentalnych, to znalazło się paru, którzy podważali słuszność interpretacji Wenlocka. Jedną z najbardziej wpływowych postaci był właśnie Norman Silverstone, dawny przyjaciel i wspólnik Wenlocka. Utrzymywał on, że w istocie, ludzki umysł można uwolnić od psychotycznych barier, za którymi kryje się zakorzeniona w czasie tajemnica przewagi człowieka nad królestwem zwierząt; twierdził jednak, że istnieją siły dużo bardziej niezwykłe, które czekają tylko na to, by je uwolnić, i że ograniczenia podróży mentalnych uniemożliwiający człowiekowi odwiedzanie niedalekiej przeszłości przemawiają za tym, iż to, czego uczy Wenlock, jest tylko fragmentem większej całości.

Silverstone wolał pozostawać w cieniu; nie pozwalał się fotografować, nie udzielał wywiadów, a jego sporadyczne wypowiedzi na forum publicznym były tak zawile i niejasne, że nikt chyba nie sądził, że może zagrozić Wenlockowi. Okazało się jednak, że on i jego naśladowcy obmyślili metodę, która została zastosowana przez rządy państw pragnących mieć pod kontrolą administrację lokalnych instytutów podróży mentalnych.

W poczekalni nie było numerów czasopism obejmujących okres po wybuchu rewolucji, jednak Bush miał wrażenie, że wie dostatecznie dużo, by domyślić się ciągu dalszego. Prawdopodobnie w większości państw kryzys przejawiał się załamaniem na giełdzie; bezrobotni przypuścili szturm na stolicę; głodujący wzniecali zamieszki; bogaci jak i biedni domagali się powołania nowego rządu, choć pobudki obu grup były inne. Bush siedział w zaniedbanym i brudnym pokoju, rozmyślając nad minionymi wydarzeniami.

Obecna sytuacja nie może trwać długo. Ludzie wreszcie oprzytomnieją i zaczną

dopominać się o swoje. Historia zna wiele podobnych wypadków. Bush zauważył coś, co dawało nadzieję na to, iż reżim generała Bolta nie będzie trwał wiecznie - był to niemal mistyczny znak, chociaż w momencie, gdy się pojawił, Bush prawie nie zwrócił na niego uwagi. Kiedy czekał zamknięty w Pokoju Numer Trzy na przybycie Franklina, ujrzał zarys Kobiety Cienia. W chwili, kiedy się to wydarzyło, jego umysł był zbyt zaprzątnięty czym innym, by mógł zdać sobie sprawę z tego, co zobaczył. Teraz przypomniał sobie, że przez postać kobiety, mimo całej jej cienistości, przebijało pulsujące światło nadające jej wygląd upiора, niczym w tych stylizowanych na wiktoriańskie widowiskach, na które zabierała go matka, kiedy był chłopcem. To mogło oznaczać tylko jedno: że w jej czasach to miejsce, w którym ukazała się Bushowi, będzie otwartą przestrzenią; innymi słowy, Instytut zostanie zburzony za jej życia. A więc nadopiekuńcze skrzydła generała Bolta ktoś kiedyś podetnie! Kiedyś... czasy jego widmowej towarzyszkii równie dobrze mogły przecież nadejść za pięćset lat... Tak, czy inaczej, była nadzieja. Najgorsze przeminie.

Rozejrzał się po pokoju. Kobiety Cienia nie było przy nim. Była przyszłością, która z siebie tylko znanych powodów, niemalże nie spuszczała go z oczu. W jego czasach przyszłość czaiła się wszędzie; istniała jednak tama, skutecznie powstrzymująca generację Busha przed wpływaniem do jej portu wzburzonymi falami niezadowolenia, dzięki czemu pozostała odległa i bezpieczna. Ludzie „stamtąd” znaleźli sposób na podróżowanie w czasie już zasiedlonym przez człowieka.

Bush chwilę spekulował na temat przyszłości, jednak szybko się poddał i wymknął się z domu na spacer. Żadna konstruktywna myśl nie zagościła w jego głowie, od kiedy wyszedł z gabinetu Franklina. Lada moment jego życie miało zostać przewrócone do góry nogami, a on wciąż nie bardzo wiedział, co jest grane. Nocami miał wrażenie, że słyszy głos matki.

Próbował myśleć o Ann, jednak wydała mu się tak samo odległa jak rzeczywistość dewońska, w której na nią trafił. Próbował myśleć o ojcu, jednak żadna nowa refleksja na jego temat nie przychodziła mu do głowy. Wspomnienie o pani Annivale, którą niedawno poznał, powodowało, że czuł się co najmniej głupio, gdyż okazała się być kobietą nawet w połowie nie tak straszną, jak ją sobie wyobrażał; była niewiele od niego starsza i wciąż miała w sobie nutkę dziecięcości. Miło się uśmiechała, była bardzo przyjazna i naturalna i, co więcej, chyba szczerze lubiła jego ojca. Intelktualnie też wydawała się być do rzeczy... Nie jego sprawa.

Zawrócił. Nie istniało żadne konkretne miejsce, które miałby ochotę odwiedzić, a widok opustoszałych ulic odbierał mu ochotę na spacer. Przypomniał sobie, że w jego zdemolowanej pracowni zostało jeszcze pudełko gliny, której używał do modelowania; być może to byłoby w stanie go wciągnąć, chociaż czuł, że nie ma w nim nawet najmniejszej

iskierki artystycznego natchnienia.

Kiedy bryła w jego rękach zaczęła przybierać kształt twarzy Franklina, porzucił ją i wszedł z powrotem do domu.

- Miałeś dobry dzień? - zapytała pani Annivale, schodząc na dół po schodach.

- Wspaniały! Rano byliśmy na grobie matki, natomiast po południu oddawałem się lekturze gazet sprzed dwóch lat.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Mówisz trochę jak twój ojciec. Tak przy okazji to on teraz śpi - nie powinieneś go budzić. Idę do siebie po tarkę; zrobię wam dzisiaj placek serowy. A może poszedłbyś ze mną? Nie widziałeś jeszcze, jak mieszkam.

Niechętnie przystał na jej propozycję. Jej mieszkanie, dosyć skromnie umeblowane, było jednak jasne i czyste. Kiedy byli w kuchni, Bush zapytał:

- Dlaczego nie przeprowadzi się pani do ojca? Mogłaby pani zaoszczędzić na czynszu.

- Mów mi Judy, dobrze?

- Nie wiedziałem, jak masz na imię. Kiedy ojciec opowiada mi o tobie, zawsze nazywa cię pani Annivale.

- To takie formalne. My chyba nie musimy być aż tak formalni, prawda?

Stała blisko niego i patrzyła mu w oczy; rozchyliła lekko usta.

- Pytałem, dlaczego nie zamieszkas z moim ojcem?

- Powiedzmy, że gustuję w trochę młodszych mężczyznach.

Nie było możliwości, by źle zinterpretował ton jej głosu lub to wymowne spojrzenie. Wszystko jest jak należy, mówił do siebie w myślach. Ona wie, że w następnym tygodniu już go nie będzie; jej łóżko pachnie świeżością, ojciec śpi. Jego ciało, zupełnie nie proszone, zareagowało na ten pomysł niemą aprobatą.

Odwrócił się od niej pośpiesznie.

- To wspaniałe, że się nim opiekujesz, Judy.

- Posłuchaj, Ted...

- Masz już tę tarkę do sera? Lepiej chodźmy zobaczyć, czy z ojcem wszystko w porządku.

Poszedł przodem. Czuł się dosyć idiotycznie. Ona najwidoczniej też, sądząc po tym, jak nagle zaczęła trajkotać. Ale w końcu... przecież to byłoby jak kazirodztwo. Istniały rzeczy, którym nie można było ulegać, niezależnie od kondycji moralnej!

Choć prawda był inna, Judy Annivale była przekonana, że obraziła Busha, w związku z czym starała się być dla niego wyjątkowo miła, co na dłuższą metę okazało się dosyć męczące.

Raz czy dwa musiał nawet szukać przed nią schronienia w swojej pracowni, zaszywając się w niej z nie dokończonym popiersiem Franklina. W dniu, w którym po Busha miała przyjechać ciężarówka, Judy poszła za nim do jego pracowni.

- Daj mi spokój! - W zmarszczkach wokół jej ust widział czającą się śmierć.

- Nie bądź niemiły, Ted! Chciałam po prostu zobaczyć twoje prace. Kiedyś nawet wydawało mi się, że jestem utalentowana plastycznie.

- Jeśli chcesz się pobawić moją gliną - proszę bardzo, ale przestań za mną łązić! Próbujesz mi matkować, czy co?

- Naprawdę myślisz, że tak zachowują się matki, Ted?

Wzruszył ramionami. Czuł, że nie ma w nim żadnych moralnych oporów. Może właśnie tracił okazję, która nie przydarzy mu się ponownie przez długi czas.

Głowa Jamesa Busha pojawiła się w drzwiach.

- A więc to tutaj się ukrywacie?

- Właśnie mówiłam Tedowi, jak zazdroszczę mu jego talentu. Kiedy byłam młodsza, też miałam artystyczne zacięcie. Te ogromne przestrzenie przeszłości, po których podróżowałeś, musiały ci pomóc w tworzeniu.

Cień podejrzenia przemknął przez umysł Jamesa Busha. Rzucił zirytowany:

- Bzdura! Ten chłopak widział tyle co nic! Myślisz dokładnie tak, jak wszyscy - nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak stara jest Ziemia i jak niewielki fragment jej przeszłości jest dostępny nawet dla mentalnych podróżników.

- Tylko nie analogia z zegarem, tato! - Bush słyszał ten kawałek już parę razy.

Jednak ojciec już zaczął swoją opowieść. Dokładnie opisał Judy, jak wygląda podręcznikowy diagram, na którym stworzenie Ziemi przedstawione jest dokładnie o północy. Po północy następują długie godziny martwej ciemności, czas ognia, niekończące się deszcze, okres prekambryjski, kryptozoik, o którym wciąż niewiele wiadomo. Najstarsze skamieliny datuje się na okres kambryjski, a ten pojawił się na tarczy zegara dopiero o dziesiątej. Olbrzymie gady i ziemnowodne nadeszły razem z karbonem około jedenastej, a zniknęły kwadrans przed dwunastą. Pojawienie się ludzkości to moment na dwanaście sekund przed południem, natomiast czas, jaki upłynął od epoki kamiennej, to zaledwie ułamek sekundy.

- To właśnie miałam na myśli, kiedy mówiłam o przestrzeniach! - powiedziała z przekonaniem Judy.

- Chyba jednak nie do końca to rozumiesz, moja droga. Te miliony lat, o których mówią podróżnicy mentalni, to zaledwie dziesięć ostatnich minut na tarczy. Człowiek jest niewielką istotą, a jego maleńkie życie nie tylko kończy się snem, lecz również się nim zaczyna.

- Analogia z zegarem jest myląca - powiedział Bush. - Nie mówi nic o niezmierzonej przyszłości, dużo bardziej rozległej niż przeszłość. Wydaje ci się, że twój zegar wszystkiemu nadaje odpowiednią perspektywę, a prawda jest taka, że ją odbiera.

- Nie możemy przecież zobaczyć przyszłości, prawda?

To pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Oddział

Ciężarówka dostarczyła Busha do centrum treningowego o 10.30 rano. Jeszcze przed południem odebrano mu jego cywilne ciuchy, które zastąpił szorstki uniform w kolorze khaki; ogolono mu głowę; musiał przejść przez lodowatą kąpiel dezynfekującą; został zaszczepiony przeciwko tyfusowi, cholercze, tężcowi i ospie; poddano go badaniom, które miały sprawdzić, czy nie jest nosicielem chorób wenerycznych; pobrano wzór jego siatkówki; zdjęto odciski palców. Po tych wszystkich zabiegach pomaszerował na stołówkę, by zjeść kiepski, jak się okazało, posiłek.

Właściwy kurs rozpoczął się punktualnie o 13.00 i od tego momentu aż do końca miesiąca był prawie tak samo intensywny.

Bush został przydzielony do Oddziału Dziesiątego, którym dowodził sierżant Pond. Pond serwował swoim podwładnym serie ciężkich, niekiedy prawie niemożliwych do wykonania zadań. Musieli nie tylko nauczyć się maszerować w stepie, ale nawet po nim biegać. Musieli odpowiadać na rozkazy wydawane z odległości ćwierć mili, jeśli głos, który je wykrzykiwał, należał do sierżanta Ponda - co dało się rozpoznać po jego nieprzyjemnym i chropowatym tonie. Musieli nauczyć się wspinać na wysokie mury i spadać z ogromnych wysokości; wchodzić po linach i przedzierać się przez mokradła; musieli nauczyć się, jak kopać doły i dusić swoich towarzyszy; strzelać i dźgać, pocić się i przeklinać, jeść odpadki i udawać martwych. Na początku, sardoniczna część świadomości Busha świetnie się bawiła, obserwując z boku jego poczynania. Od czasu do czasu słyszał, jak szepcze „Celem tego ćwiczenia jest pozbawić cię indywidualności. Staniesz się maszyną wykonującą rozkazy. Kiedy przekroczysz ten wiszący most i nie rozbijesz się na skałach, będzie w tobie jeszcze mniej człowieka, niż zanim podszedłeś do tego zadania”. Jednak ten sardoniczny głos szybko ucichł, uśpiony nużącą powtarzalnością bezsensownych czynności. Był zbyt otumaniony i zmęczony, by się buntować, a szorstkie ryknięcia Ponda skutecznie zagłuszały podszepty jego intelektu.

Okazało się jednak, że był wystarczająco czujny, by zauważyć, co robią niektórzy z jego współtowarzyszy. Większość z nich, a do tej większości należał też Bush, akceptowała i znosiła bez słowa to, co się działo, zapominając o swoim właściwym, prywatnym „ja”; takie podejście ułatwiało przetrwanie. Były też dwie grupy mniejszościowe; jedna składała się z nieszczęśników, którym nie udało się zapomnieć o tym, że każdy z nich jest odrębną osobowością. Na apele przychodzili spóźnieni, w zakurzonych butach; nie mogli jeść tego, co

wszyscy; na komendę „w prawo zwrot”, oni odwracali się w lewo; sadzawki okazywały się dla nich zbyt głębokie; czasami, w nocy, gdy wszyscy inni już spali, słychać było ich szloch.

Drugi odłam mniejszościowy nadał sobie nazwę „Oddział Świrusów”. W jego skład wchodził ci, dla których źródłem przyjemności były zniewagi sierżanta Ponda, którzy w koszarach czuli się wprost znakomicie, a rozpruwanie wypchanych trocinami manekinów było ich ulubionym zajęciem. Wolny czas spędzali na upijaniu się do nieprzytomności, bijatykach z członkami drugiej mniejszości, niespodziewanych wymiotach na podłogę, podlizywaniu się Pondowi i zgrywaniu bohaterów.

To jednak właśnie oni stanowili kręgosłup oddziału i wzmacniali jego ducha, a kiedy było już po wszystkim, Bush zastanawiał się, czy byłby w stanie wytrwać do końca kursu, gdyby nie pragnienie udowodnienia, że jest równie twardy jak oni.

Starał się jak mógł najlepiej i nawet udało mu się wybić, jednak tylko na strzelnicy, gdzie oddział miał ćwiczenia w każdy poniedziałek i czwartek rano. Tutaj uczyli się używania broni lekkiej, która mogła później wejść w skład ich standardowego wyposażenia (co było jednak mało prawdopodobne). Broń lekka wypuszczała zwarte snopy światła, za pomocą których z łatwością można było wypalić piękną dziurę na przestrzał w potencjalnym celu, znajdującym się nawet w odległości pół mili od strzelca. Bush był jednak zafascynowany czym innym, a mianowicie artystycznym wykonaniem tejże broni. Jej smukła metalowa lufa rozporządzała podstawowym „tworzywem” malarzy, światłem: nadawała mu kierunek, organizowała je w zwarte strumienie; drzemiący w niej rubinowy laser wypływał światło o wartości milisekund i doprowadzał je w postaci monochromatycznych promieni prosto do wyznaczonego celu.

Oprócz ćwiczeń obejmujących krok marszowy, pogonie i zaaranżowane walki, odbywały się również wykłady. Kiedy cały oddział zasiadał w ławkach, podczas tych rzadkich chwil spokoju Bush zastanawiał się, co tak naprawdę jest celem kursu.

Na jego formułę składały się naprędce skompilowane elementy innych kursów wojskowych, jednak nie widział związku między tym, czego go tutaj uczono, a jego przyszłą pracą na stanowisku agenta. Systematycznie go poniżano, być może nawet bardziej efektywnie niż w przypadku Oddziału Świrusów, który zachłannie przyjmował każdą karę, jaka została mu wymierzona. Po prostu nie widział w tym wszystkim sensu. I wtedy zrozumiał, co mogłoby to znaczyć dla submentalności - poniżana i deptana, nie buntowałaby się przeciwko śmierci, gdyby wydano jej taki rozkaz.

Ale przecież to był absurd... Nie po to się szkolą, by za chwilę posłano ich na śmierć. Nienawiść, którą przez dwanaście godzin dziennie wszczepiał im sierżant Pond, miała ich

nauczyć cierpieć, nie umierać. Ale przecież ich submentalności podawano truciznę i nikt nie protestował! To było jakieś szaleństwo! A cały ten spisek, to wcale nie wymysł generała Bolta; wyrażono na niego ogólne przyzwolenie. Człowiek od zawsze ogłupiał się w taki sposób, stępując swoje zmysły, pozbawiając się indywidualności. Jako artysta, zawsze był sam. Teraz otaczali go współtowarzysze niedoli. Mógł zaglądać do ich wnętrza. Z ich klatek piersiowych wychodziły okna. Coś czaiło się za nimi, próbowało wyjrzeć na zewnątrz. Okna były zamglone, zaparowane powietrzem napętniającym pęcherzyki płuc; ciężko było cokolwiek zobaczyć. Coś lub ktoś, ukryty w środku, pisał palcem po szybie. To było wołanie o pomoc, informacja, w której tkwiło wyjaśnienie sensu działań człowieka. Litery były odwrócone, a wyrazy bieły w kierunku przeciwnym do prawidłowego. Już był o krok od rozszyfrowania tych słów, kiedy...

Wywołano jego imię i od razu usiadł.

Wywołano jego imię a natychmiast zasnął!

- Macie dziesięć sekund na odpowiedź, Bush. - Oficer o czerwonej twarzy, kapitan Stanhope, stał przy tablicy, wpatrując się w Busha. Oczy wszystkich zwrócone były teraz ku niemu, a trooperzy zaczęli posyłać sobie porozumiewawcze uśmiešky.

- Jabłko Adama! - szepnął jeden z nich.

- Jabłko Adama, sir - powiedział Bush z przekonaniem.

Cała sala zatrzęsa się od gromkiego śmiechu. Świrusy były tak ubawione swoim żartem, że niemal pospadały z ławek.

Stanhope poprosił o ciszę. Gdy wreszcie udało mu się przywrócić porządek na sali, powiedział:

- Bush, prosiłem was o przykład popularnego gatunku jabłek. Próbujecie sobie stroić ze mnie żarty, tak? Porozmawiamy o tym później.

Bush rzucił dowcipnisiom nienawistne spojrzenie.

Po wykładzie udał się do kapitana. Kiedy reszta oddziału z hałasem wytaczała się z sali, on stojąc na baczność czekał, aż oficer raczy go zauważyć.

- Próbujecie bawić się moim kosztem.

- Nie, sir. Zasnąłem.

- Zasnęliście! Podczas mojego wykładu!

- Jestem wyczerpany, sir. Zbyt dużo biegania i ćwiczeń.

- Co robiliście przed rewolucją?

- Byłem artystą, sir. Tworzyłem instalacje kinetyczne i tym podobne rzeczy.

- Aha. Jak się nazywacie?

- Bush, sir.

- To wiem. Wasze pełne nazwisko.

- Edward Bush.

- W takim razie znam wasze prace. - Stanhope złagodniał nieznacznie. - Byłem kiedyś architektem, zanim jeszcze skończyło się zainteresowanie jakimikolwiek przedsięwzięciami architektonicznymi. Niektóre z waszych prac są naprawdę wspaniałe. Szczególnie podobały mi się te dla stacji Southhall; seria przestrzenno-kinetycznych instalacji była rewelacyjna. Mam - miałem - ilustrowaną książkę o waszej twórczości.

- Tą napisaną przez Branquiera?

- Tak, to był Branquier. Cieszę się, że was poznałem, chociaż szkoda, że w takich okolicznościach. Słyszałem też, że jesteście doświadczonym podróżnikiem mentalnym.

- Sporo czasu się tym zajmowałem.

- Nie powinniście byli znaleźć się na tym kursie! Czy to nie sam Wenlock wybrał was na podróżnika mentalnego?

- Częściowo to przez niego tu jestem.

- Hmm. Rozumiem. Co myślicie o sporze między Wenlockiem a Silverstone'em? Nie uważacie, że ortodoksyjność Wenlocka jest tak naprawdę nieuzasadniona w świetle tego, co miałby do zaproponowania Silverstone, gdyby pozwolono mu bez przeszkód przedstawić swoje poglądy? Przecież wiele przypuszczeń zostało uznanych za fakt.

- Nie wiem, sir. Nie mam o tym pojęcia.

Stanhope uśmiechnął się.

- Już sobie poszli. Możemy spokojnie rozmawiać. Mówiąc szczerze, to był spory błąd ze strony władz, że rozpoczęły polowanie na Silverstone'a. Co o tym myślicie?

- Jak już mówiłem, sir, to naprawdę ciężki kurs. Nie jestem w stanie myśleć. Nie mam wyrobionego zdania.

- Jako artysta, musicie mieć jakieś zdanie na temat tak ważnej kwestii, jak ta dotycząca Silverstone'a.

- Nie, sir. Tylko pęcherze na stopach i dłoniach; żadnych przemysłów.

Stanhope podniósł się z krzesła.

- Możecie odejść, Bush. Następnym razem, kiedy przyłapię was na drzemaniu podczas moich wykładów, będziecie mieli poważne problemy.

Bush odmaszerował w powadze. W środku jednak śmiał się i podśpiewywał. Tym gnojkom nie uda się złapać go tak łatwo!

Zastanawiał się, dlaczego władze miałyby ścigać Silverstone'a. Ta informacja brzmiała

jednak dosyć wiarygodnie. Dlaczego interesowała ich właśnie jego opinia na ten temat?

Zostały jeszcze dwa tygodnie kursu, jednak wypełnione bezsensownymi czynnościami dłużyły się niemiłosiernie. Od momentu utarczki ze Stanhopem, stał się ulubionym tematem żartów podczas wykładów, w czym przodował niezmiennie Oddział Świrusów.

- Jak tam, stary! Zaprosisz nas na kompocik z jabłek Adama?

Wreszcie nadszedł koniec kursu. Oddział Dziesiąty zgromadził się w sali wykładowej, w której odbywał się egzamin pisemny. Po nim każdy z kadetów odbywał jeszcze krótką rozmowę finalną z oficerami.

Bush stał naprzeciwko łysych mężczyzn, kapitanów Howesa i Stanhope'a.

- Możecie usiąść - powiedział Stanhope. - Zadamy wam kilka pytań testujących waszą wiedzę i szybkość reakcji. Proszę mi powiedzieć, jaki jest błąd w zdaniu: Natura wraz ze swoimi prawami kryje się w czeluściach nocy. Bóg powiedział, niech stanie się Newton i światłość zalała ziemię.

- To dokładny cytat jakiegoś poety - czy to nie Pope? Stwierdzenie to nie jest jednak prawdziwe. Bóg nie istnieje, a Newton nie odegrał aż tak wielkiej roli, jak wydawało się jemu współczesnym.

- A gdzie tkwi błąd w takim zdaniu: Władza popełnia błąd, ścigając Silverstone'a.

- Zdanie jest poprawne.

Stanhope rzucił mu groźne spojrzenie.

- Na pewno?

- Wydaje mi się, że tak.

- Dobrze się zastanówcie.

- Jaka władza? Jaki Silverstone? Naprawdę nie wiem. Nie widzę żadnych błędów.

- Następne pytanie...

Zanurzyli się w gmatwaninę banałów. Bush znalazł się w krzyżowym ogniu pytań, które, na zasadzie alteracji, padały z ust jednego bądź drugiego kapitana. Kiedy jeden milczał, drugi mierzył Busha podejrzliwym wzrokiem. Wreszcie farsa dobiegła końca.

Kapitan Howes chrząknął, po czym powiedział:

- Kadecie Edwardzie Bush, mamy przyjemność oznajmić, że zaliczyliście test. Zdobyliście osiemdziesiąt dziewięć procent w ogólnej punktacji. W waszych aktach znajdzie się dodatkowo notatka o niestabilnej osobowości, która szczególnie predysponuje was do podróży mentalnych. W ciągu najbliższych dni prawdopodobnie zostaniecie wysłani ze specjalną misją.

- Co to za misja?

Howes roześmiał się bez przekonania. Był postawnym mężczyzną i wyglądał tak, jakby to raczej on, nie Stanhope, kontrolował sytuację.

- Myślę, że macie już dosyć na dzisiaj! Spokojnie, Bush! Kurs już się skończył. Jutro o dziewiątej trzydzieści stawicie się tutaj po listę wskazówek dotyczącą waszej wyprawy. Do tego czasu jesteście wolni.

Schylił się i z szuflady biurka wyjął butelkę, którą z powagą wręczył Bushowi.

- Żebyście nie myśleli, że w obecnym reżimie nie ma miejsca na rozrywkę czy nadzieję na lepsze czasy. Idźcie i zabawcie się trochę, a to przyjmijcie jako prezent z najlepszymi życzeniami od oficerów naszego kursu.

Kiedy wyszli, Bush badawczo przyjrzał się butelce. Miała dużą tartanową etykietę, a alkohol nazywał się „Black Wombat Special: Oryginalna Południowoindyjska Whisky, Sporządzana w Madrasie według Tajnej Receptury”. Odkręcił metalową nakrętkę i ostrożnie powąchał. Przeszedł go dreszcz.

Oddział Świrusów już zaczął świętować koniec kursu. Popijali mieszankę jakichś tanich alkoholi rozlanych do małych kubków. Jak zwykle powitali Busha nawiązaniem do historii z jabłkiem Adama. Zostali wyznaczeni do pracy jako cywile w nowo uformowanym oddziale policji do spraw podróży mentalnych. Mieli jeszcze tydzień przerwy do rozpoczęcia służby. Uroczyście ślubowali sobie, że spędzą ten czas pijani w sztok.

Bush postawił przed nimi Whisky Sporządzaną według Tajnej Receptury. Kiedy zasiadł za stołem, zauważył, że wśród nich znalazł się sierżant Pond. Ten sam Pond, który w ciągu ostatniego miesiąca najłagodniej określił ich jako stado krwawiących wielbłądów; Pond, który przez cały czas ujadł na nich jak pies gończy lub irytował ustawicznym szczekaniem niczym terier.

Pond objął Busha ramieniem.

- Byliście moim najlepszym oddziałem, chłopcy! Co ja bez was zrobię? Jutro czeka mnie kolejny wysyp rekrutów, którym trzeba będzie wycierać nosy. Jesteście moimi przyjaciółmi!

Szczerząc zęby w uśmiechu, Bush nalał Pondowi trochę Tajnej Receptury do kubka, w którym już znajdowała się jakaś brązowa ciecz.

- Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Bush - wybełkotał sierżant. Jego łamiący się głos był prawie niesłyszalny; część rozbawionej bandy zaczęła w tym momencie gwizdać, krzyżeć i śpiewać, wybijając przy tym pijacki rytm na pustych koszach, puszkach i innych podobnych instrumentach. Bush sięgnął po Black Wombat i po chwili był już pijany.

Cztery godziny później, niemal wszyscy w baraku byli w stanie ciężkiego upojenia.

Pond chwiejącym się krokiem opuścił towarzystwo, pozostali znaleźli się w łózkach, do których dotarli albo o własnych siłach, albo zostali w nich umieszczeni przez rozbawionych kumpli. Jakiś samotny niedobitek, zaciskając dłonie na butelce, stał przy szeroko otwartym oknie w drugim końcu pokoju, nucąc sprośną piosenkę.

... Chwycił mocno pokojówkę

Jakiż grzeszny był to chwyt...

Wreszcie zapanowała zupełna cisza. Bush leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Czuł strach, który wydał mu się dziwnie znajomy.

- Ja chyba nie umieram, prawda? - wyszeptał. Słyszał głosy. Zobaczył sylwetki czterech mężczyzn, stojące wokół jego łóżka. Dwóch z nich miało czarne szaty, dwóch zaś białe. Usłyszał, jak jeden z nich mówi:

- On nie jest w stanie zrozumieć słowa z tego, co mówisz; jest wsłuchany jedynie w swoje potrzeby. Wyobraża sobie teraz, że znajduje się w innym miejscu, być może w innym przedziale czasu. Ile tu robactwa!

Wspomnienie o robakach sprawiło, że Bush podniósł się na łóżku. Nędzny, ponury pokój pełen był nieprzytomnych ciał o rozpostartych bezładnie członkach. Czterej mężczyźni wciąż stali przy nim. Ulegając sugestywności swojej wizji, zwrócił się do nich z pytaniem:

- Gdzie jestem?

- Cicho! - nakazał jeden z mężczyzn - bo obudzisz cały oddział. Cierpisz na niedotlenienie z klasycznymi halucynacjami.

- Ale przecież okno jest otwarte! - zaprotestował. - A tak właściwie, co to jest za miejsce?

- Szpital dla Umysłowo Chorych w Garfield. Szukaliśmy cię; wierzymy, że to ty jesteś jajem owodniowym.

- Chyba owodniową jajecznicą - powiedział. Osunął się z powrotem na łóżko, gdyż nagle ogarnęło go uczucie alkoholowego upojenia i świadomość błahości tego, co się działo. Ci faceci nie mogli mu nic zrobić. W tym samym momencie, w którym jego głowa opadła na poduszkę, pochłonęła go rozwarta paszcza snu.

Następnego ranka, mimo potwornego pulsowania w głowie, udało mu się dotrzeć na czas do sali wykładowej. Howes i Stanhope byli na miejscu z parominutowym opóźnieniem. Obaj w cywilnych ubraniach. Mieli teraz wolne - aż do początku następnego kursu. Przed budynkiem roilo się od dziwnie ubranych mężczyzn z rozwiązanego już Oddziału Dziesiątego.

Część z nich zmierzała do domu, część na służbę. Rzucali jeszcze w swoim kierunku ostatnie przed rozstaniem sprośności.

Oficerowie usiedli w ławce obok Busha i Stanhope zaczął wykład w tonie charakterystycznym dla rozmów biznesowych.

- Wiemy, że będziecie zaszczytzeni misją, którą rząd dla was wyznaczył. Jednak, zanim poinformujemy was o szczegółach dotyczących samej misji, konieczne będzie umiejscowienie tego przedsięwzięcia w pewnym szerszym kontekście, który powinniście znać.

Znajdujemy się w chwili wielkiej niepewności, zarówno wewnątrzpaństwowej, jak i ogólnonarodowej, o czym pewnie już wam wiadomo. Nowe teorie na temat czasu zachwiały dotychczasowym status quo. Ta sytuacja najsilniej zauważalna jest w Zachodniej Ameryce i Europie, które ze względów historycznych zawsze były obszarami silnie zakorzenionymi czasowo. Na Wschodzie bez większych zmian. Czas i trwanie mają inne znaczenie dla Chińczyka czy Hindusa, niż mają dla nas.

Generał Peregrine Bolt musiał wziąć spraw w swoje ręce, gdyż nasz kraj był na skraju załamania ekonomicznego. Rządy silnej ręki będą potrzebne jeszcze przez dłuższy czas, zanim przystosujemy się do nowych warunków - w międzyczasie będziemy musieli, i tu kryje się paradoks naszej sytuacji, przyjąć pomoc od Wschodu.

Pulsująca głowa Busha podsunęła mu odpowiedź:

- Domyślam się, że stąd wziął się pewnie Black Wombat Special.

Spostrzegł, że Stanhope nie wie, o co chodzi, jednak Howes zrozumiał aluzję.

- Zrozumiecie, że to absolutnie konieczne, by nie pojawiły się żadne nowe przeszkody zagrażające temu porządkowi, który usiłujemy zaprowadzić.

- O jakich przeszkodach mówicie?

Stanhope wyglądał na zakłopotanego. Howes powiedział:

- Myśli i idee mogą stanowić większe zagrożenie niż powstanie zbrojne. Jako intelektualista, powinniście być tego świadomi.

- Nie jestem intelektualistą.

- Przepraszam. Załóżmy, że pojawiłaby się teraz kontrowersyjna koncepcja dotycząca natury czasu. To mogłoby zaprowadzić nas z powrotem do punktu, w którym byliśmy parę miesięcy temu.

Bush powoli zaczynał rozumieć. Ci dwaj mężczyźni wydawali się być tak nieszkodliwi, tak marginalni w swojej ważności (Stanhope rzeczywiście nie był zbyt błyskotliwym facetem), a jednak siedzieli tutaj niczym dwaj źli wujowie przy łóżku chorego dziecka i opowiadali mu brzydkie historie, które mogły odsłonić tajemnicę... obaw reżimu, a w konsekwencji obaw

Bolta; tajemnicę wszystkich neuroz tego wieku... W twarzy Howesa było coś, co prowokowało takie właśnie myślenie; wydawało się, że był szczery aż do bólu, a jednak coś ukrywał: klasyczny dylemat inteligentnego człowieka skazanego na funkcjonowanie w systemie totalitarnym.

Howes zwrócił się ponownie do Busha:

- Jak widzicie, problemem jest czas. To wszystko, czym jest człowiek, wszystko, co udało mu się stworzyć - chociaż kapitan Stanhope mówi, że jest to twierdzenie bardziej prawdziwe dla Zachodu niż dla Wschodu - bazuje na koncepcji jednokierunkowości czasu, który możemy porównać do wody przepływającej przez śluzę. Jest to jednak koncepcja wymyślona przez człowieka, wyrosła na nieświadomości prawdy, którą tłamsił gdzieś w lochach swego istnienia, w submentalności, jak ją nazywamy; od czasu do czasu przecucie prawdy sączy się przez jej szczeliny, by go nękać. Przeczuwane podświadomie wypadki, sny, doznania pozazmysłowe, deja vu i tak dalej - niemal wszystko, co można by określić jako magiczne czy przesadne - to właśnie są owe szczeliny, które bezpośrednio zagrażają teorii jednokierunkowości (linearności?) czasu. Dlatego też już na wstępie zostały wyśmiane.

- A jaka jest wasza alternatywa dla takiej koncepcji?

- Czas współtrwający. Znasz tę teorię i wierzysz w nią. Przeszedłeś szkołę Wenlocka. Czas i przestrzeń, przeszłość i teraźniejszość mają taką samą wartość energetyczną. Wyobraź sobie bezkształtny świat, bez dnia i nocy, bez procesów organicznych: nie mielibyśmy podstaw do stworzenia jakiegokolwiek koncepcji czasu, nawet tak nieprawdziwej jak jednokierunkowość, ponieważ z punktu widzenia człowieka nie byłoby możliwości ustalenia różnic czasowych. Zasadniczy błąd, którym jest pojęcie upływu czasu, tkwi w ludzkiej świadomości, nie zaś w świecie zewnętrznym: wiara w to sprawia, że nie mówimy o podróży w czasie, jak woleliby to formułować niektórzy, lecz o podróży mentalnej. Odkrycie Wenlocka jest początkiem i nie możemy na tym poprzestać. Wszystkie opozycyjne teorie trzeba wykorzenić, by nie popchnęły nas z powrotem w stronę chaosu.

- Rozumiem, że są jakieś teorie opozycyjne?

Wiedział, jaki będzie ciąg dalszy, zanim jeszcze Stanhope zdążył odpowiedzieć (to była domena Stanhope'a: bezpieczny świat, dużo prostszy niż królestwo spekulacji):

- Wiesz, że są. Ten renegat Silverstone, kiedyś współpracownik Wenlocka, stara się przeforsować jakieś nonsensowne teorie.

- Heretyk, co?

- Nie żartujcie sobie, Bush. To nie herezje, lecz zdrada. Silverstone jest winien zdrady stanu, ponieważ usiłuje poprzez swoje teorie zmącić jego spokój. Musi zostać wyeliminowany.

Bush domyślał się, co zaraz nastąpi. Nawet ci szaleńcy, którzy odwiedzili go zeszłej nocy, domyśliliby się tego. Silverstone był maniakiem podróży mentalnych. Władze potrzebowały kogoś podobnego, aby go znalazł i zlikwidował - kimś takim był Bush.

Howes chyba czytał w jego myślach, bo powiedział:

- To właśnie wasza misja, Bush i mam nadzieję, że okażecie się wartym tego zaszczytu. Musicie znaleźć Silverstone'a i go wyeliminować. Wiemy, że wybrał się w jakiś odległy czasookres. Prawdopodobnie podróżuje pod przybranym nazwiskiem. Zapewnimy wam każdą pomoc.

Z trzaskiem otworzył teczkę, którą miał przy sobie i wyjął z niej spory stos dokumentów, które wręczył Bushowi.

- Macie czterdzieści osiem godzin przepustki. Po tym czasie zostaniecie odpowiednio wyposażeni i przygotowani do podróży mentalnej, z której wrócić możecie dopiero po zlikwidowaniu tego zdrajcy. Postaramy się, by waszemu ojcu niczego nie zabrakło; z pewnością zadowoli go Black Wombat. Przestudiujecie te dokumenty i zapoznacie się ze wszystkimi szczegółami sprawy Silverstone'a... oczywiście bez przyswajania jego wywrotowych teorii.

Wyczuwając ostrą nutę w głosie Howesa, Bush spojrział na niego, jednak na twarzy mężczyzny nie dostrzegł nawet cienia emocji. Spuścił wzrok z powrotem na akta. Na wierzchu leżało zdjęcie Silverstone'a. Ukazywało człowieka z długimi, splątanymi białymi włosami i zaniedbanymi wąsami. Miał długi i zakrzywiony nos. Mimo że jego oczy spoglądały poważnym, trochę nieobecnym wzrokiem, w kącikach ust ciał się uśmiech. Kiedy Bush widział go ostatnio, mężczyzna miał włosy krótko ostrzyżone i zafarbowane, a po zaroście nie było śladu; nie miał jednak trudności z jego rozpoznaniem: to był Stein.

- Zobaczę, co się da zrobić, panowie - powiedział. - To będzie dla mnie przyjemność.

Pożegnali się uściskiem ręki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Słowo od Williama Wordswortha

Rozklekotana ciężarówka odwiozła Busha do domu jego ojca. Poza swoim wyposażeniem przywiózł pół walizki wypełnionej butelkami Black Wombat Special; tak rząd wyrażał swoją wdzięczność.

Stał na chodniku, dopóki ciężarówka nie znikła zupełnie z pola widzenia. Wiosna przerodziła się w duszne lato. Samochód z trudem toczył się pod górę wśród tumanów kurzu. Jeśli służby porządkowe się tym nie zajmą, droga wkrótce zupełnie zarośnie chwastami, które już teraz pieniły się wzdłuż krawężników. Próchniejące pnie wiśniowych drzew w ogrodzie ojca niemal całkowicie schowane były wśród pokrzyw i innego zielska, niczym świadkowie zmian zanurzeni w jednokierunkowym czasie.

Bush stał przez dłuższy czas w bezruchu, smakując tę chwilę wolności od okropnego życia w koszarach. Czuł się tak, jakby udało mu się wyrwać z kaftanu bezpieczeństwa. Nie mógł jeszcze wejść do tego małego domku; wyglądał tak klaustrofobicznie, a on potrzebował przestrzeni, aby pooddychać. Było mu to teraz bardzo potrzebne... Stał tak i nagle ogarnął go śmiech. Na myśl przyszła mu ruchoma konstrukcja, którą mógłby zbudować: lśniące kawałki metalu zawieszane na nitkach, reprezentujące minuty i sekundy, które byłyby wdmuchiwane przez powiew powietrza do dwóch klatek dla ptaków. Zrobienie czegoś takiego nie kosztowałoby go wiele wysiłku.

Ukrył walizkę z whisky w pokrzywach i ruszył ulicą w dół, w tym samym kierunku, w którym odjechała ciężarówka. W okolicy nie było ani żywej duszy. Wokół tylko szarość. Pomyślał o seksie. Starał się myśleć o Ann i pani Annivale, jednak nie mógł sobie przypomnieć ich twarzy. Ostatni miesiąc tak go wykończył, że opuściła go jakakolwiek ochota na seks; nawet wspomnienie zapraszająco rozłożonych ud przestało go prześladować. Szaleństwo wojskowego rygoru sugerowało, że ludzkość była poważnie skrzywiona; jeśli było inaczej, to jak można wytłumaczyć fakt, że na przestrzeni tylu pokoleń ludzie godzili się na takie tłamszenie indywidualności? Teraz doświadczał skutków tego udręczenia.

Spacerował ulicami bez celu; na końcu jednej z nich spostrzegł mały staw. Zdziwił się, bo nie przypominał sobie, by go widział wcześniej. Stał nad jego brzegiem, obserwując bagnistą płyciznę pełną porzuconych rzeczy: zatopionych butów, opon, puszek.

Nagle usłyszał jakieś głosy. Tuż przy stawie stał zrujnowany budynek; głosy zdawały się dobiegać właśnie stamtąd. Bush wyteżył słuch. Ktoś wypowiedział nazwisko Bolt.

- Powinniśmy rozpocząć akcję.

- Zanim zrobi to Bolt!

- Im szybciej tym lepiej. Dziś po południu, jeśli uda nam się przekazać wiadomość; wstrzymuje nas tylko brak CSD. Postaram się o kontakt.

Padło jeszcze jedno nazwisko. Powiedzieli Treason? A może Gleason?

Bush podkraść się do budynku i zajrzał przez zamglone okno. W ciemności dostrzegł dwóch Murzynów rozmawiających z jakimś białym. Przeraził się nagle, bo zdał sobie sprawę, że mogą go zauważyć. Ostrożnie minął staw i zaczął biec. Zatrzymał się dopiero przed domem ojca. Do tego czasu stracił już pewność, czy naprawdę widział to, co wydawało mu się, że widział, czy też jego skołatane nerwy zwodziły go, podsuwając mu takie obrazy. Wciąż nie mógł pogodzić się ze śmiercią matki. Potrzebował odpoczynku.

Odszukał w krzakach swój sprzęt i walizkę z whisky i szybko wszedł do domu.

James Bush otworzył butelkę trunku, nalał trochę pani Annivale, Bushowi i sobie, po czym wysłuchał w milczeniu opowieści o nowym życiu, które niedługo miał rozpocząć jego syn. Bush dostał zakaz mówienia o Silverstonie. Wersja oficjalna była taka, że wyjeżdża po to, aby patrolować przeszłość. Podkreślał, że dzięki tej akcji dni lenistwa odejdą w zapomnienie, a on stanie się aktywnym człowiekiem. W trakcie opowiadania wymachiwał rękami, by uwiarygodnić swoje podekscytowanie.

- No to dopięli swego! - wykrzyknął ojciec. - Zajęło im to zaledwie miesiąc! Ogolili ci głowę i wyjęli mózg. Czy ty w ogóle słyszysz, o czym mówisz? O działaniu! Działanie jest niczym!

- Ty raczej zapiliś się na śmierć, niż zaczął działać!

- Pewnie że tak! I to na pewno nie tym głównym. Szkoda, że nic nie czytasz, bo wiedziałbyś, co miały do powiedzenia Wordsworth w takiej sytuacji.

- Do diabła z twoim pieprzonym Wordsworthem!

- Powiem ci, co powiedziałyby pieprzony Wordsworth!

- Nie interesuje mnie to!

- I tak ci powiem! - Wstał i zaczął krzyczeć na Busha. Ten skoczył i chwycił ojca za nadgarstki. Stali tak, patrząc na siebie z nienawiścią, kiedy ojciec zaczął recytować:

Działanie jest przejściowym krokiem, uderzeniem,

Poruszeniem mięśnia w tę czy inną stronę -

Zrobione, dokonane, a potem nadchodzi

Zdziwienie, czemuż to czujemy się jakby nas zdradzono:

Cierpienie zaś jest trwałe, niezbadane, mroczne,

Przedsmakiem ono tego, co jest nieskończone.

- I co ty na to, hmm?

- Pieprzony jednokierunkowy nonsens! - odepchnął ojca od siebie i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju. Przechytrzy ich wszystkich. Nie zdają sobie sprawy z tego, że to, co się wydarzyło, było nieodłączną częścią życia artysty. Wordsworth powinien był mieć na tyle zdrowego rozsądku, by rozpoznać swój błąd: bierność, tak samo jak i działanie, są częścią cierpienia.

W ciągu następnych dwóch dni inercji znalazł sobie kolejny powód, by się umartwiać. Tłumaczył sobie, że zgodził się na taki bieg wydarzeń nie tylko dlatego, że on sam będzie miał z tego korzyści, lecz również po to, by zapewnić względne bezpieczeństwo swemu ojcu. Jednak jeśli patronat rządu miał ograniczać się jedynie do whisky, faktycznego wsparcia było w tym niewiele. Prawda była taka, że postawił ojca na ścieżce, która wiodła tylko w dół.

Kiedy zbliżali się do końca drugiej butelki Black Wombat, James Bush włączył telewizor. Ekran wypełnił widok sielskiego krajobrazu, na górze zaś pojawił się napis: „Za Chwilę Nastąpi Ważne Ogłoszenie”; zaczął grać jakiś żołnierski zespół.

- Zdrada! - krzyknął Bush. Rzucił się na kolanach w kierunku telewizora i zaczął majstrować przy pokrętlach.

Pojawił się mężczyzna z dwiema głowami. Po chwili, gdy Bush wyregulował obraz, dwie głowy zlały się w jedną, która mówiła:

- Z powodu problemów w całym kraju, wczoraj w nocy we wszystkich większych miastach ogłoszono stan wojenny. Tak zwany rząd generała Bolta okazał się zupełnie nieskuteczny. Dzisiejszego ranka przedstawiciele Ludowej Partii Działania, po krótkiej akcji zbrojnej, przejęli kwaterę główną rządu. Dobro naszego kraju jest teraz w rękach admirała Gleasona, który od tej pory kontrolować będzie funkcjonowanie instytucji rządowych i dowodzić siłami zbrojnymi kraju. Normalna procedura działania rządu zostanie niedługo przywrócona. Admirał Gleason przemówi teraz do narodu. Admirał Gleason!

Przy dźwięku werbla kamery pokazały ujęcie pokoju, gdzie za biurkiem siedział potężny mężczyzna w mundurze. Po zbliżeniu, w kadrze widniała już tylko jego głowa i ramiona. Twarz o grubych rysach zachowała ten sam wyraz przez cały czas trwania krótkiego przemówienia. Z potężnej szczęki wydobywały się zdania, których dźwięk przypominał Bushowi charakterystyczny warkot sierżanta Ponda.

- Żyjemy w niepewnych czasach przełomu. Wszyscy musimy stosować się do surowych zasad, jeśli chcemy godnie przejść przez kolejny krytyczny rok. Ludowa Partia

Działania, której jestem przedstawicielem, wzięła sprawy w swoje ręce, byśmy mogli skutecznie pokonać problemy, w obliczu których stanął nasz naród. Skorumpowana władza, którą udało nam się obalić, zataiła informację o fatalnej kondycji budżetu państwa. Generał Bolt był zdrajcą. Mamy niezbita dowody na to, że planował wyemigrować do Indii, zabierając ze sobą dzieła sztuki i złoto z państwowego skarbcza. Moim przykrym obowiązkiem było nadzorować wykonanie wyroku na generale Boicie, co nastąpiło wczoraj wieczorem. Wszystko odbyło się w majestacie prawa i za zgodą obywateli tego kraju.

Proszę was teraz o pełną współpracę. Partia Działania to partia ludu, jednak w tych ciężkich czasach nie możemy tolerować żadnych ruchów opozycyjnych. Wszyscy zdrajcy, którzy współpracowali z Boltem, będą osądzeni w ciągu następnych dni; proszę was o pomoc w ich schwytaniu. Nie będę niczego ukrywać i zdradzę wam, że mamy wrogów także za granicą, którzy z chęcią wykorzystaliby naszą słabość. Im szybciej pozbędziemy się wichrzycieli na swoim własnym podwórku, tym łatwiej będziemy mogli zaprowadzić stabilny pokój, zarówno w kraju, jak i poza nim.

Niech naszym hasłem będzie: Zjednoczeni Przez Działanie. Zjednoczeni bez trudu pokonamy wszystkie przeciwności.

Po jego ostatnich słowach znowu zabrzmiał werbel. Gleason siedział nieruchomo, wpatrując się prosto w kamerę, aż jego postać znikła z ekranu. James Bush sięgnął przez ramię syna i wyłączył odbiornik.

- Wygląda na to, że będzie jeszcze gorzej niż za Bolta. - skonkludowała ponuro pani Annivale.

- Bolt był dosyć powściągliwy - powiedział James. - Zobaczycie, że Gleason ukróci to całe mentalne podróżowanie!

Wypowiedział to ostrzeżenie w sposób, który zawsze działał Bushowi na nerwy.

- W takim razie miejmy nadzieję, że Działanie jest przejściowe, tato, jak mawiał twój ulubiony poeta.

Atmosfera w domu zrobiła się nie do wytrzymania; pracownia Busha była wciąż w totalnym nieładzie, odkąd ją zdemolował. Wyszedł na bezcelowy spacer, czując w głowie ciężar wypitego alkoholu. Ktokolwiek dowodził tym chaosem, jego misja pozostawała niezmienna: musiał zabić Silverstone'a - chyba że Howes i Stanhope wydadzą nowe rozkazy. Nie miał takiego zamiaru, lecz ponownie znalazł się przy zapuszczonym stawie. Z rudery stojącej obok nie dochodził żaden głos; naprawdę słyszał, jak tamci mężczyźni planują zlikwidowanie Bolta czy było to po prostu dziwne przeczucie?

Stał spokojny na błotnistym brzegu, obserwując pływające w wodzie dwie żaby;

przypominały trochę ryby dwudyszne, które widział w dewonie. W wyobraźni budował wielkie, ruchome instalacje o imponujących tytułach, na przykład: „Bieg Ewolucji”, w których poruszające się płetwy przekształcały się w kończyny, te z kolei w skrzydła, przechodzące następnie w fale, z których ponownie wynurzały się płetwy.

Jego tajemnicze i prawdopodobnie cykliczne przeskoki mentalne we właściwym czasie weszły w kolejną fazę. Podjechała ciężarówka; musiał wyruszać. Pożegnał się z ojcem i panią Annivale i wspiął się na pakę. Wszystko to jednak wydawało się bardzo odległe. Ojciec i pani Annivale równie dobrze mogli być złudzeniami powstałymi w pasie ostrego blasku słonecznego. Wyglądało na to, że Bush znajdował się we wczesnej fazie stanu hipnagogicznego, będącego częścią procedury Wenlocka.

Kiedy wjechali na znajomy plac, Bush zauważył kilka cienistych figur z przyszłości. Obserwowały to miejsce; zastanawiał się, czy chcą upadku, czy może przetrwania nowego reżimu. Wysiadł z ciężarówki i stał przez chwilę, przyglądając się maszerującemu oddziałowi. Była to jedna z nowych jednostek uformowanych zaledwie dwa dni temu; musieli się jeszcze dużo nauczyć, zanim zrozumieją, na czym polega marsz w kolumnie. Sierżant Pond przy użyciu epitetów, pochodzących z jednego z najbardziej plugawych zestawów jakie miał w zanadrzu, starał się wykorzenić jakiegokolwiek myśli z głów kadetów i przemienić ich w automaty. Czy był to Bolt, Gleason, czy ktokolwiek inny, Pond był panem na swoim małym poletku tyranii.

Oddział z trudem uformował się w szereg. Jednemu z rekrutów spadła czapka. Bush przyjrzał się mężczyźnie. Rozpoznał tę pokrytą strupami twarz. Wydawało się to niemożliwe - z ogoloną wyglądał zupełnie inaczej - jednak wiedział, że rząd wyławia z przeszłości takich obiboków... To na pewno był Lenny, który pocił się teraz w nowym oddziale Ponda.

Bush wspomniał o tym Howesowi, który rozkazał dyżurnemu kapralowi przyprowadzić kadeta. Pięć minut później stał przed nimi Lenny w swojej posłusznej wersji. Dołki w jego policzkach były zapadnięte, a niespokojny wzrok przeskakiwał z Busha na Howesa.

Został przyłapany na „zakłócaniu porządku” przez cywilny patrol we wczesnej jurze. Reszcie gangu udało się uciec, a jego przytransportowano do terazniejszości.

Lenny zaprzeczył informacji, jakoby znał Steina. Howes posłał po Stanhope'a, gdyż była to sprawa wydziału bezpieczeństwa. Obaj kapitanowie, Bush, Lenny oraz jego eskorta, przeszli wąskim korytarzem do małego, pustego pomieszczenia. Kiedy weszli do środka, Lenny zaczął opierać się i krzyczeć. Na ścianach i podłodze było pełno śladów krwi. W jednym z rogów stał zestaw kijów golfowych. Howes przeprosił towarzystwo i opuścił pokój. Eskortą czekała za drzwiami.

Usta Stanhope'a przybrały przerażający grymas. Wziął jeden z kijów i zademonstrował Bushowi jak należy go używać. Lenny jęknął i osunął się na podłogę. Bush przejął kij wilgotny od uścisku Stanhope'a i wymierzył uderzenie prosto między żebra Lenny'ego. To było proste i przyjemne! Działanie!

Po wszystkim zastanawiał się, dlaczego czuje się, jakby go zdradzono. Lenny nie powiedział im nic prócz tego, że mieli ze Steinem kłótnię, po której Stein odłączył się od grupy; nie powiedział im nic, mimo że krwawił obficie.

Bush wziął prysznic i zjadł wysmienity samotny posiłek. Został odpowiednio wyposażony do swojej zabójczej misji. Dostał solidny kombinezon z głębokimi kieszeniami i paczkę zawierającą mnóstwo rzeczy, które mogły mu się przydać w podróży, wliczając w to broń laserową, z której strzał uśmiercał ofiarę znajdującą się nawet w odległości czterystu jardów (była to największa odległość, z jakiej mógł dostrzec przeciwnika w podróży mentalnej), pistolet gazowy i dwa noże; jeden z nich przymocowany był do paska, drugi ukryty w prawym bucie. Obładowano go zestawami przeróżnych witamin, tabletkami energizującymi i wodą w koncentracji. Dostał też najnowszy model konwertera powietrza.

Przeszedł go dreszcz, kiedy dostał rozkaz stawienia się w koszarach. Z pełnym ekwipunkiem czekał przed biurem pułkownika, aż dostanie pozwolenie na wejście. Minęło pięćdziesiąt minut, zanim sierżant wprowadził go do środka.

Pułkownik był łagodnie usposobionym, niskim mężczyzną, który tonął w powodzi papierów i rozkazów wydanych przez nowy rząd Działania. Prawdopodobnie dowiedziono, że nie był jednym z ludzi Bolta, bo w innym wypadku nie byłoby go tutaj.

Nie miał do zakomunikowania Bushowi nic ważnego, a to, co powiedział, przekazał w formie raczej bezładnej, próbując przebić się w tym samym czasie przez stosy papierów. Na koniec powiedział:

- Admirał Gleason ceni tych, którzy wywiązują się z obowiązków. Siverstone jest wrogiem publicznym, gdyż jego nauki mogą nam wszystkim wyrządzić wiele złego. Powiedzmy, że mogą zagrozić realizacji naszych celów. Jeśli uda wam się odnaleźć Siverstone'a i go zlikwidować, dopilnuję, by Admirał poznał wasze nazwisko. Nie myślcie o sobie jako o zabójcy, lecz jako o wykonawcy woli Stanu. Odmaszerować!

Ta sama rozklekotana ciężarówka, która przywiozła Busha do koszar, czekała, by dostarczyć go do stacji podróży mentalnych. Już niedługo będzie mógł się stąd wyrwać! Kiedy zarzucał na plecy swój ekwipunek, nadszedł kapitan Howes. Zmierzył Busha niechętnym wzrokiem. Taki sam wyraz twarzy Howes przybrał, gdy rozstawał się z Bushem przy pokoju tortur.

- Czy na pewno jesteście w stanie zabić Silverstone'a? - zapytał.

Bush chciał szczerze i otwarcie porozmawiać z tym człowiekiem, jednak czuł że to niemożliwe; był niedostępny nawet sam dla siebie.

- Tak - potwierdzenie w odróżnieniu od zaprzeczenia, było ostateczne.

- W takim razie do zobaczenia. Pamiętajcie, jak wiele od was zależy.

Wspiął się na ciężarówkę. Kiedy odsłonił plandekę, ujrzał, że Pond podwoił swój oddział przebiegający przez cienie przyszłości.

Na stacji podróży mentalnych Bush stał się nagle innym człowiekiem. Spokojnie oddał się w ręce chirurgów i pielęgniarek.

Bush został otoczony specjalną opieką. Personel medyczny również otrzymał rozkazy. Zaopatrzonego go w dodatkowy pakiet CSD - zauważył, że specyfik miał teraz postać kryształków. Wszedł do specjalnego pomieszczenia (wszystko po to, żeby nie mógł wrócić do współczesności niezauważony). Pielęgniarka o antyseptycznym uśmiechu wykluczającym pojawienie się choć cienia pożądania, pobrała Bushowi przepisową ilość krwi i sprawnym ruchem wycięła skrawek skóry z jego lewej piersi. Znajdował się teraz pod wpływem łagodnych środków uspokajających. Recytował fragmenty zasad sformułowanych przez Wenlocka. Przyjął pozycję embrionalną i zażył narkotyk.

Znowu był kimś innym: ani martwy, ani żywy, znajdował się w stanie, w którym nie zachodziły żadne zmiany i nie istniał czas. Jego umysł otwierał się, zwalniały się zasuwy drzwi niedostępnych dla ludzkości przez ponad milion lat, wpływał przez nie wszechświat. Był świadomy i szczęśliwy. Przepływały obok niego kije golfowe, rozchylone kobiece uda, butelka z tartanową etykietą; pozwalał im dryfować. To był wszechświat, za którym tęsknił, nie zaś jego substytut. Był wolny.

Wolny, jednak nie tracił świadomości celu. Narkotyk i zakodowane w umyśle zasady zaczynały powoli współpracować. Poczucie kierunku, w którym miał zmierzać, budziło się w nim jak boskie wołanie. Był niczym nurek balansujący na krawędzi szelfu kontynentalnego, który orientuje się nagle, że płynie w dół, na pustynię poza zasięgiem jakiegokolwiek pomocy; jakaś siła ciągnęła Busha w dół krzywej entropii, która, jeśli nie zacząłby walczyć, mogłaby go zanieść - nie znał konkretnego czasu ani miejsca, jednak na pewno gdzieś daleko w głąb kryptozoiku. Płynąc, prac i kopiąc zaczął torować sobie drogę w górę krzywej. Silny prąd ciągnął go z powrotem, jednak on wciąż walczył, aż wreszcie, zupełnie wyczerpany, poddał się tej fali, pewny, że zanieśie go w jakąś odległą czasoprzestrzeń. Wtedy właśnie wynurzył się na powierzchnię.

Księga Druga

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W innym ogrodzie

Po obu stronach piaszczystej drogi ciągnęły się niewielkie, wzniesione z kamienia domy. Większość z nich miała tylko dwa maleńkie pokoiki wciśnięte pod łupkowe dachy. Zabudowania ściśle przylegały do zbocza wzgórza, które stanowiło pewną ochronę przed chłodnymi wiatrami ze wschodu. Wszystkie domy posiadały swoje własne ogródki i w miarę jak zmniejszała się odległość od grzbietu wzgórza, kąt ich nachylenia był tak duży, że można było je podlewać i pielnić wprost z okien na poddaszu.

Na grzbiecie wzniesienia, tam gdzie stał ostatni kamienny dom, teren stawał się bardziej wyrównany i ciągnął się aż po horyzont, ukazując rozległe torfowiska. Bush minął ostatni dom, który pełnił też funkcję sklepu spożywczego i spojrzął w dół na tę intrygującą wioskę. Z tego punktu obejmował wzrokiem niemal wszystkie zabudowania; by zobaczyć resztę wystarczyło się odwrócić; tam, gdzie kończyły się kamienne domy, zaczynały się kolejne, zbudowane z cegły.

Wyglądało na to, że nie należały już do wioski. Przylegały ciasno do siebie, a poszczególne ich grupy formowały zamknięte narożne układy, burząc w ten sposób harmonię struktury terenu, niczym klocki, z których dziecko układa geometryczne kształty. Z żadnego z tych ceglanych domów nie można było zobaczyć nic, poza brązowej barwy torfowiskami i niebem, które o tej porze roku przynosiło częste deszcze, spływające strugami wzdłuż gnijących ulic bez studzienek ściekowych. Resztę wioski zasłaniał przed ich wzrokiem grzbiet wzgórza. Sklepu spożywczego, którego dach wystawał ponad najwyższy punkt wzgórza, nie można było dojrzeć nawet z domu stojącego najbliżej, gdyż mieszkańcy okupujący tę uprzywilejowaną pozycję nie mieli okien na zewnętrznej ścianie swoich mieszkań.

Bush stał w strugach ulewnego deszczu, przyglądając się okolicy. Czuł, że mieszkańcy tego ponurego miejsca mieli jakieś problemy, podobnie zresztą do niego, jednak nie przychodził mu do głowy żaden pomysł, co to mogłoby być. Nie musnęła go nawet kropla deszczu; była to przecież podróż mentalna; poza płaszczyznę emocjonalną nie istniała żadna inna możliwość na kontakt z tą nieznaną strefą w historii Ziemi. Rzeczywiście chyba była nieznaną - żadnych cieni przyszłości, widmowych zabudowań; w porównaniu z jurą, to miejsce wyglądało jak pustynia; odległe od czasoprzestrzennych rozwiązań i inwestycji. Był tak zdeterminowany do ucieczki od reżimu Działania, że przeniósł się w jeden z najbliższych

okresów historii - i było to niemal proste!

Deszcz ustał wraz z nadejściem zmierzchu, który opadł na ziemię niczym zasłona, wchłaniając niewielkie wybrzuszenia terenu z powrotem do swego osnutego chmurami serca. Domy słabo opierały się temu procesowi; przyćmione światła w ich oknach zapalały się dopiero, gdy ciemność niemal całkowicie je wchłonęła. U stóp wzgórza sytuacja wyglądała jednak inaczej i tam właśnie Bush skierował swoje kroki.

Poniżej kamiennych domów stały dwie czy trzy bardziej imponujące budowle - również wzniesione w kamieniu - jakieś sklepy i kościół. Dojrzał też przejazd kolejowy i zaniedbaną antyczną stację o architekturze, z jaką nigdy wcześniej się nie spotkał. Rząd masywnych metalowych wagonów ciągnął się przez pewien czas, po czym skręcał i dochodził do punktu, w którym zaczynał się kompleks ogromnych, zapuszczonych budynków wznoszących się w dalekim końcu wioski. Bush zauważył za dnia, że zbiorowisko to zostało zwieńczone wielkim kołem zawieszonym na szczycie drewnianej wieży.

Dostrzegł kilka świateł przebijających się przez ciemność wśród chaosu budynków stacji; między nimi połyskiwało słabym blaskiem parę czerwonych latarni; o tej porze nie widać było torów biegnących łukiem od stacji, wpełzających na kamienny wiadukt, ciągnących się dalej przez dolinę między szerokimi ramionami terenu. Ani jedno światło nie rzucało blasku na zbiorowisko budynków wyrastających za przejazdem kolejowym.

Życie w tym osobliwym miejscu koncentrowało się wokół knajpy leżącej sześć domów w górę wzniesienia, licząc od kościoła. Jej sfatygowane frontowe schody znajdowały się na tej samej wysokości, co kopuła kościoła. Jedynym znakiem świadczącym o przeznaczeniu tego miejsca, jaki Bush odnalazł na zewnątrz, była mała tabliczka nad wejściem, z napisem: PUB „KUŹNIA” - PIWO JASNE. Miejsce istniało pewnie od dłuższego czasu, bo Bush, mimo że był w trakcie podróży mentalnej, nie mógł wejść do środka przez ścianę budynku, lecz musiał, jak każdy normalny klient, użyć drzwi.

W Pubie „Kuźnia” niewiele się działo. Przy jednym z barów siedzieli na ławkach mężczyźni, ich ciężkie buty wyglądały tak, jakby przyrosły do pokrytej trocinami podłogi. Kilku z nich paliło papierosy, tylko niektórzy popijali jakiś alkohol. Wszyscy wyglądali niemal identycznie, ubrani na czarno, w cienkich kurtkach zapiętych pod szyję i czapkach na głowach. Nawet ich twarze porwane zmarszczkami były do siebie podobne; ich wyraz był ostry i czujny.

Jeden z pijących mężczyzn siedział sam przy stoliku. Mimo że pozostali pozdrawiali go na powitanie lub pożegnanie, żaden z nich nie przysiadł się do niego. Ubrany był tak samo skromnie jak oni, jednak jego twarz była bardziej okrągła i nie tak szara. To właśnie na tym mężczyźnie Bush skupił swoją uwagę, gdyż wydawało mu się, że obaj noszą to samo nazwisko.

Kiedy mężczyzna skończył swego drinka, rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiejś zmiany, a że nic takiego nie znalazł, wstał i oddał pustą szklankę przy barze, po czym pożegnał się ogólnym „dobranoc”. Z sali rozległ się pomruk odpowiedzi, jednak do uszu mentalnego podróżnika nie dobiegł żaden dźwięk, który mógłby przebić barierę czasową.

Podążył za swoim imiennikiem. Mężczyzna postawił kołnierz płaszcza, ukrył głowę między ramionami i ruszył w górę wzniesienia. Bush szedł tuż za nim. Zaobserwował, że linia podłoga, po którym idzie, jest taka sama jak linia drogi, przynajmniej do tej pory.

Na szczycie mężczyzna zatrzymał się przy sklepieniu z artykułami spożywczymi i wszedł w głąb podwórza. Niewidzialny i niedotykalny dla niego skromny namiot Busha stał rozbity w ogrodzie na tyłach domu. Mężczyzna zapukał do tylnych drzwi i wszedł; Bush wśliznął się za nim.

Kiedy wcześniej snuł się bez celu po wiosce, zauważył, że w oknie tego domu wisiała tabliczka - zwyczajne okno, które ze względu na obecnie spełnianą funkcję wystawy sklepowej zostało pozbawione zasłon, na jego parapecie ułożono zaś kostki czerwonego mydła i puszki z wołowiną - na której widniał wyblakły napis: „Amy Bush, Artykuły Spożywcze”. Mimo że nie wiedział dlaczego jego instynkt podróży mentalnej przywiódł go tutaj, wierzył, że jego imiennik może znać odpowiedź na to pytanie. Zastanawiał się, czy to rzeczywiście możliwe, żeby ci Bushowie byli jego przodkami.

W pokoju, w którym się znalazł, było tak tłoczno, że niemal nie dało się tego wytrzymać. Trzej mali chłopcy w różnym wieku biegali, skakali i krzyczeli, jednak ani decybel dźwięku nie przebił się przez ścianę entropii dzielącą ich od Busha. Najmniejszy z tych szkrabów, który był jednocześnie najbardziej błądy i wychudzony - do tego stopnia, że widać było wszystkie jego kości wydające się boleśnie wystawać z ciała - był nagi i mokry; miotał się jak szalony z jednego końca pokoju w drugi, próbując w ten sposób udaremnić wysiłki starszej siostry, która usiłowała go złapać i wsadzić z powrotem do metalowej wanny wypełnionej wodą. W rezultacie malec zderzył się z obfitych kształtów kobietą w kapciach, zajęętą praniem koszul w kamiennym zlewie, a następnie ze starszą panią, najwyraźniej babką, siedzącą w fotelu z kocem rozłożonym na jej kolanach, jej sztuczna szczęka ani na chwilę nie przestawała przeżuwać.

Ojciec tej rozbestwionej gromady zaczął nagle gestykulować i krzyczeć. W tym samym momencie kościsty malec oddał się w ręce swojej siostry, która natychmiast ulokowała go w wannie, a starsi chłopcy opadli posłusznie na drewniane skrzynie ustawione przy drzwiach i pograżyli się w apatii. Stojąca przy zlewie pani Bush odwróciła się do męża, aby mu

zademonstrować w jak fatalnym stanie jest koszula, którą prała; Bush zauważył, że kobieta była w zaawansowanej ciąży.

Nie był w stanie ocenić wieku dziewczynki; mogła być pomiędzy piętnastym a dziewiętnastym rokiem życia. Miała piękne włosy, a jej figura zaczynała już nabierać pełnych kształtów, jednak zęby miała w fatalnym stanie, a wyraz, jaki uzyskiwała jej twarz w ponurym świetle pomieszczenia, przywodził na myśl obraz starej przeżuwej kobiety siedzącej w kącie. Uśmiechała się jednak radośnie do swego małego brata, którego umyła i wytarła, a następnie, z niewielką pomocą ojca, ulokowała wszystkich trzech chłopców w łóżkach na piętrze.

Miejsca do spania zorganizowane zostały najtańszym kosztem. Najmłodszy spał z rodzicami w podwójnym łóżku, obok którego leżał siennik mieszczący dwóch pozostałych chłopców. Ta część rodziny spała w większym z dwóch pokoi znajdujących się na poddaszu. W mniejszym, w którym było jedynie tyle przestrzeni, by wstawić pojedyncze łóżko, spała dziewczynka z babką.

Mężczyzna wylał zawartość metalowej wanienki do ogrodu. Kiedy jego córka zeszła na dół, posadził ją czule na kolanach i wrócił do pracy nad liczeniem rachunków. Po jakimś czasie dołączyła do niego pani Bush. Dziewczynka cieszyła się, że może siedzieć tak blisko ojca; obejmowała jego szyję ramieniem i tuliła policzek do jego policzka.

To był dom Bushów. Przez następne dni i tygodnie Bush dobrze poznał tę rodzinę. Powoli odkrywał też ich imiona. Kobieta przy nadziei miała na imię Amy, jak głosiła tabliczka w oknie. Gdy pewnego razu babka poszła na pocztę, z trudem kuśtykając drogą w dół wzgórza, Bush wyczytał z jej emerytalnej książeczki, że nazywała się Alice Bush. Była wdową. Kiedy mężczyzna, który był głową rodziny, stał w kolejce po wypłatę i podawał kobiecie w okienku do podstemplowania swoje karty, Bush zajrzał mu przez ramię i odkrył jego pełne imię: Herbert William Bush. Dziewczynka nazywała się Joan. Dwaj starsi chłopcy Derek i Tommy. Nigdy jednak nie udało mu się dowiedzieć, jak ma na imię najmłodszy.

Wkrótce poznał też nazwę wioski: Breedale. Ze strzępka jakiejś lokalnej gazety unoszonej podmuchami wiatru wyczytał datę; był marzec 1930. W podróży mentalnej przeniósł się sto sześćdziesiąt dwa lata wstecz od czasów, które nazywał współczesnymi. Nie znajdzie tutaj Silverstone'a, tak samo jak żaden z agentów Gleasona nie zwietrzy tu jego. Był bezpieczny, jednak zastanawiał się, dlaczego wylądował właśnie w tym miejscu, co go tu przyciągnęło. Był to jeden z aspektów podróży mentalnej, który zawsze go intrygował; coś porównywalnego do instynktu, jakim kierują się migrujące ptaki, przeniosło go do roku 1930; musiał dowiedzieć się, co to było.

Cały czas dręczyły go uporczywe myśli, które starał się odpychać, a one powracały i mąciły jego spokój. Były niczym wir w strumieniu, w który wpada wszystko, co przepływa obok. Niezależnie od tego, czym się zajmował, jakiegokolwiek wydarzenia w Breedale by go nie absorbowały, zaraz pojawiał się obraz Lenny'ego, którego katował kijem golfowym. Ten biały pokój w koszarach wciąż żył w jego pamięci. Słyszał trzask zeber przyjmujących uderzenie, widział zaślepione wysokie okno, rosnącą plamę krwi na podłodze. Nie było to niczym nowym dla jego ofiary - Ann twierdziła, że jego ojciec bił go do utraty przytomności. Przypominał sobie rozgorączkowany wzrok Stanhope'a i wzrok Howesa tak pełen pogardy, gdy rozstawali się przed drzwiami pokoju tortur. Wiedział, że było to upodlenie; mimo że nigdy nie myślał o sobie w kategoriach teologicznych, czuł, że popełnił grzech. Breedale było wygnaniem, na które sam się skazał.

Ta świadomość wlokła się za nim przez następne tygodnie, wywoływała niesmak. Nawet gdyby nie był oddzielony od mieszkańców Breedale ścianą entropii, byłby wyrzutkiem z powodu tego, co zrobił.

W żaden sposób nie starał się odpokutować grzechu swego bestialstwa, który był niemal czymś namacalnym, fizycznym. Będzie go teraz dźwigał jak garb i cieszył się z tego, że czuje jego ciężar. To, co zrobił, było najgorszym występkiem w jego życiu - i w obecnym nastroju autopotępienia wolał myśleć o tym jako o klimaksie niż aberracji, będącej konsekwencją nieludzkiego treningu na kursie - jako o czymś, przez co rzeczywiście zasłużył na dzień wygnania w ogrodzie, kiedy jego matka dowiodła, że go nie kocha. To była odpowiednia kara za zbrodnię, którą popełnił. Kolejność wydarzeń powinna jednak zostać odwrócona; symbolicznie przeżywał swoje życie do tyłu. Czasami próbował płakać w swoim namiocie rozbitym w 1930; jednak poczucie, że jakakolwiek oznaka wrażliwości w kimś, kto z taką satysfakcją pastwił się nad swoją ofiarą, hamowało płacz i jego oczy wciąż pozostawały suche i martwe niczym szklana szyba.

Przed surowymi oknami jego oczu mieszkańcy Breedale odgrywali swoje małe dramaty. Myślał wtedy, że wystarczy mu patrzeć na to, co jest na zewnątrz, bez konieczności rozumienia ich wnętrza.

Przez chwilę, jakby nieświadomie, interesował się życiem mieszkańców; wydawali się być tak samo oderwani od rzeczywistości jak on. Powoli, stopniowo, zbierał elementy do swojej układanki.

Zwiedził wioskę już kilka razy i dopiero po jakimś czasie odkrył przeznaczenie tego ponurego zbiorowiska budynków po drugiej stronie linii kolejowej. Okazało się, że była to kopalnia. W czasach jemu współczesnych istniały wprawdzie kopalnie rozrzucone w różnych

częściach świata, jednak w niczym nie przypominały tego, co tutaj zobaczył.

Za kopalnią biegła ścieżka. Pewnego wczesnowiosennego dnia Joan wybrała się tam na spacer, a Bush podążył za nią. Była z chłopakiem, prawie równie bladym jak ona, który chwycił ją za rękę, kiedy byli już daleko za stacją kolejową. Minęli pogrążoną w ciszy kopalnię, z której nikt nie wychodził ani też do niej nie wchodził, a ich towarzystwo zasililo tylko kilka jaskółek kłócących się krzykliwie o materiały na gniazdo.

Ścieżka wiodła ku rzece; sceneria nagle stała się bardzo urokliwa. Rosły tu strzelające świeżymi pąkami drzewa; korona jednego z nich zwisała ciężko nad kamiennym mostkiem, który przenosił ścieżkę na drugi brzeg rzeki. Na tym mostku właśnie Joan poprosiła chłopca o to, by ją pocałował. Stali przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w siebie oczami pełnymi wyczekiwania i miłości. Bush z tęsknotą pomyślał o permie, gdzie ziemnowodne stworzenia pełzały u brzegów oceanu, tak wolne od miłości, nadziei i cierpienia, od wieków ciężących nad człowiekiem.

Onieśmieleni uczuciami, które się w nich zrodziły, chłopiec i dziewczyna ruszyli dalej. Rozmawiali teraz z ożywieniem; ich obserwator cieszył się, że nie słyszy, o czym mówią. Ścieżka prowadziła do kamiennej ściany i zakręcała za nią łagodnym łukiem. Młodzi stanęli przy ścianie, uśmiechając się do siebie. Po paru minutach wrócili na ścieżkę i ruszyli w drogę powrotną. Bush nie ruszał się z miejsca; nie chciał znowu patrzeć, jak się całują, jakby pocałunki były zapowiedzią niespełnianych złotych obietnic. Był już w takim wieku, że nie wierzył w zapewnienia młodości.

Między ogrodem a parkiem, w łagodnej dolinie stał piękny dom. Żeby dostać się w jego okolice, Bush musiał wspiąć się po kamiennej ścianie. Przeszedł między zadbanymi grządkami ogrodu warzywnego i znalazł się na tyłach budynku.

Był to teren majątku ziemskiego, który należał do rodziny Winslade'ów. W obecnym okresie historii powodziło im się tak samo marnie jak większości mieszkańców wioski. Bush zastanawiał się, skąd ci ludzie mieli pieniądze na tak wspaniały dom. Po pewnym czasie znalazł wiele dowodów na to, że byli właścicielami kopalni i to stamtąd czerpali profity. Ponieważ niewiele wiedział na temat historii człowieka, nie mógł pojąć, że jakaś osoba lub też cała rodzina może być właścicielem węgla, który jest naturalnym bogactwem ziemi.

Mijały dni. Nękańy pamięcią swego czynu, Bush dopiero po jakimś okresie zauważył, że w całej okolicy trwał strajk. Rdza, którą pokryta była kłódka na bramie wjazdowej do kopalni, stanowiła symboliczny wyraz ogólnego paraliżu. Mimo że życie wciąż płynęło - czego widocznym efektem był coraz większy brzuch Amy, rozwijający się pod jej sukienką, czy wiejące na torfowiskach wiatry, które stanowczo złagodniały - to życie w wiosce utknęło w

martwym punkcie. Bushowi wydawało się teraz, że odkrył powód, dla którego tu przybył: to była kwestia empatii.

W swoim obozie rozbitym na tyłach sklepiku spożywczego wiódł odrobinę ascetyczne życie, żywiąc się koncentratami jedzenia z puszki. Jego cienisty namiot, stojący wśród grządek, zupełnie nie przeszkadzał rozwijać się roślinom.

Sklep był usytuowany bardzo korzystnie dla potencjalnych klientów. Przychodzili tu nawet mieszkańcy kamiennych domów; ci, którzy mieszkali na terenach położonych wyżej po drugiej stronie grzbietu, woleli robić zakupy tutaj, niż tracić czas na schodzenie do większego sklepu stojącego przy pubie u podnóża wzniesienia. Teraz jednak ruch był minimalny; w miarę jak strajk się przeciągał, ludzie mieli coraz mniej pieniędzy, a Bushowie nie mogli już bardziej odciągać spłaty kredytów; musieli zapłacić swoim dostawcom. Bush doszedł do wniosku, że w dawnych, lepszych czasach Herbert był górnikiem, a Amy sama prowadziła sklep. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Herberta, mężczyzna radośnie wszedł do sklepu, pomógł go posprzątać, po czym pograżył się w rozmowie z klientami żony, w ten sposób wypełniając sobie czas zastoju w pracy. Jednak po paru tygodniach takiej sytuacji klienci stali się mniej rozmowni, ich potrzeby nagle skurczyły się do minimum. Herbert nie uśmiechał się już tyle, co kiedyś i zaczął unikać sklepu. Prosił córkę, by chodziła z nim na długie spacerunki po wrzosowiskach. Kiedyś Bush poszedł za nimi na jeden z takich spacerów. Obserwował dwie sylwetki poruszające się na tle linii horyzontu; dziewczynka zostawała coraz bardziej w tyle; dało się zauważyć, że nie czerpie wielkiej przyjemności z tych przechadzek. Kiedy zrezygnowała z towarzyszenia ojcu w jego wyprawach, przestał zapuszczać się na wrzosowiska i od tego czasu stawał razem z innymi mężczyznami na głównej ulicy; mówili niewiele, nic nie robili.

Pewnego ranka przed kościołem odbyło się zebranie. Przemawiał właściciel majątku ziemskiego; wokół niego na podwyższeniu stało pół tuzina oficjeli; mieszkańcy wioski tłoczyli się na ulicy. Bush nie miał szans dowiedzieć się o czym była mowa, jednak po spotkaniu mężczyźni nie wrócili do pracy. Był odcięty od tych, pośród których mieszkał, jednak angażował się emocjonalnie w ich życie. Wolał to niż sytuacje, które przeważały w jego czasach, gdy znał szczegóły wydarzeń i był w stanie wpływać na ich rozwój, jednak nie czuł żadnego związku emocjonalnego z tym, co się wokół niego działo.

Amy była bliska rozwiązania. Większość dnia spędzała w sklepie, którego półki świeciły teraz pustkami. Wydawało się, że przestała ją interesować rodzina; obowiązek opieki nad babką i chłopcami spadł na Joan. Nie zwracała też uwagi na męża, który coraz więcej czasu spędzał poza domem. Stali się sobie obcy.

Herbert przychodził tylko wieczorami, kiedy w sklepie była Joan. Mimo że dziewczyna

ciężko pracowała, to na jej policzkach kwitły lekkie wiosenne rumieńce, których powodem był pewnie jej chłopak. Ponieważ Amy stała się bardzo odległa i zamknięta, Herbert potrzebował teraz dużo więcej zainteresowania ze strony córki. Pomagał jej w myciu chłopców, przygotowywał śniadania złożone z kromek chleba z dżemem i herbaty. Amy kładła się spać dosyć wcześnie; zaraz po niej, skrzypiąc starymi kośćmi, szła na górę babka. Wtedy Herbert obejmował w talii Joan i prowadził ją na dół do sklepu, w którym przeliczali skromne zyski; czasami zapominał zupełnie o rachunkach i siedział, wpatrując się w oczy córki i ściskając jej dłoń. Któregoś razu, gdy ojciec dotykał jej ręki, Joan powiedziała coś w proteście i wstała od stołu z zamiarem opuszczenia pokoju. Herbert zerwał się z miejsca, zatrzymał ją i pocałował, chcąc złagodzić jej gniew, jednak kiedy otoczył ją ramionami, dziewczyna zwinnie uwolniła się z jego objęć i uciekła na górę. Mężczyzna stał przez chwilę, nie ruszając się z miejsca, a jego oczy utkwione martwo w jednym punkcie nabrały tak upiornego wyrazu, że Bush przeraził się, czy jakieś działania magiczne nie spowodowały, że stał się nagle widzialny; strach w oczach Herberta Busha miał jednak swoje źródło w jego umyśle.

Chłopcy byli coraz bardziej zaniedbani; łowili ryby w strumieniu albo bawili się na podwórku z innymi dziećmi. Amy niemal zamieszkała w sklepie. Czasami patrzyła na męża tak, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. Zainteresowanie Herberta jego własną córką przypomniało Bushowi słowa, które ktoś kiedyś wypowiedział na temat kazirodztwa: tabu dotyczące tej praktyki, które zapoczątkowało izolację człowieka prymitywnego od jego bardziej rozwiniętych współbraci, dało początek rozwojowi samoświadomości, z której rodzi się cała cywilizacja. Jeśli w 1930 roku wciąż panowała endogamia, to Amy i Herbert mogli być bliskimi kuzynami albo nawet rodzeństwem...

Bush odkrył prawdziwy powód kłopotów Breedale, kiedy był na przechadzce w dolnej części wioski. Nie wszystkich jeszcze znał i zaabsorbowany był zbieraniem informacji na ich temat odwiedzając domy, chłonąc wszystko, czym żyli. Kiedy wracał do sklepiku na szczycie, zauważył, że na zewnątrz stoi samochód dostawczy; mieszkał tu już wystarczająco długo, by wiedzieć, że nazwisko właściciela firmy wypisane z boku brzmiało Darlington. Wszedł do sklepu frontowymi drzwiami. Nikogo nie było w środku. Przeszedł na tyły - do tej pory dobrze zaznajomił się z planem pomieszczeń i nie przechodził już przez sprzęty, jeśli nie było takiej potrzeby - i zobaczył Amy i Herberta rozmawiających z pulchnym mężczyzną w zgrzebnym garniturze i z kapeluszem w dłoni, który właśnie podnosił się z miejsca, upychając jakieś dokumenty do wewnętrznej kieszeni marynarki. Bush nie zwrócił większej uwagi na jego wygląd, zauważył tylko, że na jego twarzy pojawił się dziwny uśmiech, podczas gdy Amy zaczęła szlochać na drugim końcu stołu. Herbert stał bezradnie obok żony, ściskając jej ramię.

Na stole leżały dokumenty. Bush zdążył rzucić na nie okiem, zanim jeszcze wzięła je Amy. Z tego, co udało mu się wyczytać, sklep miała przejąć jakaś większa firma. Ich olbrzymie zadłużenie prawdopodobnie wykluczało inne wyjście. Popatrzył na Amy, dokładnie odczuwając tragizm sytuacji.

Otyły mężczyzna ruszył do wyjścia. Amy siedziała wciąż przy stole, próbując powstrzymać łzy, a Herbert chodził z jednego końca pokoju w drugi.

Amy doszła do siebie i wstała od stołu, rzucając w stronę Herberta jakąś szorstką uwagę. Odpowiedział, wściekle przy tym gestykulując. W jednym momencie rozpętała się między nimi zapalczywa kłótnia, możliwe, że najbardziej zacięta z tych, które odbyli do tej pory. Z gestów Amy, wśród których znalazło się też wskazywanie palcem w dół wzgórza, Bush wywnioskował, że kobieta obwiniała za obecną sytuację kopalnię, która ze swoimi zamkniętymi, opuszczonymi chodnikami wijącymi się pod ziemią, zaciążyła niczym ogromna chmura nad ich życiem.

Temperatura kłótni rosła. W pewnym momencie Amy porwała ze stołu książkę i cisnęła nią w Herberta. Była zbyt blisko, by spudłować; trafiła w kącik jego ust.

Rzucił się na nią i chwycił obiema rękami za gardło. Bush puścił się naprzód i wpadł między nich, machając rękami, po czym wylądował na ścianie, w którą uderzył głową. Herbert rzucił Amy na ziemię, pobiegł w kierunku drzwi wyjściowych i zamknął je za sobą z trzaskiem.

Bush opierał się o ścianę, z którą się przed chwilą zderzył. Miała szklisto-gumową strukturę, jak wszystkie przedmioty, których dotykał przez barierę entropii. Zacisnął ręce na konwerterze powietrza, oddychając ciężko. W głowie czuł uderzenia młotów, jednak cieszył się, że rzucił się na pomoc kobiecie. Otworzył jedno oko i spojrzał na nią. Leżała na ziemi, wijąc się od bolesnych skurczy. Rodziła.

Zapominając o pulsującej głowie, wybiegł na ulicę. Nikogo nie było na zewnątrz. Była druga. Teraz wszyscy siedzieli w swoich salonikach, udając najedzonych po obiedzie albo w pubie, zapijając pamięć tego, że wciąż są głodni. Na podwórku nie było Busha ani chłopców. W tym samym niemal momencie, kiedy doświadczył tej pustki na ulicach, uświadomił sobie, że i tak nie mógłby zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

Zauważył, że Tommy i Derek bawią się z kilkoma kolegami z sąsiedztwa w starym porzuconym wagonie stojącym na bocznicu. Najmłodszego z braci nie było z nimi. Babka siedziała w domu obok, w kuchni, w której aż huczało od kobiecej paplaniny. Godzinę później znalazł Joan. Tak jak przypuszczał, siedziała w małym pokoiku w tylnej części domu, rozmawiając z dwiema przyjaciółkami. Stał przy niej i zaczął się jej przyglądać. Była taka łagodna i spokojna - nie mogła podejrzewać nawet, że jej matka leżała w ciemnym

pomieszczeniu, targana potwornymi bólami. Dziewczyny wyrzucały z siebie słowa bez przerwy, ich blade usta poruszały się cały czas; uśmiechały się, to znów marszczyły brwi, od czasu do czasu wzbogacały swoje opowiadania gestykulacją. O czym mogły rozmawiać, tak dawno temu, tak beznadziejnie zakorzenione w czasie? Obserwował życie Joan w jego różnych odsłonach; oglądał ją podczas kąpieli, snu, widział jej pierwszy pocałunek. Nie miała o czym opowiadać, nie było nic wartego wspomnienia, nawet w tak martwe popołudnie jak to. O co w takim razie chodziło?

Pytanie to przestało wkrótce dotyczyć tylko tej sytuacji, lecz rozlało się na całą historię ludzkości. Bushowi wydawało się, że zadawał je zbyt często przez całe swoje życie, podczas gdy inni nie pytali prawie wcale. Przeklęta pamięć - przypominał sobie ten dzień z niedawnej przeszłości... albo inny, kiedy miał zaledwie cztery lata... Ojciec zbudował mu piaskownicę, w której z wysiłków małego Teda zrodził się zamek z tunelem. Chłopiec zalał tunel wodą ze swego (czerwonego z żółtą rączką?) wiaderka. Wśród kwiatowego dywanu znalazł żuczka. Umieścił go w małej łódce z żaglem. Powodowana delikatnym pchnięciem, łódka ruszyła w dół strumyka, z dzielnym żuczkiem na pokładzie, który w swoim czarnym pancerzu wyglądał zupełnie jak kapitan. Pytanie z wtedy, które pojawia się teraz ponownie: czym, tak naprawdę był żuczek? Kim był mały chłopiec? Co rzeczywiście determinowało ich role?

I to „naprawdę” i „rzeczywiście”; dowód jakiejś świadomości „spoza”? Bóg ukrywający się za maską? Bóg jako pochłaniająca wszystko obca siła z odległej galaktyki, konsumująca żuczki, kwiaty, robaki, koty, synów, matki, by mógł dzięki nim zachłannie doświadczać życia.?

To była standardowa odpowiedź na pytanie o tajemnicę życia w tej części globu, w której mieszkał. Była jeszcze odpowiedź naukowa, która po chwili też rozbijała się o teologiczną ścianę. Była i odpowiedź ateistyczna, że to wszystko jest jedynie kwestią ślepego losu, i setka innych odpowiedzi. Żadna z nich nie była jednak zadowolająca.

Przez moment odczuwał zawroty głowy, które jednak nie miały nic wspólnego z ostatnim wypadkiem. Czuł, jakby już trzymał rękę na kluczu do całej tajemnicy; przypomniało mu się jednak, że już kiedyś przeżył coś podobnego; ten stan dezorientacji był mimo wszystko najbliższy ostatecznej prawdzie.

Opuścił pokój, w którym rozmawiała dziewczyny.

Na zewnątrz świeciło słońce, mimo że wcale tego nie czuł. Nad Breedale unosiło się lato. Stał, przyglądając się nędznym domkom przylegającym do wrzosowisk. W kilku ogrodach ludzie próbowali zasiać jakieś kwiaty, posadzić warzywa, którymi można by napęłnić puste garnki; uparte torfowe podłoże skutecznie broniło się przed takim wyzyskiem. Bush

włóczył się po grzbiecie wzgórza, spoglądając w dół na Breedale, kiedy spostrzegł Herberta.

Wspinał się w górę drogi, prawdopodobnie szedł do domu. Bush zauważył, że mężczyzna jest pijany. Zbiegł ze wzgórza na jego spotkanie, skakał przed nim, jednak był tylko duchem, niczym i nawet jeśli Herbert poczuł jakiś fizyczny niepokój, nie dał tego po sobie poznać. Był czerwony na twarzy, mruczał coś do siebie i sapał. Większą część popołudnia musiał spędzić na dole w wiosce, pijąc z przyjacielem. Teraz wyglądał tak, jakby wracał po to, by pokazać żonie, na co go jeszcze stać. Otworzył tylne drzwi i ujrzał ją leżącą na podłodze.

Herbert tak energicznie zatrzęsł drzwi za sobą, że Bush odskoczył i został na zewnątrz. Mógł tylko zaglądać do środka przez niewielkie okno nad zlewem kuchennym. Zupełnie bezradny wygnaniec.

Amy poruszyła się. Próbowwała chyba usiąść na krześle, jednak ból spowodował, że znowu osunęła się na zimne kafelki. Kiedy spadała, pociągnęła za sobą krzesło, które teraz przygniatało jej piersi i twarz; jej ręka zaklinowała się między drewnianymi nogami. Martwe niemowlę leżało między jej nogami. Herbert rzucił się na podłogę.

- Nie! - krzyknął Bush. Odsunął się od okna i oparł bolącą głowę o szklistą ścianę. Ona nie mogła umrzeć! Nie umiera się tak łatwo. Tak, tak, umiera się, jeśli przez długi czas cierpi się z głodu, jeśli jest się uwikłanym w cały łańcuch ekonomicznych, historycznych i emocjonalnych zależności; wtedy umiera się dosyć łatwo. Jednak jej życie - nie narodziła się po to, by skończyć w tak podły sposób! Obietnice młodości... małżeństwo... jeszcze parę tygodni temu wydawała się szczęśliwa, mimo wszystko.

To nie miało teraz znaczenia.

Przeraził się, bo nagle ujrzał twarz Herberta, który wpatrywał się w okno naprzeciwko niego. Nie było już na niej rumieńca, tylko szarość - Bush odniósł wrażenie, że straciła też swój kształt. Po chwili zrozumiał, że mężczyzna nie patrzy na niego. Nie widział nic prócz tego chaosu, którym było jego życie; sięgał ręką na małą półkę nad zlewem, na której trzymał swoje przybory do golenia. Wziął z niej długą, ostrą brzytwę.

- Herbert, nie! Nie! - Bush skakał przed oknem i walił pięściami w szkło, które miało dla niego miękkość plasteliny. Machał i krzyczał, kiedy na jego oczach Herbert Bush podciął sobie gardło, przeciągając ostrze od lewego do prawego ucha.

Chwilę potem pojawił się w drzwiach. Wciąż trzymał brzytwę. Krew tryskała na jego koszulę. Postąpił trzy kroki w głąb ogrodu, po kolana w pokrzywach, po czym runął na ziemię pośród żółtych mleczy; jego ciało do połowy spoczywało w fantasmagorycznym namiocie. Przerażony Bush zerwał się do ucieczki.

Tragedia, jaka wydarzyła się w rodzinie Bushów, była historyczną koniecznością. Cała wioska zbierała teraz pieniądze dla czwórki dzieci, wszyscy jej mieszkańcy szli tłumnie na przykościelny cmentarz. Nawet właściciel majątku ziemskiego przysłał jednego ze swoich podwładnych, by reprezentował go na pogrzebie. Prawdopodobnie Herbert zajmował wysokie stanowisko wśród pracowników kopalni. Kilku mężczyzn podeszło po ceremonii do oficjela przysłanego przez szefa kopalni; wznowiono rozmowy. Nagła i przerażająca śmierć obudziła wszystkich z długotrwałej apatii. Rozpoczęły się przygotowania do negocjacji. Zawarto porozumienie.

Cztery dni po śmierci Amy i Herberta, mężczyźni w roboczych kombinezonach ruszyli w dół wzgórza. Prymitywne windy wiozły ich w głąb ziemi, skąd wydobywali skamieniałe szczątki drzew, które kiedyś szumiały koronami na powierzchni.

Bush został w Breedale, by popatrzeć, jak Joan radzi sobie jako asystentka pracownika zatrudnionego w sklepie przez hurtownię, która przejęła interes. Ten obiecujący młody człowiek każdego ranka dojeżdżał do pracy na rowerze z sąsiedniej wioski; zadbany, pracowity, uśmiechnięty młody człowiek w koszuli z niewygodnym kołnierzykiem. Kiedy Joan pracowała, sąsiadka zajmowała się chłopcami. Babka radziła sobie sama. Było ciepło i słonecznie, więc mogła siedzieć na swoim stołeczku za domem, z czego wcale nie była zadowolona. Inne babcie z sąsiedztwa, które nie musiały żyć z przekleństwem sklepu spożywczego w mieszkaniu, mogły siedzieć przed frontowymi drzwiami i obserwować życie toczące się na ulicach.

Bush zajmował się głównie Joan. Za rok lub dwa będzie na tyle dorosła, by wyjść za mąż za chłopaka, z którym spotykała się od dawna, a który teraz po raz pierwszy szedł do pracy w kopalni. Bush nie zauważył żadnych oznak tego, by Joan kiedykolwiek myślała o rodzicach. Zastanawiał się, czy przyszło jej do głowy, że jej ojciec popełnił samobójstwo nie z rozpacz, lecz ponieważ czuł się winny - jeśli taka myśl się pojawiła, to nikt prócz Herberta i Joan o tym nie wiedział.

Wydawało się, że Bush zabrnął w ślepią uliczkę i powoli wracał do swoich własnych problemów - ku jego zdumieniu okazało się, że jego zbolełe ego cudownie ozdrowiało. Doszedł do wniosku, że szok po stracie matki, a następnie wyczerpujący trening wojskowy, tymczasowo uspiły jego świadomość.

Strzępy moralnej dyscypliny z poprzedniego okresu jego życia - które leżały głęboko zakopane, jednak przetrwały w nienaruszonej formie - zmusiły go do postanowienia, że będzie się starał być lepszym człowiekiem. Wierzył, że widział już wystarczająco dużo zła, by być teraz w stanie rozpoznać jego przeciwieństwo.

Ta refleksja doprowadziła go do kolejnego postanowienia: musi zrobić wszystko, co w jego mocy, by pokrzyżować plany reżimowi Działania, bo przecież czym jest dobro, jeśli nie znajduje odzwierciedlenia w czynach?

To pytanie umocniło go jeszcze w przekonaniu o słuszności tego toku myślenia; był owładnięty pięknem tego przekazu i jego uniwersalnością, gdyż czuł, że wyrażał największe prawdy, na które natknął się w Breedale i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, jak podobny jest do starych biblijnych słów, którymi posługiwał się w ramach żartu jego profesor na zajęciach z malarstwa, kiedy mówił do studentów szkicujących jabłka i gruszki: „Poznacie ich po owocach”. Tak czy inaczej, odkrył to twierdzenie dla siebie, a to był obiecujący sygnał.

Jego dusza wyrwała się wreszcie z małej glinianej chatki, w której była dotąd uwięziona. Zamieszkiwała teraz w wielkim kryształowym pałacu. Bush czuł, że budzą się w nim boskie moce.

Wydarzenia w Breedale, z dala od prawdziwego świata, dały mu możliwość odnalezienia siebie. To było jego czterdzieści dni na pustyni. Większość czasu, który nadszedł po epifanii, Bush spędził na modlitwie; modlitwy te miały jednak różną treść i wydźwięk, a ich echo wracało do niego niczym bumerang. To w nim samym tkwiły te boskie elementy, które musi odkryć i pokazać innym.

Podczas tego wlokącego się dnia w ogrodzie, kiedy matka unaoczniała mu, jak bardzo się od niego odwróciła, zdał sobie sprawę z niedoskonałości wszechświata. Teraz czuł się na tyle silny, by naprawić tę niedoskonałość, sprzeciwić się temu, co złe, stworzyć świat na nowo!

Zaczął się głodzić. Miał wizje. Widział, jak świat lśni na koniuszkach jego palców, gotowy do tego, by nadać mu nowy kształt. To było dla niego wielkie wyzwanie; złożone dzieło, co do którego miał największe - najczystsze! - ambicje. Udowodni matce, że może być stwórcą, Bogiem, daleko poza jej zgrzebnymi schematami nagród i kar.

Przygotował się do podróży mentalnej. Wiedział, co musi zrobić. Mniej ważne rzeczy przed najważniejszymi, materialne przed transcendentalnymi. Miał wątpliwości, co do jednej kwestii, które jednak szybko rozwiązał: zastanawiał się, czy ma zostać w 1930, nie w Breedale, lecz w jakimś innym miejscu, załóżmy w Londynie. Buckingham Palace był miejscem z pogranicza żartu, które uwielbiali mentalni intelektualiści, ciesząc oko jego snobistycznym wyglądem, angażując się w jego wypadki i spotkania, zażywając jego komfortu i niewygody. Jednak w tym czasie - jako że był zbyt blisko teraźniejszości - w pałacu przebywała prawdopodobnie tylko królewska rodzina Windsorów i służba.

Zastanawiał się, jaki wybrać czas, by zrealizować te wszystkie plany, które poczynił przez ostatnie parę dni. Zwierzyna, na którą polował, była gdzieś w bardziej odległej

przeszłości. Był jednak pewien, że jest w stanie odgadnąć konkretną datę.

Zanim opuścił społeczność Breedale, czekała go jeszcze jedna niespodzianka. Młody mężczyzna ze sklepu spożywczego, który pracował tam nie więcej niż dziesięć dni, pewnego wieczora, po tym, jak już zamknął okiennice w sklepie i zaryglował drzwi, poprosił Joan o rękę. Bush wywnioskował to z jej skromnych uśmiechów i nieśmiałych spojrzeń, strachu, który przez chwilę malował się na jej twarzy, sposobu, w jaki młody mężczyzna trzymał jej dłoń. Następnego dnia, jak zwykle przyjechał do pracy na swoim rowerze i wyjął z kieszeni płaszcz pierścienek zaręczynowy; kiedy wsuwał go na palec wybranki, ona uśmiechała się do niego zamglonymi oczami i niespodziewanie zarzuciła mu rękę na szyję, tuląc policzek do jego zmierzwionych włosów.

Bush zastanawiał się przez chwilę nad dziewczyną. Może była zwykłą oportunistką? Czy zależało jej na tym młodym człowieku? Była w nim zakochana czy był jej obojętny? Jej zachowanie można było interpretować na wiele różnych sposobów.

- To jest moja historia. Ona dzieje się dla mnie - mówił do siebie. - Kiedy już załatwię swoje sprawy, mogę tu wrócić i sprawdzić, jak sobie radzi Joan. - Oni będą tu zawsze, wśród tych rozległych wrzosowisk. Jej ojciec będzie wykrwawiał się na śmierć, leżąc wśród mleczy. Być może Bush wróci do tego miejsca i zmieni wszystko dzięki swojej nowej boskiej mocy.

Spakował namiot i resztę swego dobytku; zażył już CSD, kiedy zapragnął jeszcze raz zobaczyć Joan. Była zajęta liczeniem przychodów. Za jej plecami siedziała babka, jak zwykle coś przeżuając, a starcze poruszenia jej szczęki miały w sobie coś ze średniowiecznego memento mori.

Bush zastygł w pożegnalnym salucie przed tą słodko gorzką rzeczywistością, której tu doświadczył; narkotyk już zaczynał działać; zastanawiał się, dlaczego tak często czuł się samotny we własnej epoce, pośród ludzi, których mógł dotknąć, których teoretycznie „rozumiał” lepiej niż tę bladą, niedożywną dziewczynę. Jednak zrozumienie jest czymś, czego nie da się zracjonalizować.

Nie chciał zniknąć przed jej niewidzącymi oczami, więc wyszedł na zewnątrz. Zapiał kogut. Jego głos, biegnący parabolą w kierunku wrzosowisk, zabrzmiał jak wystrzał z ogromnej pierzastej armaty. Bush rozpląnął się w powietrzu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wiktoriański pałac

Znajdował się pod kopułą wielkich wiązków, zdając sobie sprawę, że to jest właściwe miejsce - Kobieta Cień była nieopodal - jej postać rozmazywana raz po raz sylwetkami przechodzących. Przy końcu wiązowej alei stała potężna, kryształowa fontanna, jej wody spływały do okrągłego rezerwuaru. Fontannę, rezerwar i skupisko wiązków, okalała niebotycznych rozmiarów szklana galeria, a gdzieś z boku, pomiędzy nimi, wznosił się osobliwy posąg.

Bush znał ten czas i miejsce; zawdzięczał to wiktoriańskiej manii, którą pamiętał z dzieciństwa. Był rok 1851, kiedy zorganizowano Wielką Wystawę, świadectwo rozkwitu brytyjskiego bogactwa i władzy. Przechodząc, przystanął przed jedną z gigantycznych rzeźb, która przyciągała go niemal tak mocno, jak otaczający tłum. Niemiecki monolit, wymodelowany w cynku, przedstawiał tytaniczną, jadącą na oklep amazonkę z odsłoniętym biustem. Zatopić miała właśnie swą włócznię w ciele tygrysy, która - kierowana własnymi motywami, wczepiała pazury w grzbiet konia.

W swoim malarstwie i rzeźbie artyści wiktoriańscy w mistrzowski sposób ukazywali „Co wydarzy się za chwilę?”, przeistaczając sekundy w pytanie. Wraz z nastaniem fotografii, kina, telewizji i lazoidu ich sztuka została skazana na zapomnienie i drwiny - każde z tych mediów dążyło przecież do odpowiedzi na owo pytanie, nie zadawając się jego postawieniem. Teraz i on stanął przed tym samym pytaniem, w swoim własnym życiu, zmuszony znaleźć rozwiązanie podczas działania. Kobieta Cień przyglądała mu się uważnie. Miała nad nim tę przewagę, że widziała *Co się stanie za chwilę z Eddiem Bushem*. Nie było w tym nic pocieszającego - po cichu życzył sobie, aby wynik walki pomiędzy amazonką a tygryśnicą był dla niej nie mniejszą niewiadomą niż dla niego samego.

Były jeszcze inne pytania z gatunku: *Co wydarzy się za chwilę* - części jego prywatnej układanki; przechadzając się w pobliżu wielkiego cynkowego posągu, doszedł do wniosku, że pierwsze z nich dotyczy Silverstone'a alias Steina. Został przecież wyszkolony, aby go zabić - najwidoczniej człowiek ten był w posiadaniu czegoś zagrażającego reżimowi Gleasona - czegoś, co nabierało coraz większego znaczenia dla samego Busha. To był jego obowiązek - znaleźć Silverstone'a i ostrzec go - jeśli ten nadal żył - bo jakkolwiek Bush miał swoje powody, by wierzyć w to, że Silverstone jest w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwo, to z pewnością kilku agentów Gleasona już deptało mu po piętach. Wszechobecni mentalni podróżnicy, węszyli we wszystkich zakamarkach czasu w poszukiwaniu Silverstone'a, czy jakichkolwiek

innych rebeliantów; do tego czasu Bush prawdopodobnie został uznany za jednego z nich.

Te wnioski rozwiały wyobrażenia o jego rzekomo boskiej potędze, które narodziły się w Breedale.

Oczywistym miejscem, od którego należało zacząć poszukiwania Silverstone'a był Pałac Buckingham.

Niewidoczny dla ludzi przenikał przez tłum, znajdując, nawet w chwili tak dużego zaabsorbowania, wystarczająco dużo przestrzeni, aby delektować się jego różnorodnością, ekscentrycznością i barwną krzykliwością - tak różną od ujednocionej, szarej masy charakterystycznej dla jego czasów. Ludzie, których mijał, wydawali się być nawet mniej przygnębieni.

Tu i tam stały powozy, zarówno prywatne jak i do wynajęcia, nieopodal sterczeli postawni mężczyźni, trzymający na postronku konie, czy też dystyngowani dżentelmeni, którzy ich dosiadali, pojedynczo jak i organizując się w niewielkie grupy. Bushowi przyszło na myśl, że natura człowieka z epoki wiktoriańskiej jest najwyraźniej widoczna, gdy znajduje się on w otoczeniu tych, na wpół dzikich zwierząt. Miał ochotę dosiąść jednego z koni, przede wszystkim dla zaoszczędzenia czasu.

Okazały, zbudowany ze szkła i żelaza front Kryształowego Pałacu ginął w oddali, podczas gdy Bush przecinając Hyde Park, skierował swoje kroki w stronę Rotten Row. Zgrabne dwukółki przemykały tu i ówdzie; idąc, ustępował im drogi, choć wiedział, że i bez tych zabiegów jest bezpieczny.

Gdzieś w tym ludzkim kłębowisku prowadził swoje interesy Turner. Wielki Turner, którego myśli były niczym kłęby ognia w kolorze żółci i krwistej czerwieni: artysta, który był tym, kim Bush zawsze chciał zostać: wyrazicielem siebie i swojej epoki, wykraczając jednocześnie poza ramy jednego i drugiego. Gdzieś tutaj Turner, przeżywając apogeum swoich pijackich wizji - był to rok jego śmierci - zaczynał interesować się takimi zdradzieckimi technologiami jak choćby fotografia, i jeżeli tylko odwiedził Wielką Wystawę, to z pewnością uśmiechnął się na widok cynkowej amazonki.

Bush powstrzymał napływające myśli. Kiedyś obiecał sobie, że całą duszą zaangażuje się w działalność artystyczną; najpierw jednak należało usunąć z drogi kilka ważnych szczegółów o znaczeniu historycznym.

Jego zmysły wyczulone były teraz na niebezpieczeństwo. Na drodze wiodącej do pałacu, widoczny był jak na dłoni dla wszystkich z jego przedziału czasowego; on z kolei mógł ich dostrzec nawet z pewnej odległości - a to za sprawą tego, że materializowali się w

przymglonej, cienistej postaci, która sugerowała, że to raczej im, nie zaś miejscu brakuje pewnych aspektów realności.

Przed majestatycznym budynkiem paradowała straż konna - zwierzęta, których dosiadali strażnicy, spoglądały wyniośle, jakby na wskroś, przez Busha. Prześlizgnął się jakoś pomiędzy nimi, kierując się w stronę pałacowych terenów, po chwili jednak zboczył lekko ku ich zapleczu, gdzie znajdowała się powozownia - bagażowi i służący pilnie zajęci byli rozładowywaniem bryczek i przenoszeniem ładunku do pałacowych kuchni.

Bush dostrzegł, że ładunek jednego z pojazdów stanowiło ptactwo łowne - pardwy, bażanty i kuropatwy. Przenoszono je na czymś w rodzaju nosideł, obłożonych po każdej stronie blokami topniejącego lodu, z których woda delikatnie nawilżała przerzedzone już nieco upierzenie ptactwa.

Z kolejnego wozu wyładowano stos indyków. Bush odwrócił głowę - nie mógł znieść widoku martwych, niewinnych stworzeń.

Pałac Buckingham był dość starym budynkiem. Na tyle starym, że nawet dla mentalnych podróżników jego ściany były niemożliwe do przeniknięcia i aby wejść, zmuszeni byli korzystać z drzwi, tak jak to robili zwykli, uwięzieni w czasie śmiertelnicy. A więc wejście będzie strzeżone przez Partię Działania, o ile to właśnie tutaj. Objął wzrokiem ludzi w uniformach i fartuchach. Gdy wtaszczo do środka ładunek martwych bażantów, Bush dostrzegł mężczyznę w niebieskim fartuchu dźwigającego kolejne skrzynie - jego podkręcone wąsy były chyba najbardziej charakterystycznym elementem twarzy. Na tle pomieszczenia wydawał się być lekko szarawy. Pomimo że mężczyzna dostrzegł obserwującego go Busha, nie zatrzymując się, wszedł do budynku. Sygnał, jaki odbierał Bush, wskazywał na to, że ów ktoś pochodził z mniej więcej tego samego przedziału czasowego co on - z pewnością był to jeden z agentów Gleasona...

A może Silverstone'a? Bushowi pozostawało jeszcze odkryć, jak dobrze zorganizowany jest Silverstone. Był jednak świadom tego, że niezależnie, czy natknie się na ludzi Gleasona czy Silverstone'a, nie będą oni przejawiać w stosunku do niego przyjacielskich zamiarów.

Powinien jak najszybciej ukryć się na terenie pałacu, zanim strona przeciwna dowie się o jego przybyciu.

Mijając pospiesznie lokajów, Bush wmaszerował do ogromnego budynku. Znalazł się w labiryncie pomieszczeń gospodarczych i pokoi dla służby - filigranowa kobietka, mieszkająca w sercu owej wielkiej płataniny, do której obowiązków należało nadzorowanie tego terenu, prawdopodobnie częściej odwiedzała Indie niż te rejony. Czy w tych czasach

używano już statków powietrznych? Był przekonany, że nie, jednak jego przeszłe doświadczenia nie dawały mu tutaj pewnego oparcia.

Zbliżył się do schodów dla służby, pozbawionych dywanu, po czym rozpoczął ślamazarną wspinaczkę - schody nigdy nie były łatwe w podrózach mentalnych. Dobił do pierwszego piętra, którego wystrój można było określić jako dosyć skromny; ponieważ nadciągała grupka kobiet, Bush pospiesznie schował się do alkowy. Trzy pokojówki maszerowały energicznie w swoich wykrochmalonych, porannych uniformach. Tuż za nimi - Bushowi przyszedł na myśl sierżant Pond - kroczyła kobieta o budzących grozę kształtach, najprawdopodobniej przełożona służby; w swojej szkarłatnej sukni wirującej na wysokości stóp wyglądała porażająco. Pokojówki kolejno zatrzymywały się przed drzwiami wzdłuż korytarza - przy każdym z wejść jedna z nich odłączała się od szeregu, otwierając drzwi przed przełożoną, po czym dwie z nich mogły wejść do pokoju, przypuszczalnie po to, aby sprawdzić stan jego czystości.

W przyćmionym świetle trudno było powiedzieć, czy postaci krzątających się kobiet należały do tego przedziału czasu.

Bush zaryzykował. Nie mógł tutaj czekać na koniec inspekcji pokoiów. Zuchwale przeszedł za plecami służby, jednak nikt nie spojrzał w jego kierunku - nie był nawet duchem.

Na samym końcu korytarza znajdowały się drzwi; gdy przez nie przeszedł, zorientował się, że znalazł się w szerszym i większym korytarzu. Pora była jeszcze bardzo wczesna, tak więc piętro, za wyjątkiem służby, ziało pustką. Przypomniał sobie, że wiktoriańskim zwyczajem było siadać do śniadania dopiero po wpół do jedenastej.

Podążając korytarzem, po jednej jego stronie minął kilka sal okolicznościowych; w oknach wisiały ciężkie zasłony, tchnące przepychem dywany leżały pod stopami, stały bogato zdobione stoły i krzesła, rozłożyste kwiaty w donicach. Mijał korytarz za korytarzem, powoli gubiąc drogę. Przypuszczał, że intelektualiści mieli swoją bazę w palarni Alberta, nie mógł sobie jednak przypomnieć, na którym piętrze znajdowało się to pomieszczenie. Był coraz bardziej zdezorientowany i zaczął się trochę niepokoić. Agenci Gleasona mogli go teraz z łatwością namierzyć - nie miał co do tego wątpliwości. Musiał przygotować się na wszystkie możliwe kłopoty, jednak konieczne do obrony narzędzia znajdowały się w paczce. Wycofał się do bocznego, słabo oświetlonego przejścia. Dokładnie na wprost niego szła pokojówka. W nerwowym odruchu wśliznęła się do najbliższych otwartych drzwi. Pokojówka weszła za nim do środka. Poczul, jak chwyta go za ramię.

- Eddie! Spokojnie! To tylko ja!

Ile czasu minęło, odkąd słyszał jakikolwiek, za wyjątkiem swojego, głos? Jak dawno

nie czuł blisko siebie kobiety? Ile setek lat?

Zauważył, że jej konwerter tlenu ukryty był pod postacią broszki, wpiętej w kołnierzyk sztywnej sukienki. Włosy miała ciasno upięte pod czepkiem pokojówki, twarz jak zwykle bez makijażu.

- Ann! Ann! To naprawdę ty? Przecież zostawiłaś mnie przy Owodniowym Jaju, wieki temu!

Przytulił ją kurczowo, nie do końca pewien, co powinien do niej teraz czuć - uzależniał to od jej wyobrażeń o ich relacji. Było w niej coś szklistego, jej głos dobiegał jakby lekko osłabiony poprzez barierę entropii, jednak przeniosła się tu z czasów na tyle bliskich jego współczesności, że była dla niego zupełnie rzeczywista.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- A co ty tu robisz?

- Przeżyłam koszmar! - Wskazała na najbliższy pokój, do którego weszli. Wnętrze było trochę zagracone; w przesadnie zdobionym kominku trzaskał niedawno rozpalony ogień - jednak jeszcze bez żarzącej się na spodzie warstwy, która mogłaby podtrzymać płomień bez konieczności dorzucania drewna. Tyłem do niebiesko-żółtych płomieni, za niewielkim biurkiem, siedziała, korpulentnych kształtów kobieta z pękiem kluczy wiszącym u paska, zajęta sporządzaniem jakiejś listy.

- Po co tutaj przyszliśmy?

- To jest przełożona personelu. Znajdujemy się w jednym z pomieszczeń przylegających do Pokoju Zarządcy, w którym przesiadują pokojówki i służący. Wyluzuj się, Eddie! Można by pomyśleć, że nie cieszysz się z naszego ponownego spotkania.

Coś mu nie dawało spokoju. Gdy widział ją ostatnim razem, jej stosunek do otoczenia był zupełnie obojętny. Ta odrobina zbędnych informacji, które mu właśnie przekazała, automatycznie nasunęła podejrzenia. Dyskretnym ruchem otworzył torbę - potrzebował swojej broni.

- Zostawiłaś mnie w jurze, przy Owodniowym Jaju. Dokąd wtedy poszłaś?

- Kochanie, nie zostawiłam cię. Wracalam do tego miejsca dziesiątki razy po twoim, odejściu, wypytując tego przystojniaka - twojego przyjaciela - czy aby cię nie widział, jednak ty zmyłeś się bez słowa.

- To i tak nie tłumaczy twojego zniknięcia. - W jednej z przegródek wymacał wreszcie swój laserowy pistolet - delikatnie manewrując ręką, wsunął go do kieszeni z nadzieją, że Ann niczego nie zauważyła.

- Wpadłam na mojego byłego chłopaka Lenny'ego i jego kumpli. Trochę z nimi

odeszłam, a potem nie mogłam się od nich urwać - dopóki nie zasnęli.

- To mogłoby być jakieś wytłumaczenie.

- Niech cię szlag, to jest wytłumaczenie! Poza tym, nic wtedy dla ciebie nie znaczyłam.

Byłam jeszcze jedną lalunią. Lenny przynajmniej mnie potrzebował!

- Potrzebowałam cię - wtedy... - Głos Busha wydawał się być wyprany z emocji. - Teraz wygląda na to, że to ty mnie potrzebujesz. Jak to się stało, że wylądowałaś w 1851? - Nie cieszył się zbytnio ze wzmianki o Lennym; przed oczami miał teraz jego wizerunek - skulonego w pozycji embrionalnej, ociekającego własną krwią, w pokoju przesłuchań. Ciekawe, co by czuła, wiedząc, że...

W tej chwili powróciła niepokorna natura Ann. Zdjęła z głowy czepek pokojówki i rzuciła go na pobliski stolik; z impetem przeleciał ponad blatem i wylądował na podłodze.

- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania. Jeżeli nie chcesz mi pomóc, rozumiem - daruj sobie jednak to dochodzenie. I tak przecież nie wierzysz w ani jedno moje słowo. Z twojego zachowania wnioskuję, że coś cię dręczy.

- Zapytałem tylko, co robisz w 1851.

- Wiesz, jak wygląda sytuacja w teraźniejszości. Nowy rząd rozpętał prawdziwą krucjatę, starając się namierzyć wszystkich mentalnych podróżników, odebrać im zapasy CSD i zamknąć w ich własnych epokach. Wyłapali już wszystkich mentalnych w czasookresie jurajskim - ludzie z armii wyglądają jak cywile, nie zwracasz na nich uwagi, dopóki cię nie dopadną. Lenny i jego kołesie zostali z powrotem wysłani do współczesności, mnie udało się uciec. Mówiłam ci, że jestem w tym niezła. A teraz jestem tutaj, gdzie jak sądzę, jest najbezpieczniej. Zadowolony?

Szefowa służby krzątała się po pokoju. Chociaż wiedział, że kobieta nie może w żaden sposób na niego oddziaływać - była zamknięta w innym przedziale czasowym - jej ruchy wprowadzały go w stan lekkiego podenerwowania.

Szybkim ruchem wydobył broń, wymierzając ją w Ann.

- Nie, nie jestem zadowolony - rzucił oschle. - Nadal czegoś mi nie powiedziałaś. Skąd wiedziałaś, że wróciłem do 2093?

Wyglądała na wystraszoną. W jej oczach było przerażenie, a usta wykrzywiły się w nieprzyjemnym grymasie.

- Co chcesz teraz zrobić? Bush, odwaliło ci? Nie miałam pojęcia, że wróciłeś do 2093. Przecież nie wspomniałam ani słowem, że tam byłeś.

- Powiedziałaś, że pewnie wiem, co się tam teraz dzieje...

- Nie musiałeś tam być, żeby to wiedzieć. Ty mi zupełnie nie ufasz! Ja też tam nie

byłam, jednak wiem, jak wygląda ten cały bajzel.

Musiał przyznać, że brzmiało to dosyć wiarygodnie. Ale gryzło go coś jeszcze.

- Wspomniałaś, że schwytali Lenny'ego i pozostałych terszerów. Kogo dokładnie?

- Chodzi ci o nazwiska? Pete'a, Jacky, Josie... - wyrzuciła z siebie.

- Steina?

Oblizła spierzchnięte usta.

- Eddie, błagam, przerażasz mnie!

Broń, którą trzymał w dłoni, wciąż wycelowana była w Ann.

- Złapali Steina?

- Nie widziałem Steina w jurze! Ty go tam widziałeś?

- Gdzie on teraz jest?

- Eddie, nie wiem!

- Dlaczego znalazłaś się właśnie tutaj?

- Myślałam, że będę bezpieczna - mówiłam ci już!

Chwycił ją za ramię, intensywnie wpatrując się w twarz dziewczyny; czuł, jak ich ciała mocno przylegają do siebie.

- Posłuchaj mnie uważnie, wiesz przecież, że potrafię być draniem! Czy Stein jest gdzieś tutaj?

Zwróciła na niego błagalne spojrzenie.

- Eddie, nie rób mi krzywdy! Wiem, że potrafisz być okrutny, ale przecież nic ci nie zrobiłam...

Potrząsnął nią gwałtownie.

- Czy ten pieprzony dupek, Stein, jest tutaj? Pytam po raz ostatni!

- Tak. Jest tutaj - używa swojego prawdziwego nazwiska.

- Silverstone?

- Tak.

Zaczął ją przeszukiwać. Odnalazł przestarzałą broń gazową. Dotykając Ann, poczuł jak wzbierają w nim emocje, czuł jej intensywny zapach - była to pierwsza rzecz, jaką czuł od dłuższego czasu - nie zapomniał jednak, co ma do zrobienia. Podczas gdy ją obserwował, szefowa pokojówek zwyczajnie przez nich przeszła i skierowała się do pomieszczenia przylegającego do pokoju, w którym się teraz znajdowali.

- Jesteś tu po to, by go zabić, prawda? Wynajęli cię jako agenta?

Wbiła wzrok w podłogę. Obawiała się usłyszeć jego odpowiedź. Widział, jak wąta była, w rzeczywistości równie słaba co Joan Bush, mimo że dużo odważniejsza. Zauważył też,

że była tak samo jak Joan uwikłana w szereg „historycznych konieczności”. Choć nigdy jej nie kochał, żal mu było, że musi ją traktować w taki sposób.

Była mocno poruszona, przygryzała wargi i co chwilę wyglądała przez okno - jakby w przeświadczeniu, że słabe światło dziewiętnastowiecznego słońca kryło w sobie jakąś wiadomość.

- Posłuchaj, Eddie, przypuszczam, że jesteś takim draniem, jak mówisz ale...zaufaj mi proszę, choćby tylko przez pięć minut. Czy możesz tu na mnie poczekać? Obiecuję, że wrócę. Wiem, że mi nie ufasz, ale obiecuję.

- Silverstone jest tutaj, prawda? Czuję to.

- Tak.

- W takim razie daję ci te pięć minut. Przyprowadź go tutaj. Nie mów, kto czeka, nie próbuj też ściągnąć nikogo więcej - nikomu innemu nie zdradzaj, że tutaj jestem. Po prostu wróć z Silverstone'em. Rozumiesz?

- Tak Eddie, rozumiem. Zaufaj mi, proszę.

- Jak własnej matce.

Spojrzała na niego uważniej, usiłując dopatrzeć się ukrytego sensu w tym, co powiedział. Po chwili odwróciła się i wyszła.

Cokolwiek zrobi Ann, nie wróży to nic dobrego. Przyszło mu na myśl, że jej zachowanie podyktowane jest jakimś zaimplementowanym ogranicznikiem, tak jakby ktoś z zewnątrz narzucił jej motywację działania - Bush zdawał sobie sprawę, a przynajmniej podejrzewał, kim mógł być przeciwnik. Jeżeli wpadła w ręce bojowników Partii Działania, którzy dorwali Lenny'ego, najprawdopodobniej i ona przeszła szkolenie - podobnie jak niegdyś on i Lenny. A gdy już odkryli, że tak naprawdę wszystko jej jedno, to, dodając do tego jej nieprzeciętne umiejętności poruszania się w czasoprzestrzeni - mogli wyszkolić ją do takiej roboty, jak zabójstwo Silverstone'a, podobnie jak wcześniej zrobili to z nim. Z tego właśnie powodu nie ujawnił jej swoich zamiarów. Jego umysł pracował teraz na bardzo wysokich obrotach. Widział się terazniejszości, rozciągając się nad ciągle niewidoczną przeszłością.

Jeżeli ludzie reżimu dowiedzieli się, że Silverstone zniknął w przeszłych stuleciach, na pewno nie przysłali jej tutaj samej. Będzie mieć obstawę; mimo że była profesjonalistką, to jeśli chodzi o samą podróż mentalną, Ann potrzebowała partnera - tak jak kiedyś Lenny'ego czy Busha.

Równie dobrze, za kilka minut może przyjść w czyjejs asyście. W pałacu może znajdować się kilku agentów Akcji; było prawie jasne, że oprócz Silverstone'a, przyprowadzi też jednego z nich. Być może będą chcieli poczekać, aby zobaczyć, czy naprawdę zastrzeli

Silverstone'a - być może to był jedyny sposób, w jaki mógłby uniknąć swojej własnej egzekucji. Początkowa przewaga wydawała się leżeć po jego stronie: przeciwnik nie będzie mieć pewności, jakie są jego plany - on sam wiedział, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby uratować Silverstone'a.

Nie zamierzał jednak tutaj stać i czekać, aż go złapią w tym małym, zagrożonym przedpokoju. Nigdy nie ufał Ann - nawet wtedy, gdy był z nią w łóżku; ich seks bardziej kojarzył mu się z rywalizacją sportową niż z czułością. Dziewczyna była w równym stopniu nieprzewidywalna co Bush.

Wciskając broń gazową do lewej kieszeni, prawą dłonią chwycił pistolet, po czym wyszedł z pokoju.

Po przeciwnej stronie korytarza znajdowało się pomieszczenie pokojówek, drzwi do niego były szeroko otwarte. Był to sporych rozmiarów pokój. Dwie starsze pokojówki, noszące śnieżnobiałe wykrochmalone fartuchy, prasowały właśnie pościel, rozgrzewając masywne żelazka na płycie pieca. Bush, spoglądając przelotnie, dostrzegł czerwone „WR” w narożnikach prześcieradeł. Wycofał się ku drzwiom, uważnie obserwując ciemny korytarz.

Zdawał sobie sprawę, że czekają go kłopoty, jednak musiał pozostać na widoku.

Oczekiwanie z wolna gasiło jego nerwową ekscytację. Pewnie, zawsze mógł przenieść się z powrotem do 2093 - ale tam już na niego czekali. Z drugiej strony istniała pokusa pograżenia się w czeluściach przeszłości, w czasookres dewoński lub kambryjski, jednak jego aktualne poczucie celu ściągnęłoby za nim towarzystwo - niezależne od czasu. Jak daleko rozciągał się czas, chociażby tylko dzieje człowieka! Teraz jednak wołał go spędzić w Pałacu Buckingham.

Ktoś biegł korytarzem. Bush, słysząc szybkie kroki, pomyślał, „Boże, on zwariował!” Skulony, wycofał się w zagłębienie niewielkiej, ciemnej wnęki.

Po chwili wyłonił się mężczyzna z lekko rozwianą czupryną, jego twarz promieniowała zaraźliwym uśmiechem. W jowialnym geście wyciągnął przed siebie dłoń. Jego zachowanie było tak spontaniczne, że Bush odwzajemnił uśmiech, zanim jeszcze zdał sobie sprawę, kim był ten człowiek - najprzyjaźniejszą ze wszystkich istot, jakie mógłby spotkać na swojej drodze!

- To ty!

- To ja!

To był on sam; wyłonił się spoza czasoprzestrzeni, niczym Bóg zstępujący, by pobłogosławić dzieło swego stworzenia! To było coś w rodzaju wymiany energii miłości - przytłoczony lawiną emocji na widok swego Ja, Bush nie mógł wydusić z siebie słowa. Obraz utrzymywał się tylko przez chwilę, zanim - jakby lekko przestraszony - zupełnie zniknął. Kiedy

zjawia była już poza zasięgiem jego wzroku - Bush poczuł dłoń wyslizgującą się z jego uścisku. Znowu był sam - jego przyszłe Ja przedzierało się w pośpiechu poprzez piętrowo ułożone poziomy czasu.

W gardle poczuł mimowolny spazm szloch, do oczu napłynęły mu łzy.

Gdy już odzyskał nad sobą kontrolę, z korytarza dobiegł go z wolna narastający hałas. Z dzwoniącej w uszach ciszy wyodrębnił odgłos stłumionych kroków przemieszczających się mentalnie istot. Skurczył się w sobie - tak, aby jego sylwetka pozostała niewidoczna na tle światła płynącego z otwartych drzwi, za którymi pracowały pokojówki. Jakże przyjemną perspektywą wydawało się zajście Silverstone'a od tyłu, znienacka - tak samo jak on go zaskoczył w rzeczywistości jurajskiej. Pomylił Busha z kimś innym; popełnił klasyczny prekognitywny błąd, biorąc go wtedy za zabójcę wyszkolonego przez Stanhope'a, Howesa i spółkę.

Z przestrzeni wyłoniły się dwie sylwetki - zatrzymując się w odległości kilku metrów od Busha. Bez problemu zorientował się, że przybyły z jego przedziału czasu, pomimo ich maskujących wiktoriańskich uniformów. Jedną ze zbliżających się postaci była Ann - nadal w stroju pokojówki, obok niej mężczyzna ubrany w garnitur i kamizelkę. Bush rzucił Ann ostre spojrzenie; nie widział wyraźnie twarzy mężczyzny, za wyjątkiem staromodnych, rozszerzających się ku dołowi baczków - jednak już w pierwszej chwili wiedział, że to nie Silverstone.

Obie postaci weszły do przedsionka, kierując się do pokoju lokajów. Bush poszedł za nimi, dobywając broń.

- Ręce do góry! - rzucił stanowczo.

Obrócili się gwałtownie, wyraźnie zaskoczeni. Bush mógł wreszcie zobaczyć twarz mężczyzny; fałszywe bokobrody nie utrudniły jego identyfikacji. Facet miał na sobie także perukę, zakrywającą łysą głowę. Pewnego razu przekupił Busha butelką Black Wombat. To od niego Bush otrzymał zlecenie zabójstwa.

Był jednym z tych, którym najbardziej zależało na zlikwidowaniu Busha za niewykonanie zadania. To był Howes.

A więc - rozważał w pośpiechu Bush - jeśli to Ann go przyprowadziła, dopuściła się tym samym zdrady; był to ostateczny dowód na to, że go nie kochała. Nie można jej było ufać, tak samo zresztą jak żadnej kobiecie. Wymierzył w nią broń i nacisnął spust. Wiązka promieni przeszła jej oddalone o około dwa metry ciało. Ann upadła na podłogę.

Wycelował broń w Howesa, który w tym samym momencie wyciągnął swoją. Czas zaczął się nagle rozciągać. Bush zarejestrował powolny ruch broni Howesa ku górze; zobaczył

wymierzoną w siebie lufę. Wyraz twarzy Howesa zmienił się, gdy pociągnął za cyngiel. Ramiona Busha unosiły się jak dwa balony, niczym topielec z wolna wynurzający się na powierzchnię wody. Ann leżała u jego stóp; rozrzucone włosy przesłaniały jej twarz.

Howes strzelił i Bush upadł nieprzytomny na ziemię, przykrywając swoim ciałem Ann.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pod opieką Królowej

- Cytowałeś Wordswortha - syknął zimno Howes. - Wstawaj!

Torsje przywróciły Busha do rzeczywistości, gwałtownie wyciągając go z bezmiernego chaosu nieświadomości. Usiadł, chwiejąc się lekko na boki. Howes użył pistoletu gazowego, którego działanie było cholernie nieprzyjemne, jednak nie zagrażało życiu. Ściskając kurczowo pulsującą głowę, Bush życzył tego samego uczucia swojemu przeciwnikowi.

Wcześniej, gdy był nieprzytomny, Howes przywłókł go do sypialni - olbrzymich rozmiarów komnaty, ekscentrycznie umeblowanej, nawet jak na epokę wiktoriańską. W jednym jej końcu umieszczono mosiężne łóże, w przeciwnym zaś stała masywna krata wykończona w stylu imitującym cinquecento, podtrzymująca dwie płaczące kobiety i zaskakująco dużą liczbę cherubinów wykutych w metalu. Bush przyglądał się temu ze zdumieniem i odrazą; wydawało się, że znajdowało się tu wszystko, co tylko mogło pogłębić jego dezorientację.

Skupił swój wzrok na szczegółach, rozprostowując kości na olbrzymiej niedźwiedziej skórze, której futro pozostawało jednak dla niego niedotykalne.

- O Boże, zabiłem Ann! - wymamrotał, przecierając oczy.

Pochylając się nad nim, Howes oznajmił:

- Długo cię szukałem, Bush. Co możesz powiedzieć na swoją obronę?

- Powiem ci dopiero, jak wstanę.

Howes chwycił go mocno za ramię, pomagając mu się podnieść. Unosząc się, Bush zacisnął pięści i wymierzył Howesowi cios. Uderzenie było jednak zbyt słabe - z łatwością odparowane przez Howesa. Skutki użycia broni gazowej jeszcze nie wywietrzały z organizmu.

- A więc Bush, skoro już jesteś na nogach... Mamy tutaj mały problem i dlatego muszę wiedzieć, gdzie się ukrywałeś, odkąd opuściłeś 2093. No, zaczynaj!

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Ani tobie, ani nikomu innemu z twojego reżimu.

- Podejrzewam, że jeszcze nie wiesz, po której jestem stronie lub po której ty sam jesteś.

- Dziękuję - mam wystarczająco jasny obraz sytuacji, martw się o siebie!

- OK. Jednak i tak musimy sobie coś wyjaśnić. Dlaczego załatwiłeś Ann?

To była kwestia, której nie był w stanie odsunąć na bok.

- Dobrze wiesz, dlaczego to zrobiłem! Zlikwidowałem ją, ponieważ mnie zdradziła! Przyproceedziła cię tutaj, żebyś mnie sprzątnął i nie próbuj nawet temu zaprzeczać.

- Dlaczego więc nie strzeliłeś najpierw do mnie, jeżeli to ja stanowiłem zagrożenie? -

Widząc wahanie Busha, Howes kontynuował: - Powiem ci dlaczego! Zanim wysłałem cię na poszukiwanie Silverstone'a, dokładnie przejrzałem twoje dossier w Instytucie Wenlocka. Masz silny uraz do kobiet, bo wierzysz, że twoja matka w jakiś sposób cię zdradziła. Od tego czasu zawsze czułeś wewnętrzny przymus, nakazujący ci zdradzać kobiety, zanim one zrobią to pierwsze.

Bush miał jednak swoją wersję.

- Tak naprawdę to nic nie wiesz, Howes. Nie byłem w stanie wykonać tych twoich pieprzonych rozkazów. Byłem poza zasięgiem, zajęty planowaniem i obserwacją problemów pewnej rodziny, zagubionej w historii. Była tam też kobieta, a ja zrobiłbym wszystko, by jej pomóc.

Howes nie wydawał się być wzruszony. Bush często próbował sztuczki z wyznaniem osobistymi, w celu rozbicia przeciwnika. Zawsze bez skutku - i zawsze z mocnym postanowieniem, że już nigdy nie zastosuje tej bezużytecznej taktyki.

- To jedna z bardziej wiarygodnych wersji. Jesteś zupełnie popieprzonym gościem. Powiem ci, dlaczego popełniłeś tak wielki błąd w ocenie Ann - oraz o mojej roli w zaistniałej sytuacji.

- Mam w dupie twoje wywody! Zastrzel mnie i będzie po wszystkim albo złóż mnie w ofierze Najwyższemu Panu Gleasonowi - czy komu tam teraz służysz!

Howes, opierając się o dębową boazerię, wycedził:

- Przywlokłem cię tutaj nie po to, by cię zabić, tylko porozmawiać. Mam problem. I nie jestem twoim wrogiem, chociaż, nie przeczę, nie pałam do ciebie miłością. Teraz posłuchaj uważnie. Ann cię kochała. Można by rzec, oddała za ciebie życie. Wysłałem ją tutaj, do 1851, by cię odnalazła i zabiła, zanim ty zlikwidujesz Silverstone'a - wiedzieliśmy, że ty sam pojawisz się tu w nienajlepszym dla ciebie czasie. Myślałeś, że Ann była małą, twardą suką, prawda? Ta maska miała tylko chronić jej delikatne wnętrze. Kiedy natknęła się na ciebie w korytarzu, nie była w stanie cię skrzywdzić. Przyszła do mnie, żeby mi powiedzieć...

Bush zaśmiał się sceptycznie.

- Jasne, żebyś wykonał za nią tę robotę. A ty masz przecież miękkie serce! Nawet mnie to wzrusza!

- Bez wątplenia. Ale nie rozumiesz całej sytuacji. Zbyt dużo miałem na głowie w ciągu ostatnich kilku tygodni, by się jeszcze martwić o twoje niezobowiązujące wycieczki w czasie, ale gdy tylko wróciła Ann i powiedziała, gdzie jesteś, wiedziałem, że najprawdopodobniej nie masz zamiaru zlikwidować Silverstone'a - zdążyłem cię już trochę poznać. Chyba się nie pomyliłem, prawda? Chciałeś go ostrzec, prawda? Masz to wypisane na twarzy, człowieku!

Jestem tu po to, by cię przekonać do swoich planów, chciałbym mieć w tobie sojusznika - dlatego właśnie Ann mnie tutaj przyprowadziła. A ty ją bez zastanowienia zabiłeś!

- Kłamiesz, kurwa, kłamiesz! To przecież ty i ten idiota Stanhope wysłaliście mnie wcześniej, abym wykończył Silverstone'a. Twoja gadka o nagłym przejściu na drugą stronę zupełnie mnie nie bierze!

- Nie takim nagłym, Bush - kieruję się zupełnie innymi zasadami niż twoje. Ja zawsze byłem po tej samej stronie: przeciwko Boltowi i Gleasonowi oraz wszystkim, co za tym stoją - chociaż Gleason wydaje się być znacznie większym despotą niż był Bolt.

Wpatrzony w czarne, ołowiane rzeźby kobiet, Bush zajął się masowaniem obolałego karku.

- Chyba zwariowałeś, jeśli myślisz, że w to wszystko uwierzę. Dlaczego ci tak na tym zależy?

- Silverstone znajduje się w posiadaniu informacji, które mogą wywrócić całą Partię Działania do góry nogami - nie tylko Działanie, ale cały totalitarny reżim. Wenlock, jak ci zapewne wiadomo, siedzi w zakładzie dla psychicznie chorych i jest bardzo dobrze strzeżony. Nic mu nie jest. Mimo tego, że kiedyś uważał Silverstone'a za swojego przeciwnika, po ostatnich przejściach skłania się raczej do tego, żeby zostać jego sprzymierzeńcem. Kilku naszych ludzi zdołało przeniknąć do kręgu strażników Wenlocka. Podobnie jak Silverstone, jest on jedną z kluczowych figur w zbliżającej się rewolucji. A ja pracuję właśnie dla nich.

Bush przyglądał mu się przez chwilę nieufnie.

- Udowodnij to.

- Ty jesteś moim dowodem! Jak ci wiadomo, do mnie należało zlecenie płatnym mordercom i agentom likwidowanie bądź odławianie potencjalnych wrogów reżimu. Ja z kolei nieźle tę robotę sabotowałem, posługując się w akcjach niekompetentnymi oficerami - sam powiedziałeś, że Stanhope był idiotą - dobieierałem też niewłaściwych ludzi do poszczególnych zleceń. Ty - jako zabójca Silverstone'a - byłeś niemal dziełem sztuki!

Niespodziewanie obaj parsknęli śmiechem. Bush jednak nie do końca ufał temu, co powiedział Howes. Miał dziwne wrażenie, że istnieje jakaś poszlaka, która pozwoliłaby mu zanegować jego słowa - uspokajało go tylko coś w wyrazie jego twarzy.

- Przypuśćmy, że wierzę w to, co mówisz. Co dalej?

Howes rozluźnił dłoń, odkładając pistolet w nieco ostentacyjnym geście. Wyciągnął do Busha rękę.

- W takim razie, stoimy po tej samej stronie. Poza tym, musimy stąd spieszyć - i zabrać Silverstone'a, zanim ustrzelą go ci z Działania.

- A co z ciałem Ann? Czuję, że powinienem je zabrać do 2093.

- To musi poczekać, na razie to zbyt niebezpieczne. Najpierw Silverstone.

Przedstawił zarys całej sytuacji. Nowe władze wprowadziły szereg restrykcji w całym kraju - likwidując zarówno związki zawodowe jak i zamykając wyższe uczelnie, wprowadzając nowe, dalekie od sprawiedliwości prawo, zaostrzając kontrolę nad importem, przeprowadzając czystki. Po tym, jak Howes stracił bliską wtyczkę w kręgach rewolucyjnych, poczuł, że najwyższy czas się ulotnić - większy sens miała jego obecność w ośrodkach rewolucyjnych działających w przeszłości. Opuścił swoją kryjówkę i w towarzystwie Ann rozpoczął szereg mentalnych podróży.

Namierzenie Silverstone'a zabrało im zaledwie chwilę. Dowiedzieli się, że opuścił jurę w okresie wzmożonej obławy na podejrzanych, następnie szukał schronienia na przełomie różnych wieków, osiadając ostatecznie w roku 1901, co było szczytem jego możliwości w mentalnym podróżowaniu.

- 1901 wpędził go w niezłą depresję - wyjaśnił Howes, nieznacznie się uśmiechając. - Tak naprawdę był zupełnie sam - partnerka, którą miał w jurze, nie była w stanie przemieścić się aż tak daleko. Zdecydował, że za swoją główną siedzibę obierze właśnie Pałac Buckingham. Na nieszczęście wybrał miesiąc po śmierci Królowej - wszystko spowite było czernią, wszyscy ludzie nosili tylko ten kolor. To, plus brak kogokolwiek do rozmowy, czy jakiegokolwiek nawet zapachu, było zbyt wielkim obciążeniem dla psychiki Silverstone'a. W pewnym momencie aby znaleźć jakieś towarzystwo, musiał przyjść tutaj, a my prawie od razu na niego wpadliśmy.

- Co się dzieje? Czemu tak patrzysz? - zapytał Bush.

- Kim jest ta panienka? - zagadnął Howes, skinąwszy w kierunku łóżka.

Bush spojrzał podejrzliwie we wskazanym kierunku. Przez moment dopuścił nawet możliwość istnienia duchów. Niewyraźna postać kobiety widniała nieopodal łóżka, przez jej ciało przebijała zdobna, kwiecista tapeta. Po chwili rozpoznał „swoją” Kobietę Cień.

- Nie jesteśmy jedynymi zjawami w tym pałacu.

- Wygląda na to, że ona nas śledzi. Wiesz, kto to jest?

- Nazywam ją Kobieta Cieniem. Towarzyszy mi od lat.

- Zero prywatności, co?

Howes ruszył w jej kierunku. Bush już miał go powstrzymać, uznał jednak, że lepiej będzie nie wszczynać kolejnej sprzeczki i poszedł za nim.

Howes stanął naprzeciw zjawy. Wyglądała jak stworzona z mgły, a jednocześnie była czymś więcej niż tylko eterycznym szkicem. Bush nigdy nie odważył się patrzeć na nią w ten

sposób; była niczym część jego osobowości, której bał się stawić czoła - zbiegła z ciemnego karceru jego własnego sadyzmu.

Jakby na potwierdzenie jego myśli, które wcale nie były powodem do radości, dobiegł go zdziwiony głos Howesa:

- Ona wygląda jak ty!

- Zajmijmy się lepiej robotą! Gdzie może teraz być Silverstone?

- Ona nas szpieguje.

- A jesteś w stanie coś na to poradzić?

- No dobra, masz rację.

Gdy Howes odwrócił się, coś skłoniło Busha, żeby zapytać:

- Myślisz, że Ann naprawdę mnie kochała?

Na twarzy Howesa widać było lekką drwinę.

- W ten sposób to odebrałem. - Wzruszył ramionami, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, po czym dodał, już bardziej ożywiony: - Musimy zabrać Silverstone'a w bezpieczne miejsce. To tutaj jest mocno infiltrowane przez agentów Działania. Na dodatek nie tak łatwo jest znaleźć jakiegokolwiek bezpieczne schronienie. A niestety, Silverstone również bywa nieprzewidywalny.

- Co masz na myśli?

- Zadawał się ostatnio z bandą terszerów. Przez to się trochę rozbestwił. No i jeszcze wiadomości, które posiada - chce przekazać, jak to określa, właściwym ludziom...

- No i...

Kapitan wydobył z siebie lekko wymuszony śmiech.

- On nie uważa mnie za właściwego człowieka. Nie ufa wojskowym. Ale zaraz, zaraz, Bush - ty byś się nadawał! Jesteś artystą! On jest przecież nieźle zakrecony na punkcie sztuki. No, to do roboty - i przestań celować we mnie tym swoim gnatem. Musimy działać razem.

Przez chwilę przyglądali się sobie z dużą nieufnością i niedowierzaniem zarazem.

- No dobra, ruszaj - odparł w końcu Bush. - Jeżeli ja mam uwierzyć w twoją historyjkę, ty musisz mi zaufać, że nie strzelę ci w plecy!

Na twarzy Howesa pojawił się uśmiezek.

- Wiem, że nie zrobiłbyś tego.

Było coś, co nie dawało Bushowi spokoju. Cała sytuacja mogła być po prostu kamuflażem dla czegoś innego, podobnie jak sarkofag dziewicy osłaniał kominek, tak postać wiktoriańskiego dżentelmena mogła być kamuflażem dla Howesa. Nie mógł tego rozgryźć - wszystkie logiczne procesy jego umysłu zostały zakłócone przez ten ładunek żalu i winy, jakie

czuł z powodu śmierci Ann.

Stali tak przez moment, po czym Kobieta Cień przemknęła obok nich, opuszczając pokój.

- Nawet nie wiesz, kim ona jest. Równie dobrze może być rządowym szpiegiem.

- Lub, co gorsza, duchem jednej z kobiet, które jak twierdzisz, zdradziłem.

- Ruszajmy - odburknął zniecierpliwiony Howes.

Wychodząc na główny korytarz, Bush chwycił swój konwerter tlenowy i kilka razy głęboko zaczerpnął powietrza. Czuł, jakby się miał zaraz udusić. Może ścigało go coś, co czyhało tylko na spłatę długu za śmierć Ann i Lenny'ego - jakaś szczególna, niepokojąca nemezis, jako że w tym miejscu właściwymi mieszkańcami były duchy, a duchami z kolei, prawdziwi ludzie. Pod sztucznymi bokobrodami mogło kryć się życie lub śmierć - a on podążał za człowiekiem, któremu do końca nie ufał.

Od czasu do czasu Howes mamrotał jakieś wskazówki - Bush potakiwał bezgłośnie. Zbliżała się pora, kiedy całe stopy martwych ptaków i zwierząt, dostarczonych wcześniej do kuchni, miały wjechać na stoły i oczekiwać na pożarcie - w pałacu budziło się życie i korytarz był już gęsto wypełniony ludźmi. Jeżeli w tej chwili Bush zostałby zastrzelony, to prawdopodobnie nikt by tego nie zauważył i po jego ciele przeszłyby dziesiątki nieświadomych niczego osób.

- Silverstone znajduje się w sali audiencyjnej w zachodnim skrzydle, czwarte drzwi w głębi - rzucił przez ramię Howes.

Otoczyły ich surduty z szerokimi kłapami, baskijskie sukienki, haftowane kamizelki, a każdy gość paradował w towarzystwie lokaja w liberii królewskiego dworu. Bush przyglądał się uważnie damom o nagich ramionach i wiktoriańskim dżentelmenom z bokobrodami, wypatrując wśród nich zabójcy.

Właśnie zbliżali się do drzwi sali audiencyjnej. Goście wchodzili do środka, stąpając po grubym dywanowym poszyciu. Przed wejściem do sali przyjęć stał ubrany w uniform mężczyzna, który wydawał się znajdować w głębokim cieniu. Gdy Bush podniósł broń, Howes dał mu do zrozumienia gestem dłoni, by ją opuścił.

- To jeden z naszych. - Zwracając się do strażnika, Howes zapytał - Przejście bezpieczne?

- Silverstone jest w środku. Na razie ani śladu jakiegokolwiek ingerencji. Przeciwnik musi być gdzieś na zewnątrz - padła odpowiedź.

Howes lekko zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, co chcą dzięki temu osiągnąć. - Nie znajdując wytłumaczenia,

wzruszył ramionami, następnie sięgnął do drzwi, które były na wpół otwarte. Jego umysł wypełnił się mrocznymi podejrzeniami. Bush ciągle nie spuszczał wzroku ze strażnika; teraz już nie był pewien - być może również nie wiedział tego nigdy wcześniej - jaka jest różnica pomiędzy przyjacielem a wrogiem. Wiedział jedynie, że nie ma ochoty wchodzić do tego pomieszczenia - jednak jakiegokolwiek odwołanie rozpoczęcia akcji było tylko dodatkowym prowokowaniem przeciwnika. Wahając się już tylko trochę, Bush rozpatrzył jeszcze możliwość totalnego załamania nerwowego, gdy już będzie po wszystkim - zaśmiał się, że w ogóle o tym pomyślał - przeszedł przez drzwi w ślad za Howesem - w tym samym momencie poczuł, jak ktoś chwycił go od tyłu i wymierza mocny cios w bok.

Przed oczami zamajaczyła ohydna, szczerząca zęby gęba, po chwili zobaczył nogi należące do jej właściciela oraz prawą rękę, energicznie pociągającą za spust laserowego miotacza. Chwilę potem Bush ujrzał pędzącą na niego, jak na powitanie, podłogę. Wyglądała na wzorzysty turecki dywan, jednak w dotyku bardziej przypominała szklano-gumową posadzkę z podróży mentalnych. Starał się złapać oddech, skulił się w pozycji embrionalnej - przed oczami znów mignął mu Lenny - kilka sekund później dźwignął się do pozycji siedzącej. Usłyszał, że ktoś szybko się do niego zbliża i brutalnie przystawia lufę pistoletu do jego głowy. Usiadł, mocno spięty, zastanawiając się nad uczuciem, jakiego dozna, gdy to coś wypali.

- Co to za gość? - padło pytanie.

- Mój przyjaciel - usłyszał głos Howesa. Ostrożnie, używając tylko oczu, starając się nie poruszyć przy tym głową, Bush rozejrzał się na boki.

Właśnie zbliżał się zdrajca, który stał przed wejściem. W środku znajdowało się jeszcze pięciu jego towarzyszy. Czterech stało nieopodal, pilnując Howesa i Busha. Wszyscy przebrani byli za wiktoriańskich przystojniaków, chociaż ich blada karnacja wskazywała na to, że pochodzili z 2093 i cierpieli na niedobór światła. Sprawiali wrażenie inteligentnych gości - nie mogło być inaczej, skoro udało im się przenieść do 1851, który był w końcu dość blisko teraźniejszości. Jeden z nich pochylił się nad Howesem, zdzierając jego podrabiane pejsy i perukę. Teraz Howes wyglądał nago i bezradnie, leżąc na podłodze z lufą pistoletu przystawioną do jego głowy.

- To wszystko twoja wina - byłem zbyt zajęty tobą, aby przedsięwziąć właściwe środki ostrożności! - rzucił ostro do Busha.

Bush uniósł brwi, nie powiedział jednak nic. Jak zawsze czujny w wyłapywaniu takich szczegółów uznał, że Howes, pod wpływem wewnętrznej presji, jest zmuszony przenieść winę na kogoś innego.

Miał już tego przykład podczas osobliwej rozmowy po wypadku z Ann.

Howes zaczął bluzgać na faceta w drzwiach za to, że dopuścił się zdrady, jednak już pierwsze uderzenie wystarczyło, aby go uciszyć.

Piąty członek grupy - szósty, wliczając gościa przy drzwiach - stał nieopodal, przy jednym z wielkich, przesłoniętych ciężkimi sztorami, okien. Obok niego znajdował się fotel, a w nim związany i zakneblowany mężczyzna. Niezbyt wyraźna, przy tak rażącym świetle, twarz tego ostatniego utrudniała identyfikację - jednak Bush nie miał wątpliwości, że był to Silverstone; dźwięki, jakie z siebie wydawał, sugerowały, że miał problemy z konwerterem powietrza.

- No i po wszystkim! To było prostsze, niż się spodziewaliśmy - przemówił gość stojący nad Howesem. Wydawał się być przywódcą. Miał jasne szerokie brwi i ciężką, kwadratową szczękę; nosił szary płaszcz z jedwabiu oraz jasno-beżowy kapelusz, który właśnie wkładał na głowę. Całość stanowiła ciekawy kontrast z jego inteligentną twarzą, nie bez znamion brutalności.

- Powinienem był wiedzieć, że staniesz na głowie, aby móc przyłączyć się do Akcji, Grazley! - Howes rzucił z pogardą. Nazwisko Grazley brzmiało znajomo; to pewnie jeden z poruczników Bolta, który wybrał lojalność wobec kogoś innego.

- Zabieramy cię razem z twoim kompanem do 2093 - powiedział stanowczo, ignorując sprzeciw Howesa. - Obu was czeka proces za wystąpienie przeciwko władzy, której mam zaszczyt służyć. Za chwilę dostaniecie krople paraliżujące, dożylnie CSD, po czym rozpoczniecie mentalną podróż, rzecz jasna, w naszym towarzystwie. Silverstone wróci do domu w taki sam sposób.

Mówiąc to, ujął mocniej broń i ruchem drugiej ręki skinął na jednego z podwładnych, który bez słowa zaczął coś rozpakowywać.

- Dlaczego od razu nas nie zastrzelicie, zaoszczędzilibyście sobie zbędnej farsy? - zapytał Howes. Odpowiedzią był kopniak w kręgosłup.

Podczas gdy mężczyzna wyciągał strzykawkę, do pokoju weszło kilku służących. Towarzystwo Grazleya błyskawicznie przeszło w stan gotowości, jednak ludzie z obsługi byli najwyraźniej częścią swojej epoki, przechodząc przez mentalnych bez mrugnięcia okiem. Do tej pory nikt wcześniej nie wchodził do tego pokoju. Lokaje podeszli do okien, z pełną ceremonią poprawiając zasłony, chroniące pokój przed ostrym słonecznym światłem - wyglądało to na zwykły codzienny obchód.

Wtargnięcie służby rozproszyło na chwilę uwagę mentalnych. Bush kalkulował, ile czasu zajęłoby mu ucieczka przez drzwi. W normalnych warunkach nie byłoby to warte ryzyka, jednak położenie, w jakim się teraz znajdował, było beznadziejne na tyle, aby chociaż

spróbować. Od momentu, gdy lokaje zrobili kilka pierwszych kroków, zorientował się już w sytuacji - i napinając mięśnie, szykował się do próby. W tej jednak chwili do akcji wkroczyła przyszłość.

Była ich czwórka - Kobieta Cień i trzech mężczyzn. Wydawali się lekko unosić w powietrzu, niczym istoty bez nóg, stojące za kilkoma tafłami szkła. Mieli przy sobie cienkie, długie przedmioty, wymierzone w jakiś cel.

Przez sekundę oczy Busha i Kobiety Cień spotkały się. Gestem pokazała mu, aby zasłonił nos i usta, po czym cała czwórka ruszyła w stronę Grazleya i jego ludzi, otwierając w ich kierunku ogień.

Grazley działał szybko. Rzucił się na najbliższego z widmowych napastników, gubiąc przy tym swój okazały kapelusz.

Miotacze z przyszłości przebijały się przez barierę entropii, wysyłając serie gazowych pocisków. Dwóch ludzi Grazleya strzelało na oślep - ułamek sekundy później, chwiejąc się, opadli na podłogę, rażeni pociskami zza bariery. Bush poczuł ostry zapach - miał wrażenie, jakby jego głowa miała rozpaść się za chwilę na tysiąc kawałków. Próbując jakoś nad sobą zapanować, wystartował w kierunku wyjścia.

Wydawało mu się, że ktoś dźga jego zmysły ostrym narzędziem, a głowa zmienia stan skupienia. Jego działanie na nic się nie zda. Nigdy nie będzie wolny. Czy taka właśnie była natura nieskończoności? Działanie jest... cierpienie jest... o Boże, tak... nieustanne, niezrozumiałe, mroczne... jak Ann...

Starał się utrzymać chociaż resztkę świadomości. Legł na grubym dywanie w korytarzu. Znikły już stąd tłumy, zasiadając teraz pewnie do wystawnego lunchu. Jeszcze tylko dwie, wydawało się, że dosyć ważne, postaci, zbliżyły się w jego kierunku - krocząca dumnie kobieta prezentowała się niczym królowa; trzymała z gracją dłoń na ramieniu idącego obok dżentelmena, w taki sposób, że on... On!... i Ona! Nic dziwnego, że lokaje podążający za nimi oddawali tak służalcze pokłony, że peruki niemal spadały im z głów!

Pojękując z bólu, Bush próbował bezskutecznie usunąć się z drogi, gdy Królowa Anglii i jej Małżonek przepłynęli przez niego - a on utonął w rozległych falbanach jej fantasmagorycznej sukni.

Szok, paradoks sytuacji, szaleńcze tempo, wszystko to przywróciło ostrość jego zmysłów. Przecierając oczy, zaczerpnął kilka haustów świeżego powietrza przez konwerter - po czym wstał, dobywając swój pistolet gazowy, jedyną broń, jaka mu pozostała. Dyskretnie zajrzał do pokoju, z którego przed momentem się ewakuował. Wszyscy mentalni leżeli nieprzytomni na podłodze. Pałacowi służący, z pogodnymi twarzami, odwrócili się już od

zasłon - których ułożenie było dziełem wielkiej precyzji - a następnie zgodnie wymaszerowali z pokoju, przechodząc przez Busha.

Gaz nie wyrządził mu większej krzywdy. Jego czworo wyzwolicieli z przyszłości pozdrowiło go ruchem głów, zabierając się do wyjścia, z Kobietą Cień na ich czele.

Bush poświęcił tylko sekundę na przyjrzenie się im. Pospiesznie obszedł salon, rozbijając Grazleya i jego ekipę - nawet nie drgnęli. Jakby o czymś sobie przypominając, wrócił i ponownie ich przeszukał, zabierając im zapasy CSD, opóźniając tym samym ich powrót do 2093 - choć zapewne i tak zdobędą od kogoś specyfik. Chwytał nieprzytomnego Howesa i wyciągnął go na korytarz; unoszące się resztki gazu mocno szczypały w oczy. Raz jeszcze dał nura do pokoju, tym razem w kierunku Silverstone'a - nieprzytomnego i związanego, ciągle spoczywającego na tym samym fotelu. Włokąc go po podłodze, potracił swój laserowy miotacz, który wypadł mu z dłoni, gdy po raz pierwszy wszedł do tego pomieszczenia - w tej chwili jego umysł, mimo że przytępiony działaniem gazu, zaiskrzył, jakby nagle olśniony - Bush z trudem powstrzymał cisnący się okrzyk zdumienia i ulgi zarazem.

Wśród swego wyposażenia miał gdzieś nóż. Odnalazł go, przeciął więzy krępujące Silverstone'a, a następnie wykonał czynność odwrotną - podmiotem której był tym razem Howes. Związał razem jego stopy i dłonie tak, aby kostki nóg i nadgarstki mocno do siebie przylegały.

- Ty przemądrzały sukinsynu! - rzucił pod nosem.

Następnie zaczął krzyczeć, a jego głos poniósł się po pałacowych korytarzach:

- Ann! Ann!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przypadek niespójnego światła

Na mentalne ramy naszego życia składają się dziesiątki przypadkowych czynników. Przyjrzyjmy się kilku, np. krzywe nogi, cytat z Wordswortha, dzień w opustoszałym ogrodzie, czuły pocałunek w ramię, snobistyczny klub golfowy, narkotyk, dewońska plaża o świcie, laserowa pukawka - teraz bazując na tych składowych, spróbuj wyznaczyć granicę ludzkiego doświadczenia.

Bush w jednej chwili przerwał ten ciąg myśli. Nagle doznał silnego przeświadczenia, że Ann żyje - momentalnie zapomniał o wszystkim, czego się do tej pory nauczył; zaczął tworzyć nowe zasady.

Po szaleńczym wyskoku, gdy wykrzykując biegł korytarzem, doszedł do wniosku, że bezsensowne i dziecinne byłoby szukanie Ann w ten sposób. Przekonany, że żyje, zdał sobie sprawę, że pewnie ma swoje powody, dla których trzyma się z dala od pałacu. Miał jedynie kilka chwil, zanim Grazley i jego banda odzyskają przytomność. Był tylko jeden sposób, aby odnaleźć Ann - mentalne przesunięcie.

Udało mu się to dzięki napinaniu mięśni, co do których istnienia w ciemnej strefie submentalności nigdy nie miał pewności. Najwidoczniej w jego żyłach utrzymywał się wystarczający poziom CSD - w innym razie nie byłby w stanie tego dokonać.

Raz jeszcze dał nura do sali audiencyjnej i zanurzył się w kanał mentalny - znalazł wreszcie odpowiednią częstotliwość w czasoprzestrzeni i po chwili ponownie wynurzył się w budynku pałacu. O ile wcześniej? Nie był w stanie jeszcze tego stwierdzić. W salonie znajdowali się inni ludzie, tym razem wszyscy z epoki wiktoriańskiej - nie Silverstone, Howes czy Ann.

Znowu się zanurzył. Ludzie. Przedziały czasu. 1847? 1849? 1850? Wynurzał się, to znów nurkował, nakręcany emocjami, przyspieszając niczym delfin zaraz pod powierzchnią wody - wzrok utkwiony w oknie, z jednoczesnym dostrajaniem się do środowiska, w którym się poruszał - na dziedzińcu widok śniegu przechodził w słoneczną, letnią scenerię, rozwiane liście w alejkach - dzień, noc, szarówka, znowu ostry blask słońca. Z trudem poruszał się w górę tego strumienia. Gdy udało mu się dosięgnąć jednego z górnych pułapów - znalazł się nagle skulony w jednej z okiennych wnęk.

Ciężkie sztory wydawały się sprzyjać jego zamiarom. Potrzebował jakiegoś lokum w czasoprzestrzeni, zanim dotrą do niego Ann i Howes; jego wcześniejsze Ja oczekiwało w małym przedpokoju, w głębi korytarza. Gdy osłabły trochę pierwsze emocje, mentalne

przemieszczanie stało się utrudnione. Delfin utknął na płyciźnie. Zatrzymał się. Jeden z tych wyblakłych, anonimowych dni 1851, nie zarejestrowany... mimo że Królowa zaczęła nowy rozdział w swoim nudnym pamiętniku, którego przewidywalności nie zmąci żadna wątpliwość co do zasad rządzących wszechświatem, nad którym to właśnie ona sprawuje władzę - niczym wszechmocny pyłek.

Zniecierpliwiony, wstrzyknął sobie dożylnie ampułkę CSD, po czym ponownie wszedł w fazę mentalnego przemieszczania.

Tam był Silverstone! Dostrzegł go, gdy ten znajdował się w kącie jakiegoś pokoju. Bush dobrze pamiętał jego wyróżniającą się twarz, z lekko drwiącym uśmiechem i dużym, haczykowatym nosem; nasunęło mu się od razu określenie - ptak przedrzeźniacz. Czterech wiktoriańskich dżentelmenów paliło cygara w przeciwległej części salonu. Bush wiedział, iż trafił na właściwy moment w czasie

- jego enigmatyczny zmysł intuicji, prowadzący go w mentalnych podróżach, i tym razem nie zawiódł. Jednak musi zachować ostrożność. Od Silverstone'a dzieliły go w czasie zaledwie minuty, co najwyżej godzina. Na dobrą sprawę, znajdować się już może w zasięgu jego wzroku, słuchu czy strzału... Przykucnął za grubą kotarą.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, Silverstone odwrócił się - obracając szybko głowę, dostrzegł Busha - być może kątem oka zauważył, jak ten materializował się chwilę wcześniej. Jego twarz zaszła mgłą, gest ręki wyrażał coś w rodzaju niemego oskarżenia. Bush odruchowo wycofał się do fazy mentalnej umysłu. Zapomniał, że Silverstone przybył do 1851 znacznie wcześniej niż Howes; nie zastosował żadnych środków maskujących, które uniemożliwiłyby dostrzeżenie go przez osoby z jego przedziału czasu.

Wynurzył się. Teraz pokój świecił pustką, wypełniony jedynie niewyraźnym światłem, wewnątrz wyglądało jak swoja własna replika, taka, którą można zobaczyć w muzeum. Przycupnął za sporych rozmiarów sofą, z mahoniowym oparciem, wyrzeźbionym w kształcie fali, z której wystrzeliwały pąki i całe różane kwiaty. Czując się trochę bezpieczniej, znów popędził kanałami czasu, ignorując zmęczenie.

To był dokładnie ten moment!

Jego instynkt zadziałał z wielką precyzją, naprowadzając go na moment w czasie, gdy właśnie toczyła się rozmowa na jego temat!

Silverstone siedział na podłodze, oparty plecami o ścianę.

Obok niego stał Howes, który w tej chwili obrócił się do Silverstone'a plecami, gdyż do sali weszła Ann. Była wyraźnie roztrzęsiona; już od wejścia krzyczała coś do Howesa. Do Busha docierało każde jej słowo - odbiór był słaby, ale za to wyraźny w otaczającej ciszy.

- Eddie Bush jest w pałacu! Przed chwilą spotkałam go na tym piętrze!

Zatrzymała się przed Howesem, ściskając w palcach rąbki swojego uniformu. Howes zeszywniał, jego uśmiech gdzieś zniknął, odruchowo nawet pogładził swoje sztuczne pejsy.

Pierwszy odezwał się Silverstone:

- Mówiłem ci, że wróci. Widziałem go, w tym właśnie pokoju, przed dwoma miesiącami. Stał przy tamtym oknie. Mógł mnie nawet zabić!

Jakby nie słysząc jego słów, Howes zwrócił się do dziewczyny:

- Czy zrobiłaś to, co do ciebie należało!?

- Nie mogłam, David, nie mogłam! Posłuchaj - nie ma potrzeby zabijać Busha. Jego stanowisko jest teraz zupełnie inne. On jest nam w stanie pomóc, a my przecież cholernie potrzebujemy pomocy!

Howes gwałtownie ją odepchnął, sięgając jednocześnie po broń.

- Nie wykonałaś rozkazu, Ann. Nawet bez dodatkowej niewiadomej, jaką jest Bush, mamy wystarczająco dużo problemów komplikujących nam rzeczywistość. Zaprowadź mnie do niego!

Przytrzymała go za ramię.

- Nie rób niczego, czego będziesz później żałować, David. On może być nam naprawdę pomocny. Pomyśl rozsądnie - sam powiedziałeś, że jest typem artystycznym. Poza tym ma laserową spluwę.

- Spokojnie, o to nie musisz się martwić. Już to załatwiliśmy.

- Wiem, że jesteś w tym dobry. Ja cię tylko proszę, abyś nie zrobił mu krzywdy. Błagam!

- Ciągle coś do niego czujesz, prawda? Niech ci będzie, jeżeli muszę, to spróbuję z nim tylko porozmawiać. Ale nie zapominaj, jak dużo zależy od powodzenia tej operacji. Profesorze Silverstone, jeżeli byłby pan łaskaw tutaj zaczekać - będziemy z powrotem za kilka minut, a wtedy szybko się stąd wyniesiemy, zanim zrobi się naprawdę gorąco.

- A co z moją paczką? - zaniepokoił się Silverstone. - Nie mogę się stąd bez niej ruszyć. Ann, miałaś po nią pójść...

- Byłam w drodze, ale kiedy zobaczyłam Eddiego, zupełnie wyleciało mi to z głowy - rzuciła szybko Ann. - Tym razem powinno obejść się bez komplikacji, za chwilę ją panu przyniosę.

Bush nie czekał na koniec rozmowy. Gdy cała trójka była mocno skupiona na sobie, zgięty wpół, szybko opuścił pokój. Wypadł na korytarz, radośnie podskakując; zachowaniem teraz nie przypominał agenta. Wspaniale!

W pamięci miał spojrzenie Ann, gdy Howes zapytał ją, czy coś jeszcze do niego czuła. Do tej chwili zapomniał już o tym, że posiada jakiegokolwiek zdolności kochania. Jednak jej wyraz twarzy kazał mu się nad tym zastanowić - tak, tym razem nie miała na sobie maski, podobnie jak czasami zdarzało się to małej Joan Bush... Ale Ann odsłoniła się po raz pierwszy.

Mógł też wreszcie zobaczyć prawdziwą twarz Howesa! Howes - manipulator! Nieustraszony, zimnokrwisty i przewidujący profesjonalista: wszystkie cechy, o jakich Bush tylko marzył. Jego działania związane z sabotażem planów reżimu były dopracowane w najdrobniejszych szczegółach - włączając w to nawet wyposażenie wynajętych zabójców w broń, która nie działała jak powinna. Teraz Bush nie miał wątpliwości, że jego pistolet naładowany był pociskami z nieszkodliwym dwutlenkiem węgla, podobnie jak jego miotacz, który emitował niespójny strumień światła zamiast laserowej wiązki. Jedno przynajmniej było jasne. Nie zamordował Ann.

Słowa Howesa były także potwierdzeniem tego, co Bush już wcześniej podejrzewał. Fakt, że majstrowano przy jego broni, był namacalnym dowodem wywrotowej działalności Howesa.

Wiedział także, że mógł sobie teraz pozwolić na swobodne cofnięcie się do punktu, gdzie Silverstone wraz z Howesem leżeli na korytarzu, obezwładnieni gazem. Czas był esencją wszystkiego - cóż za wiekopomna myśl! Nie był już dłużej mordercą! Został ułaskawiony! Pełna dobroci, nieszkodliwa istota, która nie byłaby zdolna do skrzywdzenia kogokolwiek.

Ann natomiast nadal żyła, swoim jakże niepojętym życiem!

Nagle narodził mu się w głowie pewien szalony pomysł. Śmiejąc się do siebie, śmignął w głąb korytarza, drogą, którą miała nadejść Ann.

Po chwili odnalazł, skulone w ciemnej alkwie, swoje cofnięte w czasie Ja - w pomieszczeniu nieopodal dostrzegł zajęte prasowaniem kobiety. Pod wpływem impulsu wyciągnął dłoń, czując swój uścisk. Uśmiechnął się. Prezentował się doskonale, był nawet trochę wyższy, niż się tego spodziewał, zwinny w ruchach.

- To ty!

- To ja!

To, co nastąpiło, w rzeczy samej było wymianą energii miłości. Jakże dobrze życzył temu człowiekowi, osobie, którą znał na wylot - każdą myśl, każdy centymetr ciała - nie było takiej drugiej! A teraz, niczym w kazirodczym akcie - zwariowanym, mrocznym i nie do końca świadomym - ścisnął siebie w poczuciu wszechogarniającej miłości. Nie potrafił wykrztusić z siebie nic więcej, przytłoczony emocjami, a jednocześnie bezgranicznie zadowolony z przepływających ładunków energii. Wszedł w fazę mentalnego przemieszczenia.

Znów był z powrotem - a może był tam cały czas, tylko rzeczywistość na chwilę odpłynęła. Odczuwał jeszcze na sobie skutki przedzierania się przez czasową barierę entropii - w jakiś sposób zadziało to na niego otrzewiająco, wyculając tym samym na ewentualne zagrożenia.

Silverstone i Howes stawali się coraz bardziej przytomni, leżąc ciągle na dywanie w korytarzu. Mimo, że ilość gazu, jaka im przypadła w udziale, była mniejsza, niż w przypadku ludzi Grazleya, to i tym ostatnim nie zajmie długo dojście do siebie.

Pochylając się nad profesorem, Bush lekko uderzył go kilka razy w twarz - twarz ptaka przedrzeźniacza - i energicznie potarł.

- Stein, Stein! - Po chwili zmienił taktykę. - Silverstone!

Profesor otworzył oczy.

- To był niezbity dowód - wymamrotał. - Ta broń wszystko potwierdza!

Słowa te spowodowały lekkie zamieszanie w głowie Busha. Czy Silverstone mógł wiedzieć o manipulowaniu przy jego broni? Świadomość, że ten człowiek dokładnie wiedział, przez co przeszedł, zupełnie go zdezorientowała. Patrzył w lekkim otępieniu na Silverstone'a, który z trudem przybierał pozycję siedzącą, a po chwili, kiedy zaczęła mu wracać świadomość, powiedział:

- Chodzi mi o broń, której używali ludzie z innego przedziału czasowego - to jest dowód na to, że moja teoria jest w stu procentach prawidłowa i z pewnością jeszcze niejedyn raz się potwierdzi! To pierwszy przypadek ingerencji przez czasową barierę entropii.

Trochę rozczarowany pominięciem jego przypadku w całej tej sprawie, Bush rzucił stanowczo:

- Musimy się stąd wynosić. Poza tym nie rozumiem, w jaki sposób ktoś mógłby strzelać przez barierę entropii.

- Czy to nie oczywiste? Sami bylibyśmy w stanie do tego dojść - w ciągu kilku lat, bez wątpienia. Wynaleźliśmy już metodę transferu powietrza za pomocą konwerterów tlenowych. Mentalne podróżowanie wymusza ten postęp. Oni dokonali jedynie transferu środków usypiających. A teraz pomóż mi wstać. Jeśli się nie mylę, to ty jesteś Edward Bush. Spotkaliśmy się już kilka razy w różnych czasookresach, jednak nie zawsze w przyjaznych okolicznościach. Mam tylko nadzieję, że nie wyrządziłem ci poważnej krzywdy, wtedy, przy Owodniowym Jaju. Byłem przekonany, że jesteś jednym z wynaturzonych agentów Bolta.

Bush skwitował to śmiechem.

- Nawet nie zwróciłem na pana uwagi. Byłem zbyt zajęty dziewczyną, która była wtedy z wami.

Po tych słowach, Silverstone najwyraźniej się rozluźnił.

- No cóż, ja też byłem nią zainteresowany. Szczęśliwym trafem kobiety należą do moich słabości. Dziękuję, że pomogłeś mi się stamtąd wydostać. Rozwiąż jeszcze Howesa i możemy ruszać.

- Howesa związałem nie przez przypadek. Potraktował mnie dosyć brutalnie po to tylko, żeby się upewnić, że jestem wystarczająco oszołomiony, by bez jakichkolwiek pytań wykonywać jego rozkazy. Nie zamierzam być niczym narzędziem.

- Wszyscy jesteśmy narzędziem w rękach kogoś innego. To właśnie oznacza społeczeństwo. Bardzo emocjonalnie podchodzisz do sprawy, Bush, ale w tej chwili nie mamy czasu na emocje. David Howes jest niezwykle ważną osobą, dlatego też jest nam niezbędny.

Wszyscy służymy jako narzędzie...

Nie była to szczególnie odkrywczą myśl, jednak, jak ocenił Bush, dobrze oddawała sens relacji międzyludzkich. Ktoś wykorzystywał i jednocześnie był wykorzystywany. On sam wykorzystał Ann. Howes wykorzystał jego. On użyje Howesa. Z kolei ten wykorzysta Silverstone'a.

Howes i Silverstone mieli dosyć sporą władzę - mogli mieć jeszcze większą. Jeżeli on udzieli im teraz pomocy, oni zrobią dla niego to samo, kiedy już będą z powrotem w 2093. Dzięki nim może zyskać przepustkę do uprawiania malarstwa, poznania elit. Potrzebował tworzyć, tak jak śpiący człowiek łaknął marzeń sennych. Jeżeli sztuka, którą w sobie nosił, miała przetrwać, musi zdusić małostkowość własnego ego.

Schylił się i zaczął rozwiązywać Howesa, który właśnie otwierał oczy. Rozplątywał jeden z węzłów, gdy Silverstone powiedział:

- Być może ci wiadomo, że w Buckingham przebywało lobby intelektualistów na wygnaniu, którzy pochodzili z naszych czasów. Przedstawiłem im swoje przesłanie, a oni zajęli się jego rozpowszechnianiem.

- Przesłanie? Na tle religijnym?

- Moje własne nauki. Chciałbym, żeby był tutaj Wenlock - teraz nasza rewolucja jest już gotowa. Nawet mnie trudno jest pojąć ogrom tego, co odkryłem. Wywraca to porządek świata do góry nogami, wszystko burzy. Musimy się stąd jak najszybciej wydostać.

- Nie mogę opuścić tego miejsca bez Ann.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Potrzebujemy Ann. Lada chwila powinna się tutaj zjawić razem z moim pakunkiem, który zostawiłem na dole. Jak się miewamy, kapitanie?

Howes odburknął coś niewyraźnie. Oswobodzony usiadł, rozmasował zboląły kark, po czym spojrzął na Busha.

- Wiesz już, że Ann żyje?

Bush potwierdził skinieniem głowy.

- Przykro mi, Bush. Wszystko przez to, że nie wiedziałem, jak się zachowasz. Po tym, gdy do niej strzeliłeś ze spreparowanej spluwy, ona upadła, a ja poczęstowałem cię gazem - wspólnie ustaliliśmy, że lepiej będzie, jeżeli uznasz, że jest martwa. Chcieliśmy, abyś doznał szoku. To dobre na twój sadyzm!

- Powinieneś się leczyć! - syknął Bush, po czym odwrócił się od niego z obrzydzeniem. Ann nadchodziła właśnie korytarzem, niosąc w dłoni plastikową teczkę. Natychmiast zabrał ją Silverstone - Bush natomiast chwycił Ann w ramiona. Uśmiechnęła się do niego, lekko unosząc brew, jakby odezwało się w niej echo jej naturalnej nieufności.

- Dlaczego to zrobiłaś! - zapytał.

- Masz czelność o to pytać? A dlaczego do mnie strzelałeś? Nawet mi nie odpowiadaj! Doskonale znam wytłumaczenie - nie ufasz mi, nie odważyłeś się zaufać mi, tak samo jak boisz się zaufać sobie!

Posunął się do otwartego kłamstwa:

- Pistolet wypalił przez przypadek.

- Boże, jakie naiwne kłamstwo! Gdy naciskałeś spust, w twoich oczach dokładnie widać było intencje.

- To był dla mnie tak wielki zawód, że straciłem zmysły - dobrze o tym wiesz! Myślałem, że przyprowadziłaś Howesa po to, żeby mnie sprzątnął. Zrobiłem to, ponieważ cię kochałem, zupełnie nie panowałem nad sobą!

Ann opuściła wzrok i dodała, tym razem przygaszonym głosem:

- Nie ufasz mi.

- Teraz wszyscy musimy sobie zawierzyć - rzucił ugodowo Howes. - Bo jeżeli szybko się stąd nie zwiniemy, to będziemy mieć znów na karku Grazleya i jego ludzi. Moglibyśmy ich teraz powystrzelać, gdy jeszcze leżą - być może Bush mógłby się tym zająć - ale ja osobiście wolałbym, żeby nas tu nie było, kiedy się obudzą.

- Dobra myśl, kapitanie - sędzę jednak, że trochę niesłusznie oceniasz Busha. Obu nas wyciągnął z rąk Partii Działania i powinniśmy być mu za to wdzięczni - podsumował Silverstone. - Dobra, skoro mam już swoją teczkę - czas na wstrzyknięcie CSD. Pamiętajcie o utrzymaniu się w tej samej mentalnej fazie. Wynosmy się już z tego wariatkowa. Przemieszczamy się do jury, cała czwórka.

- Myślałem, że wracamy do 2093 - zaoponował Bush.

- Taki jest rozkaz - chłodno odrzekł Howes, zakasując rękaw. Ujął ampułkę, po czym

wstrzyknął sobie jej zawartość w ramię.

- W jurze mamy do załatwienia mały biznes - musimy kogoś zabrać - wyjaśniająco oświadczył Silverstone, najwyraźniej starając się zrekompensować bezpośredniość Howesa.

Bush wzruszył obojętnie ramionami.

- Muszę z tobą porozmawiać, Ann - powiedział zniżonym głosem; on też był już przygotowany do rozpoczęcia mentalnej podróży.

Dał się słyszeć lekko przytłumiony głos Ann:

- Nie mam ochoty rozmawiać. I tak już mam mętlik w głowie po tym, co powiedział David na temat teorii Silverstone'a odnośnie submentalności.

- Ann, rusz się, proszę! - niecierpliwił się już Silverstone. - Koniec gadania. Gotowi? Kapitanie Howes?

Howes już trzymał się ramienia Silverstone'a. Teraz chwycił ramię Busha, Bush natomiast rękę Ann.

- No to jazda - rzucił krótko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na zniszczonych obrzeżach czasu

Pałac Buckingham - sawanny czasookresu jurajskiego. Dla mentalnych podróżników oba te miejsca miały jedną wspólną cechę - spoczywały na wieki pod jarzmem trójwymiarowej ciszy i były trudno dostępne dla jakiegokolwiek zmysłu za wyjątkiem wzroku. Ani tam, ani tu nie było też żadnych pterodaktyli.

Cała czwórka przybyła równocześnie. Bush poczuł nagle ogromne zmęczenie. Popatrzył z niechęcią na Silverstone'a i Howesa. Na myśl o swoich wzniosłych postanowieniach i uczuciach niemal boskiego uniesienia, z jakimi opuszczał Breedale, cały ten brudny epizod w Pałacu Buckingham napawał go odrazą. Odczuwał wstręt do wszystkich wydarzeń tego świata, w jakich uczestniczył. Znów potrzebował ciszy i odosobnienia. Myśli przyniosły cyniczną refleksję - „Absolutna bezsilność, absolutnie deprawuje”. Zaświtała mu analogia z awarią jego broni.

Stali nad brzegiem niemrawo płynącej rzeki, w tle za nimi rozciągała się mroczna, niebieskawo-zielona dżungla, podczas gdy przed sobą mieli równinę z łańcuchem górskim. Za wyjątkiem rzeki wszystko tkwiło w bezruchu. Na niebie przetaczały się wolno obłoki, które od zawsze kojarzyły się Bushowi z tym właśnie okresem.

- Dalej wszystko zgodnie z wcześniej ustalonym planem - oznajmił Silverstone. - Kapitanie Howes, jeżeli zechciałby pan wraz z Ann kontynuować akcję, przyprowadzając tutaj naszego przyjaciela, to ja i Bush wykorzystalibyśmy ten czas na odpoczynek.

- W tej chwili wyruszamy - szybko odrzekł Howes.

- Może pan sobie uciąć drzemkę, profesorze. Ty Bush też wyglądasz, jakbyś potrzebował snu. Jeżeli wszystko przebiegać będzie bez zakłóceń, to będziemy z powrotem za dwie, może trzy godziny.

Ann pomachała im jeszcze na pożegnanie i oddalili się bez zwłoki; poszli jak w letargicznym transie; ciągle znajdowali się jeszcze pod wpływem CSD.

Silverstone zajął się już rozkładaniem lekkiej karimaty, doradzając Bushowi, aby ten poszedł w jego ślady.

- Tutaj jesteśmy całkowicie bezpieczni. Wybrałem właśnie to miejsce, ponieważ kilka mil stąd znajduje się ludzka kolonia. Kapitan i Ann kogoś stamtąd zabiorą, i zaraz potem możemy przejść do następnego etapu naszej podróży.

- Profesorze, staram się zachować powściągliwość wiedząc, że jestem tylko pionkiem w tej grze - ale czy byłby pan łaskaw wyjaśnić, kim jest osoba, którą mamy wkrótce spotkać?

- Zbyt dużą wagę przykładasz do drobiazgów, przyjacielu. Ale ja również... Martwię się, ponieważ zepsuł mi się zegarek i nie wiem, którą mamy godzinę - godzinę! Czas! Mimo że zdaję sobie sprawę, że na nic nie zda się tu jakikolwiek zegarek. Jestem taki niekonsekwentny!

- To tak jak ja! Geniusz z natury jest niekonsekwentny. Czy pamięta pan swoje dzieciństwo?

- Musimy teraz trochę odpocząć. Ale najpierw odpowiem na twoje pierwsze pytanie. - Zaczął rozpakowywać plastikowy pakunek, zabrany jeszcze z epoki wiktoriańskiej. - Byłeś kiedyś kimś w rodzaju artysty, prawda?

- Wciąż nim jestem. Nie można przestać być artystą!

- A więc powiedzmy, że przestałeś przejawiać się jako artysta..

Bush starał się doszukać ironii, zapomniał jednak o tym, gdy zobaczył zawartość pakunku.

- Już za chwilę spotkamy człowieka, który jest twórcą tej przestrzenne-kinetycznej instalacji. Jego zadaniem będzie uchwycić moje odkrycia w kontekście rozwojowym, a być może i w sposób usystematyzowany intelektualnie. Zasadniczą kwestią jest, aby wszystkie nowe rzeczy na tym świecie zostały przedstawione szerokim rzeszom nie tylko przez naukowców, lecz także artystów. Taka jest odwieczna rola artysty, a ten człowiek wydaje się być stworzony, aby być narzędziem dla moich celów. Spójrz tylko na rezultat jego pracy.

Bush przyjrzał się uważnie.

- Borrow. Jest wielki, nieprawdaż?

Percepcja Busha, niejako automatycznie, ustaliła kilka ciemnych zgrupowań, powiązanych ze sobą pyłkami kolorów, układających się tu i ówdzie w dominujące kłębowiska - przedstawione w taki sposób, że mogły być zarówno jądrami atomów, miastami czy konstelacjami gwiazd - dlatego też, jakkolwiek całościowa interpretacja tego tworu wydawała się być wątpliwa, inne wieloznaczności mogły przybrać podwójne czy nawet potrójne konotacje. Niektóre części jakby nie pasowały, niczym niewłaściwe pociągnięcie pędzla, jednak i one stanowiły nierozłączną część całości - jak gdyby Borrow przekraczał samego siebie, odrzucając rolę czarującego dżentelmena, próbując stawić jednocześnie czoła sobie i ogromowi jego świata.

Obraz wydawał się Bushowi mniej doskonały niż kolaże, które zdarzyło mu się oglądać przy Owodniowym Jaju, jednak nieskończenie bardziej potężny, biorąc pod uwagę przekaz. Bez wahania mógł stwierdzić, że było to znacznie późniejsze dzieło, przy którym wszystkie inne były niewiele więcej niż wprawkami początkującego artysty. To był Roger Borrow jako późny Turner, Kandinsky, Braque czy też przyszły Rellom i Wotaguci. Bush nie mógł wyjść ze

zdumienia, że ten spokojny i ustabilizowany Borrow potrafił spłodzić taki manifest - a jednak - wszędzie widać było rękę jego przyjaciela, jakkolwiek bezosobowe było jego dzieło.

A więc Borrow wracał, aby się do nich przyłączyć...

Zorientował się w końcu, że jego wzrok spoczywa na instalacji już od dobrych paru minut. Część jej spektrum faktycznie była w kontrapunktowym ruchu, druga zaś produkowała takie złudzenie - jednak jego uwagę pochłaniał jakiś fatalistyczny wir ludzkich okoliczności, mierzony w galaktykach i protonach, rozciągający się poprzez warstwy czasu kumulujące się w całość, niczym nadciągająca nad cały świat burza. Przeniósł wreszcie wzrok na Silverstone'a. Nie zapytał nawet, dokąd mieli udać się po powrocie Howesa i Ann.

- Zróbmy jak pan mówi, profesorze. Przyda nam się trochę snu.

Dookoła rozbrzmiewały głosy. Zobaczył pochylającą się nad nim Ann, która dotknęła jego ramienia. Usiadł. Wydawało mu się, że odkąd zmrużył powieki, nie minęła nawet chwila - jednak jego umysł zdawał się już funkcjonować całkiem sprawnie. Coś musiało się tutaj wydarzyć - jego ojciec śmiał się głośno, matka tylko się uśmiechała - po chwili włączyło się świadome kojarzenie; od razu przypomniał mu się obraz.

Przytrzymując się ramienia Ann, wstał i podszedł, aby uścisnąć dłoń Borrowa.

- Przemówiłeś głosem swoich czasów - zagaił.

- To dzieło Owodniowego Jaja - tkwiącego w tamtym miejscu, służącego każdemu bez wyjątku. Dzięki niemu znalazłem środki autoekspresji.

- To coś więcej. Ver z pewnością ci powiedziała, że miało na to wpływ więcej czynników - ja też jestem tego zdania.

Z twarzy Borrowa można było wyczytać chęć zmiany tematu.

- Ver zostaje tutaj i będzie się wszystkim opiekować - odrzekł Borrow. - Tym razem to Norman Silverstone zadął w trąbkę, nawołując do wymarszu. Będzie to dla mnie nowe doświadczenie - denerwuję się jak sztubak.

Wyglądał na pogrążonego w całkowitym spokoju. Jak zwykle, starannie ubrany, miał na sobie staromodny, dwuczęściowy smoking - na ramieniu wisiał nonszalancko zarzucony mały plecak. Dziwny prorok nowego porządku, pomyślał Bush - czymkolwiek ten nowy porządek miał być.

- Wszyscy tutaj jesteśmy trochę niespokojni Roger, ale przynajmniej jura jest bezpieczniejsza niż wiktoriański Pałac Buckingham.

- Nie byłbym tego taki pewien - zabrał głos Howes, przerywając im rozmowę. - Roi się tu od agentów, których widzieliśmy przy Owodniowym Jaju. Założę się, że nas rozpoznali i jest kwestią chwili - szczególnie długiej - zanim się zorganizują i przyjdą tutaj, aby zrobić z nami

porządek. Za głowę Silverstone'a wyznaczono niezłą nagrodę.

- W takim razie muszę coś zjeść - rzucił Bush. - Umieram z głodu.

- Nie ma na to czasu. Profesorze Silverstone, czy może nas pan poprowadzić?

Profesor obudził się w równie dobrym stanie, co Bush, zdążył też już poskładać swoje manatki. Gdy stanął na ich czele, Bush zauważył, jak mocno wydawał się być zaniepokojony. Dostrzegł też, że powróciła Kobieta Cień - jej sylwetka widoczna była w oddali. Tłumiąc w sobie pokusę uważnego się jej przyjrzenia, zdał sobie sprawę, że przecież była dla niego tak samo niedostępna jak jego wewnętrzne, kobiece ja, za które ją czasami uważał.

Silverstone coś tłumaczył.

- Za wyjątkiem pana, panie Borrow, wszyscy mamy we krwi wystarczającą ilość CSD. Czy mógłby się pan obsłużyć? Poza tym, jestem zachwycony, że zgodził się pan do nas dołączyć. Czy pańska żona jest w stanie dostać się sama do Owodniowego Jaja, bez pańskiej pomocy?

- Oczywiście. Ma do dyspozycji małe wspomaganie. - Borrow, nie tracąc czasu na dalsze pogaduszki, przycisnął aparat z ampulką do swego lewego ramienia.

- Będzie pan kimś w rodzaju owodniowego jaja dla czasów, które nadejdą - wraz z panem Bushem. Mam nadzieję, że połączą panowie swoje artystyczne talenty. Ludzka rasa musi definitywnie odłączyć się od tego, czym była, tak jak płazy odłączyły się od organizmów amfibiologicznych - mam nadzieję, że połączenie waszych sił stworzy wehikuł, który wymusi transformację.

- Kapitan Howes zdradził mi już, dokąd się udajemy.

- Dobrze - Silverstone zwrócił się do Busha. - Z tego wynika, że był pan jedyną niedoinformowaną osobą. Proszę chwycić ramię Ann; Ann, połącz się z panem Borrow, a pan, panie Borrow, z kapitanem. Proszę dać mi swoją drugą rękę, panie Bush i możemy od razu przejść do procedury wstępnej. Naszym celem jest przemieszczenie się do strefy, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzać - poza okres dewoński tak daleko, jak tylko jesteśmy w stanie, w głąb ery kryptozoicznej.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, jak wyglądał skład atmosfery w tak wczesnym okresie?

- Oczywiście. Przewiduję mały kryzys, zanim nauczymy się oddychać tym powietrzem.

- Czy w takim razie jest to naprawdę konieczne? - upierał się Borrow. - Możemy przecież wybrać odległy czasookres karbonu. To naprawdę dobre miejsce, jest się gdzie ukryć. Przeciwnik nie jest w stanie przeczesać tego okresu w całości.

- Jestem tego w pełni świadomy. Mogą jednak przeszukać znaczną jego część, a ja nie chcę powtórki ucieczki z czasów wiktoriańskich. Tutaj tylko kapitan Howes jest żołnierzem -

być może on jest to w stanie znieść, ja nie. A więc kryptozoik - gdybyśmy jednak wpadli w jakieś tarapaty, pocieszam się myślą, że jeszcze ktoś nad nami czuwa. - Wskazał palcem na Kobietę Cień, skinąwszy jej przy tym grzecznie głową.

Po chwili wszyscy byli już połączeni - Bush mocno ścisnął dłoń Ann. Powstrzymał się od dalszych komentarzy nie tylko dlatego, że Howes mógł ciągle żywić do niego urazę i przez to uprzykrzyć mu życie, ale ponieważ nadal mocno wierzył, że został wyrzucony na brzeg, poza którym rzeczywistość zanikała jak opadająca fala. Nawet świadomość spełnienia się, bądź co bądź w roli artysty, nie była w stanie go poruszyć.

Wszystko co zaprzętało jego głowę - podczas gdy działająca jak automat część jego umysłu wertowała szczegóły procedury Wenlocka - to idiotyczna analogia, jaką jego ojciec zwykł wykorzystywać do opisywania poszczególnych czasookresów Ziemi: obraz zegarowej tarczy, świat wyczarowany dokładnie o północy, nieskończone małe godziny wypełnione straszliwymi wulkanami stworzenia, wskazówki wlekące się w rytm nieustających nawałnic, bijące na alarm co kwadrans, aby powiadomić o wylewających się oceanach magmy. Nastął dzień, rozległ się sygnał ostrzegawczy - dzwonek, po którym pod kopułą śpiących obłoków zaczął się ruch. Długie mroczne poranki ciągnęły się w nieskończoność, zanim w ciągu pierwszych miesięcy, pierwsza para kłów zdołała wdrzeć się w czyjś bok; nie prędzej niż w porze drugiego śniadania zaspany, unoszący się w powietrzu polikozaur z permu wpadł na kawę. Za ledwie na kilka sekund przed południem pokazały się pierwsze dwunożne istoty z gatunku ludzkiego - w porze tej, zgodnie z tym co podpowiadała wyobraźnia, zapadała ciemność i cały proces zaczynał się od początku - z jednym wyjątkiem: w tym konkretnym przypadku, pięć spośród tych dwunożnych ssaków zamierzało stanąć w szranki z nadchodzącym świtem.

Wyłonił się wreszcie na powierzchnię, na zewnątrz było niemal tak ciemno, jak w jego halucynacjach. Reszta stała nieopodal, Ann mocno przytulona do jego boku. Tkwili zupełnie nieruchomo, z trudem łapiąc oddech przez konwertery tlenowe.

Znajdowali się na platformie, na której każdy z nich stawiał swoje pierwsze kroki w mentalnym podróżowaniu. Wydawali się być zawieszeni w powietrzu, jako że ziemia była trzy metry niżej. Minęła dłuższa chwila, zanim ktokolwiek z nich był w stanie zrobić krok.

Świat pod nimi pocił się i drżał, budząc się z wolna w gorączce istnienia. Olbrzymie wstęgi deszczu zacinały w twarz planety, bardziej przypominając spływające pionowo rzeki niż zwykłe ulewy. Deszcz miał postać rzadkiego pokostu.

- Kryptozoik! Niestety, wybraliśmy dżdżysty dzień - oświadczył Silverstone, uśmiechając się niewyraźnie.

Poniżej, pośród dzikiego rozgardiaszu skał, kotłowała się woda. Wszędzie, na monstualne czarne zębiska, spływały wściekle strugi, szukając miejsca ucieczki - wyzwolenia. Mimo nieustannie spadających z góry coraz to nowych pokładów wody, nigdzie nie było ani śladu piany.

W całym tym odrażającym miejscu wyróżniała się tylko jedna rzecz. Była to szeroka szczelina, rozdzierająca na dwie części skalny monolit, przecinająca jego kopułę niczym ostrze siekiery wbitej w czaszkę. Z tego rozcięcia wylewało się, a raczej wystrzeliwało, jeszcze więcej wody, tryskając w dzikiej furii wśród obłoków pary, pokrywając krajobraz swoim żółciowym wyziewem.

Żółta ciecz przechodziła w brąz pośród czarnych, bazaltowych skał. Na nieboskłonie poruszały się podobne ciemnobrązowe flagi - pionowo ponad głowami toczył się wyścig chmur. Nigdzie nie było choćby najmniejszego śladu sugerującego istnienie słońca. Widać było jedynie szereg jaśniejszych bądź ciemniejszych plam, z których opadała lub bezskutecznie próbowała opaść, unosząca się w powietrzu wilgoć.

Podróżnicy nie byli w stanie stwierdzić, czy znajdują się nad stałym lądem, czy też nad przysłym dnem morza - którakolwiek z tych koncepcji nie miała i tak zbyt dużego znaczenia. Wysokość, na jakiej się unosili, dobrze wyrażała deliryczny stan ziemi, unoszącej się i opadającej.

- Nie możemy tutaj zostać - powiedziała Ann.

Co do tego chyba wszyscy byli zgodni. Ponownie weszli w fazę przesunięcia.

Pięć razy powtarzali proces wejścia i wyjścia, za każdym razem brnąc głębiej w przerażające eony, zawsze jednak przemieszczając się ku okresom, w których Ziemia była jakby obcą planetą - z atmosferą będącą mieszkanką metanu i amoniaku, śmiertcionośną dla ludzkich płuc. Oni sami byli zaledwie nieskończenie małymi cząsteczkami pyłku w tym wielkim oceanie.

Bush zauważył, że reszta towarzystwa intonowała po cichu procedurę Wenlocka, jakby to była modlitwa. Na nich wszystkich swoje piętno odcisnął terror nieznanego czy też niemożliwego do poznania - era kryptozoiczna stanowiła około pięciu szóstych całego geologicznego czasu istnienia Ziemi. Za każdym razem przesuwali się w czasie o jakieś dziesięć milionów lat, jednak suma pięciu skoków, jakie odbyli, wystarczyła zaledwie, aby przemieścić ich do końcowych stref tego czasookresu.

Za każdym razem, gdy się wynurzali, struktura lądu ulegała coraz mocniejszemu pofałdowaniu - pewnego razu otoczeni byli wyłącznie skałami - ciągle jednak padał deszcz, młóćąc niemilosiernie nieosłonięte wzniesienia. Bushowi przyszedł na myśl „Deszcz, Para i

Prędkość” Turnera - ten podstarzały już artysta stworzył to dzieło po przebyciu Maidenhead w parowej lokomotywie! Ich sytuacja stanowiła niejako trójwymiarowe przedłużenie Turnera w podróży przez okres prefanerozoiczny.

Przy piątym wynurzeniu znaleźli się nagle w okresie suszy - ponure warstwy chmur nie obdzielały już swoim sokiem znajdującej się pod nimi ziemi. Trudno było stwierdzić, czy było to zawieszenie broni na jeden dzień, czy też na sto lat - przeszli poza metempiryczny punkt, w którym wszystkie ludzkie konotacje odnośnie czasu, formowane w ponadmentalności, nie miały już jakiegokolwiek znaczenia.

Mogli jedynie stać w odrętwieniu i ciszy, chłonąc nieprzeniknioną georamę.

Żadne z nich nie miało wątpliwości, że otaczająca ich cisza była prawdziwym przejawem świata poza czasową barierą entropii. To była panorama dedykowana milczeniu - stali tak, ukołysani i wyciszeni, spowici jej ogromem, jak pięć mrówek pod dachem ruin wielkiej katedry.

Podobnie jak zmysł słuchu, również oczy znajdowały się w stanie percepcyjnego zakłopotania. Stali tak, gdzieś wewnątrz morficznej zagadki, gdzie zasady postrzegania były tak samo bezsilne, jak prawa akustyki czy kaprysy czasu.

Rozciągające się dookoła gliniaste skały wielkością przypominały małe góry, każda z nich jednak była większa od kamieni w Stonehenge. Leżały w jakby przypadkowych skupiskach, zmuszając jednocześnie do refleksji nad niepojętymi siłami, które ułożyły je w taki sposób. Były szare, bez podziału na warstwy, z krawędziami wyrzeźbionymi przez wodę. Tworzyły pomieszanie różnych kątów, podczas gdy pod nimi zalegały, bardziej już uporządkowane, pokłady cienia. Pod baldachimem pajęczyny żółtych obłoków wydawały się stanowić coś pomiędzy rzeczywistością organiczną i nieorganiczną, nie przynależąc ani do świata minerałów, ani zwierząt. Znajdowali się na wyniszczonych obrzeżach czasu obfitujących we wszystkie zadziwiające formy, jakie miały narodzić się z łona Ziemi targanej konwulsjami, śniącej teraz kamienne koszmary o potomstwie, od którego wkrótce się tutaj zaroi. Występujące tu kopromorficzne formy były implikacją następnych - tych, które miały dopiero powstać - słoni, fok, morsów, diplodoków, sauropodów, stworzeń pokrytych łuską, hipopotamów, pszczół, pletwiastych żółwi, ślimaków, jaj, kaczek, nietoperzy, rekinów ludojadów, ośmiornic, trachodontów, pingwinów, mastodontów, wszy drzewnych, płodów i fekaliów, istnień żywych i tych, które umarły. Bushowi przyszły też na myśl implikacje ludzkich cech fizycznych: torsów, ud, lekko wklęsniętych pachwin, kręgosłupów, piersi, dłoni i palców, kolan, masywnych barków, kształtów fallicznych - wszystkie, jedyne w swoim rodzaju, a jednak w jakiś dziwny sposób pozostające w związku z anatomią samej natury -

całość, bezmyślnie wymodelowana z szarej gliny. Bez użycia jednej myśli włączona do ruchu - bez nawet jednej myśli unicestwiona. Elementy rzeczywistości rozciągały się tak daleko, jak sięgał wzrok, skupione jeden na drugim, zdając się, w swojej różnorodności i mnogości sugerować, że pokrywają cały glob.

Cała piątka przyglądała się temu szarpana skrajnymi emocjami - począwszy od przerażenia aż do ekstatycznego zachwyty - które również zdawały się być częścią tego wiru, obracającego się jak wskazówki na tarczy zegara. Nie potrafili wydobyć z siebie głosu. Nie było słów, które mogły opisać nie wykreowane jeszcze obietnice z gliny.

Bush znowu dostrzegł stojącą pośród nich Kobietę Cień. Pocztał, iż w powietrzu był jakiś element, który powodował szczypanie oczu i gardła. Nie miało to jednak teraz dużego znaczenia. Musieli to przełknąć, przetrwać w jakiś sposób - całe te kryptadia dookoła - zanim będą mogli skoncentrować się na właściwych zajęciach.

Ale to on pierwszy zabrał głos, aby wydusić z siebie jakikolwiek dźwięk.

- A więc to tak wyglądał początek świata!

- Nie, tak wyglądał jego koniec. - powiedział rzeczowo Silverstone. Obdzielił pozostałych lekko karcącym spojrzeniem. - To prawda, że znajdujemy się w kryptozoiku, ale w dziejach Ziemi jest to okres końcowy, a nie początek, jak zwykle się to uważać. Zaczął swoją opowieść.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pokolenie Himalajan

- Najpierw muszę wam opowiedzieć o rewolucji w myśleniu - kontynuował Silverstone.
- Tak wielkiej, że mało prawdopodobnym wydaje się, aby ktokolwiek z nas tu stojących, był kiedyś w stanie dostroić się do niej w ciągu całego naszego życia. Pokolenie Einsteina nie było w stanie pojąć zaczątków rewolucji, jakiej był on zarzewiem; teraz - stwierdzam to z całą pokorą - stoimy przed czymś znacznie potężniejszym.

Zapewne zwróciliście uwagę na to, że użyłem słów „Rewolucja w myśleniu” i jeśli zapamiętacie ten fakt, będzie wam dużo łatwiej zrozumieć resztę. To nie tylko wywrócenie do góry nogami wszystkich praw, jakimi rządzą się nauki przyrodnicze, chociaż czasami wydaje się, że na tym to polega. Błędne przeświadczenie, w którym tkwimy, leży w ludzkim umyśle, a nie w świecie zewnętrznym.

Aby to, co chcę wam przekazać, było dla was mniej skomplikowane, niż na pozór się wydaje, jako podstawę przyjmijcie prosty, lecz często lekceważony fakt - że to co wiemy, odnosi się wyłącznie do świata zewnętrznego - wszechświat, nasze podwórko, nasze paznokcie - aż po nasze zmysły. Innymi słowy, znany jest nam tylko zewnętrzny świat plus obserwator, wszechświat plus obserwator, podwórko plus obserwator, paznokcie plus obserwator. Obraz ten pozostaje prawdziwy nawet wtedy, gdy pomiędzy naszymi zmysłami a obserwowanym obiektem, znajdzie się jakieś dodatkowe narzędzie. Jednak to, czego gatunek ludzki do tej pory nie brał pod uwagę, to rozmiar zniekształcenia owego zewnętrznego obiektu przez percepcję obserwatora - a co za tym idzie, całej nauki i cywilizacji opartej na tym zniekształceniu.

Tyle tytułem wstępu. Teraz objaśnię wam w sposób możliwe skróty i prosty, czym faktycznie jest wspomniana rewolucja w myśleniu.

Pracując z Anthonym Wenlockiem - niestety, w okresie późniejszym, przeciwko niemu - wraz z moimi współpracownikami odkryłem prawdziwą naturę submentalności. Jest ona, jak wiecie, historycznie najstarszą częścią - rdzeniem mózgu - miała już swoje odpowiedniki u wyższych ssaków, zanim jeszcze człowiek stał się homo sapiens. Ponadmentalność z kolei jest znacznie późniejszym wynalazkiem; najbardziej zadziwiającą strukturą, niezrównaną w swych możliwościach argumentacji i racjonalizowania - aż do czasu, gdy za jej przyczyną został wynaleziony komputer; mamy jednak prawo przypuszczać, iż powód powstania tego organu miał służyć wypaczeniu i ukryciu prawdziwej natury czasu przed ludzkością. W chwili obecnej dysponujemy absolutnym dowodem - w rzeczywistości zawsze istniał stuprocentowy dowód, lecz wcześniej nie został jako taki rozpoznany - że to, co uważamy za upływający czas, w

rzeczywistości porusza się w odwrotnym, do pozornie oczywistego, kierunku.

Niezaprzeczalnym jest, iż Wenlock wstrząsnął naszymi starymi poglądami w kwestii samej istoty czasu. Obalił przestarzałą, jednokierunkową koncepcję, a co za tym idzie przynależność przestrzenną czasu - nie wynalazłem jeszcze nowej teorii, aby zastąpić jego. Dziedziną moich badań jest ludzki umysł. W tym miejscu muszę jednak dodać, że nasze dotychczasowe wyniki badań umysłu jednoznacznie sugerują, iż czas płynie w kierunku, który moglibyście nazwać wstecznym.

Zarówno Wenlock jak i ja zaczęliśmy, w większym lub mniejszym stopniu, od tej samej koncepcji materii - dawnej koncepcji. Nawet wielki, dziewiętnastowieczny Zygmunt Freud, miał już jej przebłyski. Wspomniał gdzieś, że nieświadome mentalne procesy nie są związane z czasem - jego „nieświadomość” była pewnego rodzaju parodią naszej submentalności. Gdzie indziej dochodzi do wniosku, że „nie zrobiliśmy właściwego użytku z faktu, iż według tej teorii, wyparte uczucia pozostają niezmienione mimo upływającego czasu”. Wyrażając to, Freud był najbliższy stwierdzeniu, że proces wyparcia, sterowany przez najstarszą część mózgu, jest odporny na ten rodzaj czasu, który został wykreowany przez ponadmentalność!

Następny, dwudziesty wiek, był zupełnie opętany obsesją na punkcie czasu - mnóstwo ludzi zapadło na schizofrenię, jako że podział na sub - i ponadmentalność stał się jeszcze bardziej oczywisty. Jak w wielu podobnych przypadkach, to artyści pierwsi pokazali, jaki jest rozmiar tej czasowej manii - malarze tacy jak Duchamp, Degas czy Picasso albo pisarze, między innymi Thomas Mann, Olaf Stapledon, Proust, Wells, Joyce czy Woolf.

W ślad za nimi podążyli naukowcy, odkrywając coraz mniejsze jednostki czasu - milisekundy, nanosekundy i watosekundy, dowodząc, że są one elementarnymi jednostkami, z własnym zakresem zdarzeń. Z kolei na początku naszego wieku można było zauważyć, jak mocno już rozciągnięte czasowe ramy stają się czymś powszechnie akceptowanym - do codziennego języka weszły mega - i gigasekundy, przywykliśmy też do myślenia, że np. system słoneczny powstał przed około 150 tyś. terasekundami. Największy powieściopisarz naszych czasów, Marston Orston, napisał powieść, celowo niedokończoną, składającą się z bez mała czterech milionów słów - a przedstawiającą jedynie scenę, w której młoda dziewczyna wstaje, aby otworzyć okno w sypialni. Z pewnością równie doniosłe okażą się w przyszłości dzieła naszego przyjaciela, Borrowa.

Wszystko to jest przejawem desperackich, ciągle rosnących starań ponadmentalności, wykorzystującej każdy możliwy sposób, aby utrzymać pod kontrolą potencjał submentalności. Moje odkrycia w sposób kategoryczny kładą kres jej dominacji. Jestem niejako instrumentem przyczyniającym się do jej upadku - będąc jednocześnie zaledwie kulminacją procesu - którego

początek, patrząc retrospektywnie, tkwi w dosyć odległej przeszłości. Już w czwartym wieku u Świętego Augustyna możemy znaleźć słynny ustęp w jego Wyznaniach, „In te, Anie meus, tempora metior - To ty, mój umyśle, odmierzasz czas. Ja nie staram się mierzyć rzeczy, których działanie wywołuje skutek - mierzę sam skutek, gdy odmierzam czas. Tak więc zakładam, że czas jest jednym z tych dwóch; jeśli jest inaczej, w ogóle nie odmierzam czasu.” Augustyn, prawdziwy geniusz, trafił niemal w dziesiątkę - będąc zawsze w bliskim kontakcie ze swoją submentalnością - często wydawał się domyślać prawdy.

Jak widzicie, wszystko, co wam do tej pory powiedziałem, ubrałem w przestarzałą terminologię - taką, do jakiej zdążyliśmy przywyknąć przez nasze życie. Teraz zamierzam to przetransponować na język odpowiadający aktualnym koncepcjom czasowym - taki, w jaki będą sobie to przyswajać nasze dzieci.

Po odkryciach moich i Wenlocka prawdziwa natura czasu stanęła pod znakiem zapytania, uważano bowiem, iż sam czas biegnie w odwrotnym kierunku. Ponieważ do tej pory prawda spoczywała gdzieś pod powierzchnią, nagły jej przebłysk wywołał spore wzburzenie i niepokoje; z jednej strony tego spektrum naukowcy ze swoimi przeładowanymi koncepcjami czasu, z drugiej czołowy pisarz tego okresu, Marston Orston, wykorzystujący cztery miliony słów, aby przedstawić obraz dziewczyny, wstającej otworzyć okno w pokoju.

Także wcześniejsi powieściopisarze, tacy jak Proust i Mann czy malarze, jak Picasso, starali się pokazać zniekształcenie koncepcji czasu, które było pożywką dla społeczeństwa. Niejedna osoba, nie mogąc pogodzić się z tym, że czas płynie do tyłu, zapadała na jakąś chorobę psychiczną, najczęściej na schizofrenię.

Spółeczeństwo radziło sobie jakoś z tym problemem, zwalniając tempo życia, stopniowo rezygnując z szybkich środków transportu, jak samoloty czy samochody. Pierwszym zwiastunem nastania mniej reaktywnych czasów był psychoanalityk Freud, któremu najwyraźniej udało się uchwycić dużą część przejściowego zamieszania, chociaż on sam nigdy nie pojął jego przyczyny. Po nim jednak idea submentalności ponownie schodzi w ciemne odmęty niezrozumienia.

W ciągu następnych stuleci odnotowuje się znaczny spadek populacji, przy czym prawda dotycząca submentalności zostaje niemal zupełnie zapomniana - pomimo tego, że od czasu do czasu jakiś geniusz wyraża swoje podejrzenia; tak oto Święty Augustyn wydaje się być niemal prorokiem w rozpoznawaniu rzeczywistości.

Tak, w skrócie, przedstawia się cała sprawa. Nie dostarczyłem wam, co prawda, zbyt wielu szczegółów na temat „jak” czy „dlaczego”, wierzę jednak, iż są to kwestie mocno kontrowersyjne i ciężkie do przyjęcia. Być może, zanim zajmiemy się zgłębianiem szczegółów,

chcielibyście zadać mi jakieś pytania.

Silverstone wstał, przez co jego propozycja wydała się bardziej formalna i być może doniosła - reszta towarzystwa siedziała na ziemi wśród skalistych szarych form; ich spojrzenia skierowane były do góry na twarz przemawiającego profesora. Wraz z nastaniem ciszy, wszyscy opuścili wzrok, wpatrując się bezwiednie w zagadkową materię skał.

Howes był pierwszym, który się przemógł.

- Ten Święty Augustyn musiał być chyba niezłym świrem? - zaśmiał się głośno. - Więc uratowaliśmy cię po to, abyś mógł przekazać światu, że przez te wszystkie lata staliśmy tyłem do właściwego kierunku czasu?

- Dokładnie tak. Dlatego zarówno Bolt jak i Gleason chcą się mnie pozbyć.

- No tak, z pewnością jest to teoria, która może obalić każdy znajdujący się u władzy rząd - Howes roześmiał się ponownie.

Bushowi przyszło na myśl, że spostrzeżenie Howesa wyraźnie ukazywało, jak ograniczony był jego umysł. Jednak ponieważ on i Borrow mieli być tymi, którzy przekażą światu artystyczną interpretację odkrycia Silverstone'a wiedział, że zmuszeni będą wznieść się ponad tego typu ograniczenia. Jego umysł unosił się lekko nad ideą nowych możliwości - po chwili, odnotowując lekki wstrząs, zdał sobie sprawę, że w jego własnym ujęciu perspektywa czasu i życia zmierzającego w przeciwnym kierunku nie mogła obejść się bez pojęcia miejsca. Intelktualnie musiał zająć stanowisko profesora choćby po to, aby zyskać wiarygodność i zrozumienie u innych.

- Jeżeli tak zwana przyszłość jest w zasadzie przeszłością i na odwrót - rozpoczął - to również rola pańskiej osoby, profesorze, ulega tutaj zasadniczej zmianie. Zamiast za wielkiego odkrywcę prawdziwej natury submentalności, powinniśmy uważać pana raczej za wielkiego zapominalskiego, mam rację?

- W rzeczy samej - jednak wydaje się, że słuszniej byłoby powiedzieć, iż ponadmentalność ludzi z naszego pokolenia jest mocno przeciążona tymi zniekształcającymi czas czynnikami - ja jednak jestem ostatni, który mógłby z tego powodu ucierpieć.

Do rozmowy włączył się Borrow.

- Taaak, rozumiem. To znaczy, wydaje mi się, że rozumiem. Na naszym pokoleniu spoczywa niejako cały ciężar tego wypaczenia! Oto jesteśmy ostatnią generacją z pełną mentalną kontrolą, porozrzucaną - jakże trafne określenie! - w czasie!

- Właśnie. Stanowimy pokolenie Himalajan, kulminacyjny punkt, od którego człowiek zmierza w dół, ku przyszłości, którą my już znamy. Ludzki umysł, jak i struktury ludzkiej społeczności, przybierać będą coraz prostsze formy - aż do momentu, gdy pierwsze

indywiduum a następnie cała ludzkość, rozmyje się w amorficznej formie wczesnych - przepraszam, późnych! - ssaków naczelnych, wyraków i tak dalej.

Mówiąc to, Silverstone zdał sobie sprawę, że była to zbyt duża dawka, jak na jeden raz. Odwrócił się w kierunku Ann i zapytał:

- Nic nie mówisz. Co myślisz o tym wszystkim?

- Nie wierzę w ani jedno słowo, profesorze! Ktoś tutaj jest nieźle szurnięty! Siedzimy w tej zapomnianej przez Boga dziurze, słuchając tych chorych... Chcesz mi powiedzieć, że siedząc tutaj, staję się młodsza, a nie starsza?

Silverstone uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Dzięki Bogu, jest z nami kobieta, która od razu jest w stanie spojrzeć na problem z perspektywy osobistej i praktycznej. Oczywiście, mogę cię zapewnić, że stajesz się coraz młodsza, tak jak i my wszyscy, jakkolwiek rewolucyjność tej myśli jest tak wielka, że dopiero następne pokolenia będą w stanie zrobić z niej pełny użytek. Wierzę, że szybciej zrozumiecie wszystkie implikacje, jeśli na początek rozważymy je w szerszych kategoriach, na przykład w skali wszechświata, aby zachować trochę większy dystans emocjonalny, zanim zaczniemy zgłębiać kontekst czysto ludzki. Jesteście gotowi na następną odsłonę?

- Najpierw wolałbym się czegoś napić i coś zjeść - padła prozaiczna odpowiedź ze strony Howesa.

Ponownie ujawniła się prosta natura człowieka armii. Jednak Bush skwapliwie dorzucił:

- Popieram!

Ann także poderwała się na nogi.

- Dajcie mi swój prowiant, a ja spróbuję wyczarować coś do jedzenia, jeśli cokolwiek w takich warunkach jest możliwe. Dzięki temu nie zwariuję od tej waszej gadki!

- Tak, może chociaż na chwilę oderwie nas to od podwójnego horroru, czyli tego miejsca i moich rewelacji! - przyznał Silverstone, po czym usadowił się pomiędzy Borrowem i Bushem.

- Ale ty chyba wszystkiego nie odrzucasz? - zapytał.

- Sama istota czasu jest nieźle popieprzona - odparł Bush. - Jednak, czy jesteśmy w stanie ją odrzucić? Nie wiem nawet, czy potrafimy ją poprawnie zinterpretować. Chociaż pewnie dzięki niej, życie wielu osób zyska na znaczeniu.

Silverstone, w gwałtownej aprobacie, chwycił jego ramię, gorliwie kiwając głową.

- Ułamek sekundy w czasie - watosekunda - zawsze była obsesją malarzy, bardziej niż kogokolwiek innego

- włączył się Borrow. - Jeżeli uważacie zniekształcenie czasu przez umysł za coś chorego, w takim razie zamrożenie czasu reprezentowane przez jedną watosekundę jest najbliższe stanu normalności, do jakiego może zbliżyć się tak zwiedziony umysł. I to jest kwestia, na której głównie koncentrowali się artyści - zastygły czas: strzała uchwycona w chwili, gdy przebija bok św. Sebastiana; mężczyzna ze szklanką w dłoni, w połowie drogi do ust; naga postać kobiety, której jedno ramię wieki temu zostało uwięzione w opadającym ramiączku stanika.

- Amazonka z włócznią zatrzymaną nad ciałem tygrysy - dodał Bush.

- Baleriny Degasa i ich ruch uchwycony w jednej watosekundzie - zgodził się Silverstone. - I wskazówki odnośnie zbliżającej się zmiany u malarzy portretujących dzieciństwo Freuda, oparte na anegdotach czy też szkole *Co wydarzy się za chwilę*.

Bush miał już dosyć rozmów na temat sztuki - potrzebował zanurzyć się w możliwie najbardziej szalonych implikacjach. W jednej chwili poczuł siebie tak mocno, jakby się nagle powtórnie narodził; przypomniał sobie o wszystkich chwiejnych cechach charakteru, które zawsze nadawały ton jego pracy - na wpół uświadomione obawy i niepokoje, tykające nieubłagane równym tempem, gdzieś w środku, niczym świerszcz. Odeszły - miał nadzieję, że na dobre. Jednak czy było to permanentne czy nie, pozostawiły go w stanie, w którym mógł stawić czoła tym nowym, niezwykłym i przerażającym okolicznościom. Otaczały go tysiące wyimaginowanych potworów, biorących początek w ludzkim umyśle; zło zdawało się obejmować cały poznany dotąd świat, dawało mu poczucie nieustraszoneści. Teraz, przyglądając się sobie, zauważył, że jest tak naprawdę jedyną osobą gotową na przyjęcie nowego - u pozostałych przebijały symptomy mizoneizmu - nienawiści, skierowanej ku wszystkiemu, co nowe.

Obok niego znajdował się stos rzeczy pozbieranych przez Ann, która właśnie pichciła coś na trzech palnikach jednocześnie. Co chwila regulowała przepływ powietrza przez konwerter, mieszając i próbując - najwidoczniej zupełnie zapomniała się w świecie swoich małych, kobiecych spraw. Howes, z twarzą odwróconą od reszty grupy, przechadzał się z nachmurzoną miną, być może obmyślając plan obalenia Gleasona - o wiele prostszy niż przewrót w sposobie ludzkiego myślenia. Borrow zdążył już do tej pory wyjąć z kieszeni notatnik i coś w nim szkicował - w tym momencie sztuka była dla niego bardziej ucieczką i schronieniem niż polem do artystycznej ekspresji.

Nawet Silverstone! Nawet on - cały spięty, nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie ruszą w dalszą drogę. Kto mógł gwarantować, że jego dziwna ucieczka w odosobnienie, jego przygoda z brudnym gangiem terszerów, nie była próbą schronienia się przed demoniczną

koncepcją, wykreowaną po zdarzeniach z mordercami z 2093?

Wszystko to przychodziło Bushowi na myśl w przerwach pomiędzy kolejnymi oddechami. Skinął w stronę Kobiety Cień, majaczącej w oddali, trochę powyżej poziomu, na którym się znajdowali - na specjalnie wygenerowanej platformie do podróży mentalnych. Po chwili zwrócił się do Silverstone'a:

- Podoba mi się koncepcja nas, jako generacji himalajskiej. Tam jest kobieta, która wydaje się pochodzić z drugiej strony Himalajów - dla nas jest przeszłością, czy też przeszłością naszego biegu życia. Lubię myśleć o niej, jako istocie, która jest w stanie nam pomóc, jeśli tylko zaistnieje taka potrzeba, tak jak to miało miejsce w pałacu.

- Przeszłość przez długi czas była moją obsesją - przyznał Silverstone. - Gdy dorastałem, stale mi towarzyszył i opiekował się mną pewien mężczyzna - był jedną z osób, które zainterweniowały, ratując nas przed napaścią w Pałacu Buckingham.

- Jesteśmy ich potomkami... Możemy przemieszczać się jedynie w przyszłość, nigdy w przeszłość. Zastanawiam się, jak daleko ciągnie się ta przeszłość? - głośno myślał Bush. - Mój ojciec zwykł używać metafory z zegarem, aby wyrazić, jak mały jest człowiek w stosunku do czasu. Skamieliny zaczynają się o dziewiątej trzydziści, człowiek wkrada się na zegarową tarczę na dwie sekundy przed północą. Teraz mamy możliwość popatrzeć na to z innej strony, prawda? To, co zwykliśmy uważać za pamięć, staje się prekognicją - według tego samego zegara, za jakieś pięć sekund gatunek ludzki wyginie - a może zniknie w procesie regresji...

- Przeobrazi się w prostsze formy.

- Dobra, ale ciągle nie wiemy, co wydarzy się po drugiej stronie zegara - w tak zwanej przeszłości. Czy w takim razie nie istnieje coś takiego jak pamięć?

- Oczywiście, że istnieje. Po prostu nie jest tym, czym myślimy, że jest - jednak istnieje. Na przykład, rozpoznawanie kierunków podczas naszego mentalnego podróżowania - czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, w jaki sposób jesteśmy w stanie wynurzyć się na powierzchnię we właściwym miejscu i czasie?

- Często!

- Polegamy na naszej pamięci - rzekł wyjaśniająco Silverstone. - Z tego co mi wiadomo, może to być pamięć dziedziczna. Nasze archetypowe sny o spadaniu są najprawdopodobniej zniekształconymi wspomnieniami mentalnych podróży naszych przodków - a niektóre z nich odległe na tyle, że nasza wyprawa do kryptozoiku mogłaby przy nich wyglądać jak spacer po pokoju! Wydaje mi się, że nasi przodkowie przemieszczali się w czasie od dziesiątków tysięcy lat. Twoje pięć sekund to nic w porównaniu z tym, czym naprawdę może być historia ludzkości. Zdajesz sobie z tego sprawę, Bush?

Bush spoglądał na Kobieta Cień.

- Tak, zdaję sobie sprawę - odrzekł zamyślony. Podniósł palec i nic nie mówiąc, wskazał na jakiś punkt w przestrzeni. Silverstone i Borrow popatrzyli w tamtą stronę. Kobieta Cień nie była już dłużej sama. Kryptozoik wypełnił się cieniami ludzi - cieniami, które nie pochodziły z przyszłości, tylko odległej, enigmatycznej przeszłości - setki, tysiące wyraźniej szych i mniej wyraźnych przenikających się form ludzkich.

- To jest ta chwila, historyczna chwila - wyjąkał Borrow.

W jednej chwili do Busha dotarło, co zamierza zrobić Howes. Szybko zerwał się na równe nogi, wydobyl broń i ruszył w jego kierunku.

- Rzuć tę ampułkę, Howes! Ta broń jest już sprawna - wyciągnąłem ją z twojego ekwipunku zaledwie minutę temu, na wypadek gdybyś próbował jakichś żołnierskich wygłupów!

Howes rzucił niewzruszonym głosem:

- Marnujesz tylko swój czas, Bush. Moim zadaniem jest obalić rebeliancki rząd, a nie całą ludzkość. Teraz, gdy wiem, co jest grane, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Wracam do teraźniejszości - do 2093.

- Zostajesz tutaj i uważnie mnie posłuchaj! W tej chwili rzuć tę ampułkę!

Był częściowo przesłonięty przez Ann, która właśnie wyprostowała się nad kuchenką i zobaczyła Howesa, jak ukradkiem wyciąga ampułkę CSD i podwija rękaw. Teraz stał jak skamieniały, wlepiając wzrok w Busha.

To, co wyczytał w jego oczach, zniechęciło go do dalszego działania. Powoli rozwarł palce i pozwolił, aby mała, ostro zakończona pigułka wypadła mu z dłoni. Bush zmiażdżył ją butem.

- A teraz oddaj mi, proszę, resztę swoich zapasów CSD. Teoria Silverstone'a ma większe znaczenie niż planeta pełna Gleasonów. Jeżeli wracamy, to wszyscy razem - świadomi okoliczności, z którymi przyszło nam się zmagać. Prawda profesorze?

- Tak Eddie, dziękuję za pomoc. Kapitanie Howes, muszę pana prosić o cierpliwość i odrobinę subordynacji.

Howes rzucił Bushowi otwarte opakowanie CSD.

- Potrafię być cierpliwy, profesorze - odrzekł. Przykucnął, spoglądając tępym wzrokiem na Busha. Ten z kolei stał nieporuszony, lekko tylko rozluźniając mięśnie. Ann przełamała pełną napięcia atmosferę, podając wszystkim zupę.

W tej chwili wszyscy patrzyli na Busha - jakby oczekując na jakiś przyzwalający znak. Biorąc od Ann łyżkę, kiwnął głową do Silverstone'a.

- Chętnie posłuchamy pańskich nowych teorii na temat kosmosu, profesorze - rzekł ciepłym, zachęcającym głosem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy umarli powracają do życia

- Nie jestem fizykiem, więc nie mogę się za mocno zagłębić w aspekty techniczne tej materii - rozpoczął Silverstone. - Przystaniecie na to pewnie z ulgą. Ani ja, ani też żaden z moich współpracowników, nie mieliśmy jeszcze okazji do rozpoczęcia prac badawczych w obrębie, nieaktualnych już, praw fizyki. Po tym jak obaliliśmy istniejące obecnie totalitarne rządy, uwolniliśmy tym samym z kajdan instytuty naukowe. Wkrótce wszystkie poznane wcześniej czynniki kształtujące kosmos zostaną ponownie zweryfikowane, tym razem w świetle nowej, oszałamiającej wręcz wiedzy.

Pragnę was teraz jedynie zapoznać z jednym lub dwoma przykładami nowego podejścia, dzięki któremu łatwiej będzie wejść w wymiar makrokosmosu.

Jak już wiecie, człowiek zdołał wydedukować, że dotychczasowe koncepcje przeszłości, dotyczą w rzeczywistości przyszłości. Wiemy więc, że Ziemia ulegnie powolnemu roztopieniu, a potem rozpadnie się na części - przechodząc w formę gazową i stając się międzygwiazdowym pyłem; w stanie takiego rozproszenia otoczy starzejące się Słońce.

Wiemy też, że będzie to miało miejsce w kurczącym się już wszechświecie. Przemawia za tym efekt Dopplera, mówiący, że odległe gwiazdy i galaktyki z dużą prędkością zbliżają się ku czasom, gdy cały wszechświat skurczy się do pierwszego, pierwotnego atomu. Tak będzie wyglądać koniec wszechświata. Tak więc, tutaj tkwi odpowiedź, która wcześniej nie była dla nas dostępna - co oczywiście nie zmienia faktu, iż nadal nie wiemy tego, co wydawaliśmy się wiedzieć wcześniej - mianowicie, jaki był początek Ziemi, nie wspominając nawet o powstaniu życia.

Widać stąd, że wszystkie podstawowe dogmaty naszej myśli, uporczywie i z bólem gromadzone przez tysiąclecia, stają się bezużyteczne. Wszystkie prawa przyrodnicze przybrały odwrotny kierunek lub uległy samounicestwieniu. Nasze obserwacje skażone były błędem, nie byliśmy świadomi, dokąd to wszystko zmierza. Cała nasza naukowa precyzja i obiektywizm - powód do wielkiej dumy - rozmijały się z prawdą o sto osiemdziesiąt stopni. Weźmy choćby sławną drugą zasadę termodynamiki - dopiero teraz zaczynamy dostrzegać, że w rzeczywistości ciepło przechodzi z ciał zimnych w stronę ciepłych - słońce raczej kumuluje ciepło, niż je wydziela. Nawet sama natura ciepła wydaje się być inna. Energia gromadzi się w formach o prostszej strukturze, przemieszczając się następnie przez formy o budowie bardziej złożonej - gromadzące się ilości rdzy mogą przykładowo zintegrować się w metalowe pręty.

Jednak niektóre z naszych, mozolnie formułowanych praw fizyki pozostają aktualne.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego na przykład prawo Boyle'a-Mariotte'a, dotyczące zmieniającej się w stałej temperaturze objętości gazu, który wytwarza tym samym ciśnienie, ma pozostać nietknięte. Nie wiem też, co się stanie z teorią względności. Z kolei zasady klasycznej mechaniki są nieaktualne - choćby pierwsza zasada dynamiki Newtona, odnosząca się do obiektu znajdującego się w stanie spoczynku lub poruszającego się ruchem jednostajnym prostoliniowym, dopóki nie zadziała na niego druga siła! Wyobraźcie sobie teraz, jak wygląda prawdziwy stan rzeczy! Na boisku leży piłka, nagle zaczyna się toczyć, osiąga znaczną prędkość i uderza w but piłkarza!

Kapitan Howes nie wytrzymał, przerywając gwałtownie potok słów Silverstone'a:

- Jesteś chory psychicznie!

- Na początku też tak myślałem. Nawet Wenlock tak twierdził, gdy po raz pierwszy usiłowałem mu cokolwiek wytłumaczyć - właśnie wtedy doszło do kłótni między nami. Teraz jednak jestem w pełni przekonany, że mój umysł funkcjonuje zupełnie prawidłowo. Szaleństwem było to, co działo się w umysłach przeszłych generacji rasy ludzkiej.

Howes wymownie poklepał się dłonią w łysą głowę.

- Prosisz mnie o to, abym uwierzył, że równie dobrze w tej chwili z jakiegoś zmarłego ciała wystrzelić może pocisk i wrócić z powrotem do mojego pistoletu, gdzie ja z kolei nacisnę spust? Jesteś zwykłym wariatem! Jak w takim świecie można byłoby kogokolwiek zabić?

- Muszę przyznać, że także tego nie rozumiem - stwierdził Borrow.

- Zgoda, zrozumienie tego jest niesamowicie trudną rzeczą - potwierdził Silverstone. - Jesteśmy pokoleniem trawionym przez paradoksy, ponieważ zdarzyło nam się znaleźć w przełomowym punkcie, kiedy człowiek zyskał większą świadomość. Ale widzi pan, kapitanie - to pan się myli, mówiąc, że od tego momentu promień lasera może wystrzelić z ciała do lufy pańskiego pistoletu. Muszę pana zapewnić, że w zewnętrznym świecie tak naprawdę nic nie uległo zmianie - nadal obowiązują te same prawa, tak jak to miało zawsze miejsce i zawsze mieć będzie. Zmiana zaszła jedynie w naszym postrzeganiu - to nasza percepcja nagle uległa wyostreniu. Kolejność procesów, która zawsze była taka sama, przedstawia się tak, że światło lasera najpierw opuszcza ciało, później trafia do twojej broni, ty naciskasz przycisk, a potem przejawiasz intencję zrobienia tego.

- To szalone! Absolutna, zupełna paranoja! Bush - słyszysz go? Ty wiesz, że on bredzi i to, o czym mówi, to jedna wielka niedorzeczność!

Bush nie odpowiedział od razu.

- Nie. Zaczynam to postrzegać tak, jak przedstawia profesor. Rzeczy dzieją się tak, jak mówi - wydaje się to być nienormalne tylko dlatego, że możliwości percepcji naszej

ponadmentalności są tak mocno zniekształcone, że nawet Newton doszedł - dojdzie do wniosku - że jego prawo działa w drugą stronę. Entropia działa w odwrotnym kierunku, niż zakładamy. Brzmi to dla nas paradoksalnie, gdyż nasze prawo przyczyny i skutku jest również wypaczone, z tego samego powodu. Przez to, choćby tok pracy adwokatów i sędziów biegnie w kierunku odwrotnym do prawidłowego.

Howes wykonał kilka zamasztych gestów wyrażających jego bezradność.

- W porządku - jeżeli jednak rzeczywiście jest tak, jak ty i Silverstone to przedstawiacie, to dlaczego nie postrzegamy tego w ten właśnie sposób?

Profesor, lekko znudzony, ziewnął, po czym ciągnął dalej:

- Już to wyjaśniliśmy. Nasza percepcja została zdeformowana poprzez zniekształcające soczewki umysłu, dlatego widzimy rzeczy na odwrót, podobnie jak soczewka oka postrzega obrazy do góry nogami. - Mówiąc to, odwrócił się do Borrowa, który przeżuwał kęsy wołowiny przygotowanej przez Ann. - Nadążasz za mną, przyjacielu?

- Całe to zamieszanie ze strzelaniną wydaje się być prostsze niż zacieśniający się wokół nas wszechświat - odrzekł Borrow. - Załóżmy, że dokonujemy podziału sceny strzelania na kadry, tak jak w komiksach, nadając im numery. Pierwszy pokazuje horyzontalny obraz martwego ciała; drugi - ciało na wpiół zawieszony ponad ziemią; trzeci, ciało niemal w pozycji wyprostowanej oraz wychodzący z niego promień; czwarty - pocisk odbywający drogę powrotną do lufy; piąty, moment naciśnięcia spustu; szósty, kształtujący się w umyśle zabójcy postanowienie. Całość, składająca się z tych sześciu scenek, istnieje w czasoprzestrzeni - a bazując na naszym doświadczeniu mentalnego przemieszczania się wiemy, że można obejrzieć je ponownie, kiedy tylko przyjdzie nam na to ochota, podobnie jak każde inne wydarzenie w historii.

No dobrze - to jest takie samo kłamstwo jak sześć scenek z historyjki obrazkowej. Można je obejrzieć w kolejności od jeden do sześć lub odwrotnie, aczkolwiek tylko jeden kierunek jest właściwy. Dzieje się jednak tak, że zawsze postrzegamy je w odwrotnej kolejności. Mam rację, profesorze?

- Istotnie, zastosował pan dobrą analogię. Doświadczamy w niewłaściwym kierunku, jako że już nasze wczesne wspomnienia były zniekształcone. Czy ma pan teraz jaśniejszy obraz sytuacji, kapitanie?

Howes z lekka zakłopotany podrapał się po karku, wzruszając przy tym ramionami.

- Czy mogłabyś mi nalać jeszcze kawy? - zwrócił się do Ann.

Zapanowała chwila ciszy, jakby wszyscy musieli odpocząć przed następną rundą. Silverstone i Bush patrzyli na siebie z odczuciem beznadziei. W dużym stopniu nakładało się

na to zmęczenie - pierwszy od dłuższego czasu upust intelektualnej ekscytacji trochę nadwątlili siły Busha. Ledwie tknął jedzenie. Wpatrywał się z ponurą miną w zwarte szeregi ludzi-cieni dookoła, z których wielu tkwiło w iluzji mentalnej podróży.

- Ann, prosiłem o jeszcze jedną kawę! - tym razem głos Howesa zabrzmiał szorstko.

Siedziała z podciągniętymi kolanami, wpatrzona w szare skały przed sobą - na jej twarzy brak było jakiegokolwiek ekspresji. Zaalarmowany tym, Bush delikatnie potrząsnął ją za ramię.

- Wszystko w porządku, Ann?

Powoli, bardzo powoli odwróciła ku niemu głowę. Patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Czy zamierzasz teraz wycelować swoją spluwę we mnie, Eddie, aby zademonstrować jak działa nowy system? Sądzę, że wszyscy znajdujecie się w jakimś transie - to popieprzone miejsce zahipnotyzowało i ciebie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że cała ta paplanina służy unicestwieniu życia człowieka i to z uśmiechem na twarzy? Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Mam już wszystkiego dosyć, chcę wrócić do jury, czy gdziekolwiek indziej. Nie mam ochoty słuchać, jak wy, faceci, podniecacie się snuciem przerażających wizji na tym okropnym zadupiu! To prawdziwy koszmar! Przenoszę się z powrotem - czy też w drugą stronę - czy gdziekolwiek, do jasnej cholery, to się znajduje!

- Nie! - Silverstone podniósł się gwałtownie. Dobrze wiedział, że Ann znajduje się na granicy hysterii. Zaniepokojony, ujął jej dłonie.

- Ann, nie mogę pozwolić, byś nas opuściła! Potrzebuję - wszyscy potrzebujemy kobiecego, zdrowego rozsądku na tej wyprawie. Nie widzisz tego? My wszyscy się tutaj czegoś uczymy. Musimy wrócić do 2093, gdzie znowu będziemy mieć jasny obraz sytuacji, gdzie będziemy mogli innym ludziom pewne rzeczy wyjaśnić...

- Do tego mnie nie namówisz, Norman! Wiesz, że nie pochodzę z twoich kręgów - jestem zupełnie przeciętną osobą.

- Wszyscy jesteśmy zwykłymi ludźmi, właśnie tacy będą musieli stawić czoła prawdzie.

- Dlaczego? Udało mi się jakoś przeżyć trzydzieści dwa lata w kłamstwie!

- Jesteś szczęśliwa? Czy naprawdę jesteś szczęśliwa, Ann? Czy gdzieś, w głębi serca, nie obawiasz się - podobnie jak kilka pokoleń ludzi po dwudziestym wieku - tego, że zanosi się na jakąś wielką i paskudną zarazem niespodziankę? Ludzie muszą poznać prawdę!

- Ja z nią porozmawiam, profesorze - wtrącił się Bush. Przytulił kobietę mocno do siebie.

- Proszę, Ann, zostań i wysłuchaj mnie. Jesteś nam bardzo potrzebna. Wszystko się

ułoży. Znam cię i wiem, że potrafisz być twarda. Spokojnie sobie z tym poradzisz.

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Ja jestem silna, tak? Wy faceci, wszyscy jesteście tacy sami, cokolwiek się dzieje! Tak bardzo kochacie nowe teorie i wszystkie te rzeczy. To co mówiliście o pociskach lecących w przeciwną stronę, wyjaśniając to w sześciu scenach...

- Roger całkiem jasno to przedstawił.

- Boże, jasno! - roześmiała się kpiąco. - Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, o czym rozmawialiście? Gadaliście o umarłych powracających do życia - najpierw leżysz krwawiąc na ziemi, chwilę potem krew powraca do twoich naczyń krwionośnych, wstajesz i idziesz przed siebie, tak, jakby nic się nie wydarzyło!

- Chryste! - niemal równocześnie powiedzieli Bush i Borrow.

Dziewczyna wstała.

- Weźmy Chrystusa! Najpierw widzicie, jak zmartwychwstaje, potem wisi na krzyżu, jego bok zostaje przebity włócznią, Rzymianie przybijają go do krzyża, ściągają go z niego, Jezus powraca do swoich uczniów... Czy nie o to wam chodzi?

Silverstone klasnął w dłonie, starając się dojść do głosu.

- Ona ma rację! Pierwsza do tego doszła! Chciałem trochę odwlec wyjawienie wam nowych koncepcji, odnośnie ludzkiej i zwierzęcej egzystencji, jednak...

- Pieprzę twoje koncepcje! - ponownie nie wytrzymała Ann. Stała, odwrócona tyłem do szarych skalnych masywów, ignorując ich wszystkich. - Mam w dupie twoje teorie! Tyle mówiliście o zmartwychwstających nieboszczykach, nie zdając sobie nawet z tego sprawy - tak mocno przejęci swoimi teoriami! Mówię to wprost: jesteście bandą świrów!

- Patrząc na to z tej strony, pewnie nimi jesteśmy - przyznał Silverstone, przywdziewając maskę ptaka przedrzeźniacza. - Przepraszam cię, Ann. Staraliśmy się zachować obiektywizm i pokazać wszystkie możliwości. W taki sposób działają mężczyźni. Wspomniana strzelanina była jedynie przykładem, podsuniętym przez kapitana Howesa. Zajmijmy się przez chwilę ludzkim życiem, a ja obiecuję ci, że nie będzie to dla ciebie takie straszne, gdy w pełni to zrozumiesz.

- Wstające umarlaki! - popatrzyła na Silverstone'a tak, jakby po raz pierwszy widziała mężczyznę. - No, dalej, profesorze Normanie Silverstonie, proszę mnie przestraszyć!

- Jak już to zauważyła Ann - z czego i ja zdaję sobie sprawę - wraz z upadkiem ponadmentalności, nagie, jednak prawdziwe oblicze życia, jakie rysuje się przez pryzmat submentalności, wydaje się być na pierwszy rzut oka zaskakujące, a nawet przerażające - odrzekł Silverstone.

- Słońce wstaje na zachodzie i zachodzi na wschodzie. Jest niczym zarządca całego organicznego i śmiertelnego życia, kołysze jego okołodobowym rytmem. Wkrótce po tym, jak zacznie się nowy rok, następuje poruszenie wśród martwych liści, przybierają złoty kolor, unoszą się tłumnie ponad ziemię i spieszą otulić korony buków - drzewo następnie sprawia, że stają się zielone, a w ósmym miesiącu wszystkie znów zmieniają postać, tym razem na pąki. Przez cały ten czas drzewa wysyłają substancje odżywcze do gleby - teraz, od marca do grudnia, stoją nagie, aż do następnego przyjęcia liści. Dzieje się tak nie tylko w przypadku buków, ale i pozostałych drzew - na olbrzymich dębach zaczynają wyrastać coraz mniejsze żółędzie.

Zwierzęta i człowiek podlegają podobnym procesom. Niektóre z wielkich religii - których wielka moc wywodzi się z submentalności - odgadły prawdziwą kolejność rzeczy. Stwierdzenie, że wszyscy powstaniami z martwych jest niczym innym jak dosłownym oddaniem stanu faktycznego. Podobnie ze średniowiecznym wyobrażeniem na temat abiogenezy, czyli samoródtwa, które wydaje się znajdować tutaj swoje potwierdzenie. Wśród niszczących kości, wewnątrz grobu, tworzą się struktury - robaki nanoszą świeże warstwy kości, powstaje coś, co coraz bardziej przypomina człowieka; powoli w trumnie powstaje ciało; po tym czekamy już tylko na oplakujący tłum, który wyciągnie ciało na powierzchnię, rodzina zabierze je do domu, wchłonie wilgoć nasączonych łzami chusteczek; ludzie wypaleni oczekiwaniem, będą się nawzajem pocieszać na chwilę przed tym, jak w ciele zagości pierwszy oddech. Lub, jeśli ciało zostało poddane kremacji - płomienie na nowo zrekonstruuje je z prochu w powłokę cielesną.

Ludzkie życie zaczyna się na dziesiątki różnych sposobów! Podczas sztormów ciała wypływają z dna oceanu, fale transportują je na pokłady statków, które również powracają do funkcjonowania; rozbite samochody szepią się na chwilę, by po chwili, pod wpływem siły uderzenia, powrócić do własnego toru jazdy. Wrak samolotu, pokryty rdzą, tkwiący przez całe lata na odległym pagórku zaczyna straszyć swoim wyglądem, jednak wszystko wróci do normy, jako że wkrótce wybuchnie pożar i zaraz potem zgaśnie, a samolot uniesie się z powrotem w kierunku lotniska.

Jest wiele różnych sposobów, dzięki którym populacja się powiększa. Ale szczególnym rodzajem ceremonii, w czasie której następuje nagły jej przyrost, jest wojna. Z wnętrza zburzonych domów, lejów po bombach, ze spalonych lasów, z rozprutych statków i zatopionych łodzi podwodnych, z wszystkich błotnistych pól bitewnych powstają do życia zabici, ich rany powoli się goją, a oni sami stają się coraz młodszy. Wojna jest wielkim siewcą życia na całej planecie.

To tyle, jeśli chodzi o narodziny. A co ze śmiercią? Wiemy, jaka będzie przyszłość - ludzka rasa maleje i dąży do połączenia z gatunkiem zwierząt, a koniec Ziemi wydaje się być tak blisko, że - ujmując to w kategoriach geologicznych - wydaje się, iż wszystko zmierza w kierunku mniejszości czy bez-myślności. Wszystko zostało zaplanowane z tak zdumiewającą dbałością o szczegóły - ludzkość podąża za tym samym wzorcem, jako całość i jako jednostki. Każda istota ludzka - oczywiście odnosi się to także do zwierząt - odmładza się i maleje, znajduje się w pełni swoich możliwości, osiągając dojrzałość, wkrótce przed tym, jak straci umiejętności, jakie niesie ze sobą stadium radosnego pokwitania. Potem przejdzie przez okres dzieciństwa, najprawdopodobniej uczęszczając przy tym do szkoły, aby zapomnieć wiedzę, która już dłużej nie jest potrzebna. Przejście do stanu krótkotrwałej bezradności jest stosunkowo szybkie i zarazem zbawcze; prawdopodobnie w wieku dwunastu - tak, dwunastu lat dzielących dziecko od powrotu do łona matki - istota ludzka osiąga szczytowe możliwości swojej czujnej świadomości, albowiem już wkrótce potem rozpoczyna się skomplikowany proces oduczania się języka. Dla większości koniec życia jest najszcześniejszym okresem, w którym zatracają się w poczuciu błęgiego bezpieczeństwa. Znow mogą zaznać przyjemnego kołysania w ramionach matki i beztrudnie gaworzyć. Prawie nie dostrzegają momentu powrotu do łona matki - prawdziwego grobu rasy ludzkiej.

Być może powinienem tutaj dodać - przepraszam za to, co teraz powiem, Ann - że to matka jako pierwsza doświadcza bólu i dyskomfortu w trakcie tego procesu - ma to miejsce na miesiąc lub dwa przed tym, jak zmagania dziecka w jej ciele powoli gasną, a ono samo w pełni łączy się z jej ciałem. Później jej sytuacja ulega poprawie, a gdy dziecko zmienia się w małą drobinę, jej mąż lub partner przenika do jej wnętrza i pomaga jej wydobyć pozostającą tam materię. Po tym, gdy zakończą ten proces, często zakochują się w sobie nawzajem, zanim rozstaną się na zawsze.

- Czy macie jeszcze jakieś pytania?

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na Ann. Stała w tej samej pozycji, opierając się o jeden z monstualnych, szarych kryptozoicznych głazów. Przyglądała się uważnie twarzy Silverstone'a.

Przez krótką chwilę obserwowali świat za pomocą czegoś w rodzaju wstecznej progresji - przejażdżka w górę strumienia ludzkiego życia ochłodziła ich organizmy.

- Dobierałeś takie słowa, że brzmiało to niemal pięknie - skwitowała. - Staraleś się ominąć tę brzydką stronę, prawda? A co z momentami, gdy jesteś chory, jesz - i z całą resztą?

- Sama możesz to sobie wyobrazić - spokojnym głosem odrzekł Silverstone. - Zarówno jedzenie, jak i wydalanie są jedynie odwrotnością tego, co według naszej ponadmentalności ma

znaczenie. Może się to wydawać odrażające, jednak tylko dlatego, że jest czymś nowym...

- Zgoda, ale twierdzisz, że jedzenie wędruje z naszych ust na talerze, ostatecznie jest odgotowywane i ląduje z powrotem w sklepie mięsnym, wraca do rzeźnika, a tam znów staje się całym, żywym stworzeniem - dobrze to rozumiałam?

- Tak, to właśnie mam na myśli. Twierdzą też, że gdy dasz sobie rok czy dwa na oswojenie się z tą koncepcją - to wszystko wyda ci się niemniej normalne niż krojenie zwierząt na kawałki, gotowanie a następnie ich zjedanie.

Ann wykonała zniecierpliwiony gest ręką, traktując jego argumentację jako wyrachowaną grę ładnie brzmiących słów - odwróciła się do stojącego obok Busha.

Jego uwagę przykuwał cienisty tłum, który od dłuższego czasu szedł w ślad za nimi - zdążył go już serdecznie znienawidzić.

- Dla ciebie wszystko jest zrozumiałe, prawda Eddie?

- Tak, tak, jestem w stanie objąć to wszystko - być może po części dlatego, że duży wpływ wywiera na mnie osobliwość samego procesu - wystrzeliwujące do góry wodospady, mleczarki dojące mleko do wymion krowy, szklanka wystygłej kawy przechodząca w stan wrzątku. To tak, jakby znowu być dzieckiem i po raz pierwszy odczuć fascynację na widok stygnącej kawy czy procesu tworzenia się naskórka. Który z wodospadów wydaje się mieć w sobie więcej magii, czy mocniej podlegać prawom natury - ten, który płynie w górę czy w dół? To, czego nadal nie jestem w stanie pojąć - a co profesor stara się nam wytłumaczyć - to sytuacja, gdy możemy odseparować się od naszej ponadmentalności i zobaczyć na własne oczy, zamiast tylko o tym mówić, czas płynący w przeciwnym kierunku.

Silverstone potrząsnął głową.

- Nie sądzę, aby taka chwila rzeczywiście nadeszła. Przynajmniej nie w naszym przypadku - pokolenia himalajskiego. Miałem nadzieję, że uda mi się osiągnąć taki stan, jednak tak się nie stało. Nasze mózgi są zbyt przeładowane czymś, co moglibyśmy nazwać zahamowaniami płynącymi z przyszłości. Jednak następna generacja - wasze dzieci, będą wolne od zniekształcenia rzeczywistości przez ponadmentalność, pod warunkiem, że przełożymy im tę wiadomość w sposób klarowny oraz możliwie szybko.

Howes stał z nachmurzoną miną już od dłuższego czasu, jakby zupełnie nie słuchał toczącej się dyskusji. Teraz jednak odwrócił się i powiedział:

- Twoje wyjaśnienia są nad wyraz klarowne, Silverstone, jednak jak dotąd nie dostarczyłeś nam ani jednego konkretnego dowodu na ich poparcie.

- Wprost przeciwnie. Przytoczyłem wam dowody, zarówno poprzez sztukę, jak i z naukowego punktu widzenia. Teraz, gdy już pokonaliśmy naszych wrogów, w dziedzinie

astronomii ponownie zapanuje ruch i wkrótce uzyskamy potwierdzenie na to, iż efekt Dopplera jasno wskazuje na kurczenie się wszechświata. Już niedługo zostaniecie zasypani dowodami.

Howes stanowczo pokręcił głową.

- Nie mam ochoty w to wierzyć! Założmy, że zdołam wytropić Gleasona i zabić go. Czy w takim razie on ożyje ponownie?

- Przemyśl to dokładnie, człowieku! Jestem przekonany, że już go dopadłeś i zgładziłeś! Teraz, w roku 2093, jest on u szczytu władzy, ale wiemy również, że ją straci, gospodarka wróci do normy, a wkrótce potem słuch o nim zaginie - znów będzie zwykłym majorem, służącym w Mongolii. A jeżeli przemieścisz się, powiedzmy do roku 2000, nie usłyszysz nawet jednego człowieka wypowiadającego jego imię.

- Jeśli już go zabiłem, to dlaczego tego nie pamiętam?

- Niech się pan zastanowi, kapitanie! - napomniał go Silverstone. - Jak dotąd uważałeś, że co prawda pamięć cię nie zawodzi, to jednak nie posiadasz umiejętności przewidywania. Teraz sytuacja ulega odwróceniu i oczywiście ma to swoje logiczne uzasadnienie. Poza wyjątkiem himalajskim, o którym wspominaliśmy, organizacja ludzkiego życia zmierzać będzie ku zapomnieniu - słaba pamięć będzie jedną z cech pozytywnych - przynasz mi chyba jednak rację, że talenty prekognicyjne wydają się być zawsze użyteczne.

Howes rozejrzał się dokoła, jakby szukając poparcia.

- Chyba widzicie, że profesor nie zamierza zrezygnować ze swojej roli proroka, oświecając swój lud wiedzą przeogromnej wagi!

- Błąd! Wyraźnie błędna ocena sytuacji, kapitanie! - strofował go Silverstone. - Według mojej oceny znajdujemy się na końcu wielkiej ery, gdzie ludzie byli w stanie dostrzec prawdę. Z jakiegoś powodu my oraz ci, którzy nadejdą po nas - aż do ery kamienia - będą tkwić w zupełnej ułudzie. Ja jestem ostatnim z tych, co pamiętają prawdę; to ja noszę w sobie koszmar świadomości, że stanę się wyrzutkiem, prześladowanym aż do momentu, gdy zapomnę to, o czym wszyscy inni już zapomnieli; moje widzenie natomiast zamknie się w ciasnych ramach fałszywej teorii Wenlocka, a ja, przeżywając okres młodości, będę tkwił w okowach przekonań Freuda i jego zwolenników!

Przez chwilę wydawał się być isticie tragiczną postacią, przytłoczony nagle ciężarem swoich słów. Nastął moment ciszy. Stało się jasne, skąd wywodzi się grymas twarzy ptaka-przedrzeźniacza.

Ann wraz z Bushem usiłowali poprawić mu humor. Howes wykorzystał moment, aby zagadnąć Borrowa.

- Robi się ciemno. Powinniśmy jak najszybciej wydostać się z tego przekłętego miejsca

- jeszcze trochę tych łamigłówek i świdrujących nas wzrokiem ludzkich fantomów, a stanę się prawdziwym świrem! Rozumiesz coś z tego, Borrow? Na początku chłonałeś równo jego teorie, ostatnio jednak trochę zaniemówiłeś - czyżbyś się rozmyślił?

- Niezupełnie. Sądzę, że mogę spokojnie zaakceptować słowa Normana, bo aby naprawdę żyć, należy zaakceptować rzeczywistość. Zastanawiam się jedynie dlaczego. Dlaczego ponadmentalność przejęła kontrolę nad rdzenną świadomością, zaciemniając wszystko, niczym para przeciwsłonecznych okularów. Dlaczego?

- Ha! Tego Silverstone nie zdołał wytłumaczyć! Silverstone..!

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na Normana Silverstone'a. Tuż za nim ogromny krąg cieni - do których zdążyli już przywyknąć, nazywając mentalnymi podróżnikami z przeszłości - uległ przerwaniu, jego części zaczęły na siebie zachodzić, jak niezliczona ilość nałożonych obrazów na jakiejś zwariowanej fotografii. Jednak na wprost nich Bush zauważył poruszenie, z pewnością nie spowodowane przez żadną z tych istot. Zza ciężkiej skalnej zasłony wyłoniła się jakaś postać.

Nie miał problemu z jej rozpoznaniem. Jeżeli coś takiego jak absurd nadal istniało, to właśnie byli świadkami wydarzenia, które można było określić mianem absurdalnego - z mroku skał wyszedł mężczyzna w szarym, jedwabnym płaszczu. Jego kwadratowa szczęka była wyraźnie zaciśnięta, uniesiona ręka dzierżyła broń. Grazley wydawał się być w swoim żywiole.

Bush wciąż miał przy sobie pistolet Howesa, na wypadek zaistnienia jakichkolwiek problemów. Dobycie go było kwestią ułamka sekundy.

- Na ziemię! - zdążył tylko krzyknąć.

Pociągnął za spust. Za późno. Powietrze, w niewielkiej odległości od jego lewego policzka, wściekle zawibrowało, niosąc ładunek laserowego promienia z lufy pistoletu Grazleya.

Bush spuścił głowę. Ponownie pociągnął za spust. Zabójca ciągle zniknął, przemieszczał się, najwidoczniej nadal był pod wpływem CSD. Łuna światła wystrzelonego z broni Busha zakończyła swój bieg na lewym ramieniu Grazleya, co spowodowało jego powolny obrót, a następnie upadek. Na chwilę przed dotknięciem podłoża zniknął, prawdopodobnie porwany przez falę nieświadomości, dryfując niczym opuszczony statek poprzez eony mentalnej podróży, ześlizgując się najpierw z krzywej entropii w kierunku niezbadanych geochronów kryptozoiku, a następnie ku momentowi rozpadu Ziemi.

Odwracając wzrok od Grazleya, Bush obrócił się wokół własnej osi; zobaczył, jak Silverstone umiera w ciepłych ramionach Ann. Wciąż tliła się jego marynarka, na piersi widać było zwęglone połączenie materiału. Nie miał żadnych szans.

Howes, niczym obłąkany, wykrzykiwał w amoku.

- Zastrzelą mnie za to! Cholerni kretyni! Bush, to wyłącznie twoja wina, to ty ukradłeś moją broń - nie miałem szans go obronić! Co my teraz zrobimy? I tylko pomyśleć, że Grazley jednak tu trafił! W pewnym sensie to dosyć logiczne, że skierował się właśnie tutaj - Silverstone powinien był to przewidzieć! Podpisał swój własny wyrok śmierci!

- W pałacu to ty przyzwoliłeś, aby Grazley przeżył. - Sam jesteś temu winien, Howes! - zaoponował Bush.

Stał tak, spoglądając na Silverstone'a, z jednoczesną refleksją nad tym, jakim był wspaniałym człowiekiem, wspaniałym i nieodgadnionym. Oczy profesora ciągle były szeroko otwarte, on sam, mimo mocnego, bezsilnego uścisku Ann, przestał już oddychać. Borrow pociągnął Busha za rękaw.

- Eddie, mamy następnego gościa!

- Co? - ociężale podniósł głowę. Nie miał ochoty na kolejne niespodziane odwiedziny.

Z tłumu fantomów wyłoniła się Kobieta Cień. Podeszła bardzo blisko, zatrzymując się nieopodal Borrowa. Uniosła dłoń, jakby w rozkazującym geście - zaczęła się materializować, aż wreszcie jej forma była niemalże taka jak ich. Spojrzenie, które posłała Bushowi, niosło ze sobą zarówno ładunek miłości, jak i badawczej dociekliwości, powodując, iż wzdrygnął się od nadmiaru tej intymności.

- Potrafisz zmaterializować się w naszym kontinuum? - zapytał zdumiony. - Dlaczego w takim razie nie powstrzymałaś Grazleya? Muszą być was tutaj tysiące - dlaczego do diabła nie interweniowałaś, jeżeli byłaś w stanie?

Wskazując na leżące nieruchomo ciało Silverstone'a, przemówiła.

- Zebraliśmy się tutaj, aby uczestniczyć w narodzinach wielkiego człowieka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kryptozoiczni wędrowcy

Z bliska była piękną kobietą. Bush wydedukował, że mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała nieskazitelną brązową skórę, przenikliwe szaro-niebieskie oczy i brązowe włosy. Jej figura była wysmukła, sylwetka wysportowana, krótka tunika eksponowała piękne, długie nogi. Tym, co wywoływało jednak największe wrażenie, a nawet przytłaczało, była jej dominująca, przywódcza postawa.

Gdy tak na nią patrzył, chwyciła jego rękę, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo.

- Nasza znajomość ma już swoją historię, Eddie! Nazywam się Via Say. Właśnie teraz, na moment przed narodzinami Normana Silverstone'a, uzyskałam pozwolenie od Naczelnych Władz na rozmowę z tobą i twoimi przyjaciółmi.

Mimo, że posługiwała się angielskim, z powodu oryginalnej intonacji mieli pewne kłopoty ze zrozumieniem jej słów.

Bush - zupełnie rozbrojony - nie mógł się powstrzymać od pytania:

- Dlaczego pozwoliłaś, by Silverstone umarł? Musiałaś przecież wiedzieć, że zamachowiec jest blisko.

- Nasze myślenie mocno się od waszego różni, przyjacielu. Co prawda dla nas również istnieje pojęcie interwencji, ale i przeznaczenia.

- Ale on był nam potrzebny!

- Każde z was oczywiście może mieć swoje własne przekonania, ale czy mogę przedstawić wam bieg wydarzeń, w czymś, co nazywacie przyszłością? Hmm? Najpierw powracacie, jak to określacie, do roku 2093 - my używamy innego systemu datowania - po to, aby obwieścić narodziny Silverstone'a. Powoduje to niezłe zamieszanie wśród publiki. Wenlockowi, przy waszej pomocy, udaje się uciec. Przejmujecie kontrolę nad stacją telewizyjną i za jej pośrednictwem informujecie ludzi o tym, jaka jest prawda. Rozpoczyna się rewolucja.

Howes, wyraźnie wyprowadzony z równowagi, wszedł jej w słowo:

- To nie jest wytłumaczenie, młoda damo! Jeśli pozwoliłaś, aby Silverstone...

Przerwał w pół zdania. Powoli, na jego twarzy zagościł wyraz zdumienia. Via uniosła w jego stronę dłoń, wymawiając przy tym kilka słów, które odbiły się echem w umyśle Busha.

- Co powiedziałaś?

- To taka specjalna fraza-zaklęcie, które weszło do użycia kilka stuleci po waszych

czasach. Jej uproszczona, niedoskonała wersja zostanie włączona do procedury Wenlocka już za kilka lat. W ciągu kilku minut natomiast, zajmie obszary motoryczne w mózgu Davida Howesa, mimo, że w jego odczuciu będzie to zaledwie ułamek sekundy.

Dookoła rozciągał się półmrok - w tym samym czasie zaczęły zbierać się tłumy mentalnych przybyszów z przeszłości, aby obejrzeć moment narodzin Silverstone'a. Bushowi, będącemu ciągle pod kontrolą swojej ponadmentalności, wydawało się, jakby ten ogromny krajobraz z wolna pustoszał, goszcząc już tylko ich własne ogłupione biegiem wydarzeń postaci.

Odszedł na chwilę od reszty grupy, czując mocną potrzebę przemyślenia wszystkiego raz jeszcze. Gdy tak stał, ogromnych już rozmiarów tłum nagle rozpląnął się w powietrzu. Krajobraz opustoszał, przez co wydawał się być pozbawiony zarówno skali, jak i znaczenia.

Po chwili usłyszał wołającą go Ann i powrócił do grupy. Ann i Borrow wyglądali na zdecydowanie bardziej radosnych - Via dobrze oddziaływała na ich morale i najwidoczniej powiedziała coś, co podziałało na nich zachęcająco. Nawet Howes, wychodzący powoli z transu, wyglądał na szczęśliwszego niż kiedykolwiek wcześniej.

- Via jest taką kochaną istotą - stwierdziła Ann, biorąc Busha pod rękę. - Wyjaśniła mi, że przez lata ćwiczyła mówienie w przeciwnym kierunku po to, byśmy ją mogli zrozumieć! Teraz naprawdę zaczynam wierzyć, że to wszystko, o czym opowiadał Silverstone, było w stu procentach prawdą!

W pobliżu Vii zmaterializowali się czterej mężczyźni. Wszyscy mieli na sobie podobne mundury. Trzymali nosze, na których, niczym święty, spoczywał Silverstone. Stanęli obok Vii i oczekiwali na sygnał od niej.

- Odbyłeś jeszcze jedną podróż, a następnie wróciłeś do 2093 - rzuciła do Busha. - Nie, nie, poczekaj, wszystko pomieszałam - przepraszam, nadal trochę trudno jest przedstawić rzeczy tak, aby były zrozumiałe dla ciebie. Ta podróż, przed powrotem do 2093 jest ciągle przed tobą. Tak! Ponieważ nasze pojęcie narodzin i śmierci oznaczają dla was coś zupełnie innego, ceremonie z nimi związane także różnią się po obu stronach czegoś, co Silverstone nazwał, zresztą nie bez racji, himalajską generacją. Chcemy, abyście asystowali nam jako świadkowie w narodzinach jego ciała, podczas tej ceremonii, którą nazywacie pogrzebem, choć dla nas jest to szczęśliwe wydarzenie.

Wyczuwając w nich sprzeciw, szybko dodała:

- Przy okazji, będę mogła odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Na niektóre z nich nawet Silverstone nie znał odpowiedzi.

- Sprawি nam to dużą przyjemność - odrzekł Bush.

- Czy zabieracie nas do swojej rzeczywistości - w przeszłość? - zapytał zaintrygowany Borrow.

Potrząsnęła przecząco głową.

- To niemożliwe; gdyby nawet było możliwe, nie byłoby dozwolone. W każdym razie, wybraliśmy chyba najlepsze miejsce na narodziny Silverstone'a.

Rozpoczęli przygotowania do wstrzyknięcia CSD. Via nie potrzebowała już tego typu zabiegów. Procedura Wenlocka wymagała takiego materialnego wspomagania - jednak w jej czasach ludzie dysponowali znacznie efektywniejszymi procedurami - przy których ta, stworzona przez Wenlocka, wydawała się być w stadium początkowym.

Coś do nich mówiła, wykonując serię przykuwających uwagę gestów, a oni, próbując coś z tego wydedukować, mimowolnie zaczęli proces mentalnego przemieszczania; pod jej dyktando rozciągali swoje umysły, wystrzeliwując w kierunku, który wcześniej postrzegali jako początek świata.

Więcej. Gdy znaleźli się w stanie zawieszenia, mogli porozumiewać się za pomocą myśli. Ujmując to dokładniej, znajdowali się w limbo, gdzie przybierali kształt swoich myśli. Cokolwiek pomyśleli, tym się od razu stawali. Ponieważ tkwili w swoich wzajemnie przenikających się mentalnych strumieniach, ich jedyną dostrzegalną formą były myślokształty.

- Wszystkie rodzaje świadomości komunikują się ze sobą - pojawiła się myśl Vii - manifestując się przed nimi, niczym wielki krzew pełen rozkwitających pąków. - Wszystko stanowi część tej rozciągającej się wokół energii, dzięki której w ogóle możemy się mentalnie przemieszczać. Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, gdzie akumuluje się ta moc, poza granicami mentalnych podróży? Kiedyś był taki czas, gdy rasa ludzka komunikowała się wyłącznie za pomocą myśli, tak jak robimy to obecnie. Jednak teraz - mam na myśli moją rzeczywistość, którą dzieli zaledwie kilka lat od waszej - ludzkość ma już za sobą moment pełnej chwały i powoli zmierza ku zachodowi - lub Himalajom, określając to waszymi słowami.

Z wolna, bezbarwna alegoria mowy stała się autonomicznym bytem - sprawiając, że czuli się zawieszeni w beczasie, otoczeni przez niekończące się miriady pokoleń ludzkich, gromadnie podążających w bladej jak popiół poświacie - powyżej pułapu chmur i ponad najwyższym pasmem górskim.

Myśli Ann wypływały małe i samotne, jednak pełne życia, jak tańcząca na opustoszałym parkiecie para baletek.

- Via, jesteś częścią tej wspaniałej rzeczywistości, której istnienia Silverstone miał

jedynie przebłycki!

Zaraz za kolorowymi spiralami roztańczonych baetek, wyrażającymi podziw dla Vii oraz jej nadzwyczajnych umiejętności, pojawił się ze świstem srebrny bumerang:

- I nawet nie czuję się zazdrosna o twoją szczególną więź z Eddiem.

Z powrotem wypłynęły myśli Vii, o złożonej, niczym płatki śniegu strukturze, wibrujące poczuciem humoru i podkolorowane jej figlarnym śmiechem.

- Nie powinnaś się czuć zazdrosna - jestem twoją wnuczką!

Czuli się jakby częścią koncertu kształtów, wyrażających mieszane odczucia zachwytu, zażenowania i zaskoczenia - po chwili wyłoniły się małe, smolisto-czarne kule protestu - pochodzące od Ann i Busha, łącząc się w pełną wigoru spiralę, symbolizującą partnerstwo.

Całe to zadziwiające doświadczenie uległo jeszcze większej intensyfikacji, gdy Borrow - wypełniając się ogromnymi wielowymiarowymi połączeniami abstrakcyjnych myśli - przetransformował się w strumienie mentalnej energii, kreując olbrzymich rozmiarów, efemeryczne dzieła sztuki. W tym samym czasie Howes prowadził coś w rodzaju równoległej wymiany myśli z Vią. Jego pytania, unoszące się niczym żwir, domagały się sprecyzowania, dokąd podążają - jej odpowiedź, żywa i elektryzująca, brzmiała:

- Wiesz zapewne, że znajdujemy się teraz miliony lat poza fanerozoikiem, przemieszczając się przez okres Rozpadu, gdzie ścierały się ze sobą - w walce o przetrwanie - jedynie substancje chemiczne. Będziecie świadkami tego, jak Silverstone wyłania się z ostatnich dni tego świata.

Z powrotem pojawiła się malutka, prozaiczna refleksja ze strony Howesa - delikatna, jednak uporczywa, niczym drobinka pyłku:

- W takim razie to jest nasz koniec...

Nie wiedzieli, gdzie się tak naprawdę znajdują, nie zdając sobie przy tym sprawy, czego w rzeczywistości doświadczają.

W jednej chwili Howes, a następnie Borrow, Ann i Bush złapali się za gardła - w ich konwerterach zabrakło tlenu. Cofnęli się o wiele geochronów wstecz, w kierunku końca-początku świata, w którym gazy - od których zależała ludzka egzystencja - spoczywały głęboko zamknięte w pojękującym wnętrzu globu, w postaci nielotnych związków.

- Jesteście bezpieczni! - krzyknęła Via, wskazując na cztery istoty transportujące trumnę. Każda z nich wydobyla, ze znajdującego się na plecach zasobnika, coś w rodzaju wydrążonych prętów przypominających swym wyglądem anteny - emitowały one opary dymu, niczym na wpół płonące główne pochodnie.

- Mamy swoje sposoby na wytwarzanie tlenu i azotu w tak wyjąłowych miejscach,

jak to - wyjaśniła. - Dodatkowo, przed szkodliwym oddziaływaniem warunków zewnętrznych, chroni nas spektrum energii wewnątrz samej bariery entropii - tak więc nie grozi nam tutaj jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

Dopiero po tym zapewnieniu odważyli się zaczerpnąć powietrza i przyjrzeć się roztaczającemu się widokowi.

Ziemia, zbliżając się ku swojemu końcowi, znajdowała się w na pół roztopionym stanie. Temperatura, poza obszarem ochronnym ściany entropii, sięgała kilku tysięcy stopni Celsjusza. Panował lekki półmrok budzącego się dnia, jednak w tym rozplwającym się świecie z pewnością nie obowiązywały jasno określone jego pory. Ponad nimi rozciągało się morze popiołu, przeplatane strugami załamującego się światła, promieniującego ku górze. Morze to było wzburzone, popiół stanowił jedynie cienką skorupę, pokrywającą niekończące się pola magmy.

Niewielka grupka ludzi znajdowała się, wraz z ciałem Silverstone'a, w centralnym punkcie platformy mentalnej, która niemalże przylegała do powierzchni olbrzymiej, rozciągającej się na prawie kilometr, skalnej płyty. Podobnie jak morze, skała poruszała się, drgając niespokojnie; płynęła niczym góra lodowa na oceanie magmy - i tak jak ona, wkrótce miała się roztopić i zniknąć.

Bush uważnie przyjrzał się otaczającej scenerii. Nie czuł grozy czy respektu. Nic nie czuł. W chwili obecnej ciągle jeszcze trawił, pochodzące od Vii informacje, że poślubi - poślubił Ann. Jego mentalna sfera płatała mu teraz figle, nieustannie przywołując na myśl scenę, kiedy mała Joan Bush brała ślub - z nie do końca jasnych dla niego powodów - z mężczyzną prowadzącym sklep, który niegdyś należał do jej ojca. Obraz jej osoby oraz jej kochającego ojca, wydały mu się teraz bardzo bliskie - być może za sprawą ujawnienia się tych jakże nowych, rodzinnych relacji. Wzbierało w nim coś na kształt tęsknoty - z ledwością dostrzegał, że życie Ann było teraz mniej ważne niż istnienie samej Ziemi.

Zwrócił się do Vii, nieświadomie przerywając jej rozmowę z Ann.

- Towarzyszyłaś mi w podróżach do wielu miejsc. Pewnie pamiętasz górniczą wioskę i Joan, widziałaś, co przydarzyło się Herbertowi.

Skinęła twierdząco głową.

- Zaczynasz doszukiwać się tam swojego prawdziwego Ja lub - wyrażając to moim językiem - momentu, gdy je utraciłeś.

- To, co miało miejsce w Breedale nie było dla ciebie aż tak wielką tragedią jak dla mnie.

- Tragedią? Co przez to rozumiesz?

- Widziałaś, jak skończył Herbert. Okoliczności, w jakich się znajdował, w pewnym momencie go przerosły. W końcu jedyne wyjście, jakie dla siebie widział, to poderznąć sobie gardło i umrzeć, wykrwawiając się w ogrodzie. Koniec jego żony był równie nieszczęsny. Sądzę, że Joan poślubiła tego chłopaka bardziej dla pieniędzy niż z prawdziwej miłości i dlatego jedyne, czego mogła się spodziewać, to smutek. Jednak jej pokolenie uczestniczyło w tego typu historiach tysiące razy, prawda?

- Spróbuj teraz spojrzeć na to tak, jak było w rzeczywistości - odkładając na bok ciemne okulary ponadmentalności, które wszystko wypaczają. Joan wyłoni się ponownie, z pozbawionego miłości związku, wracając pewnego dnia do domu, gdzie zastanie grób swojego ojca, który już wkrótce się narodzi. Podobnie powróci do życia jej matka, zakończy się też nieprzyjemny dla niej okres ciąży. Pojawi się mężczyzna i odda im z powrotem w posiadanie ich mały sklepik. Wszyscy będą stawać się coraz młodszy. Kopalnia znów zacznie funkcjonować, wszyscy będą mieli pracę. Stopniowo zmniejszy się rodzina, a także dźwigany ciężar, zwiększą się natomiast nadzieje. Joan przypuszczalnie zagłębi się w szczęśliwej fazie dzieciństwa, aż do czasu, gdy połączy się ze swoją matką, która z kolei wejdzie w okres swojej pogodnej młodości. Nie będzie żadnej tragedii, a wręcz przeciwnie - o wiele mniej utrapień.

- Teraz już wiem, dlaczego okres spędzony w Breedale miał dla mnie tak duże znaczenie. Widziałem, jak okropnych czynów może dopuścić się człowiek z powodu biedy - to właśnie niedola i niepewność legły u podstawy najważniejszych posunięć w moim życiu. Gdy jednak pozbędziesz się już ponadmentalności, ty - czy ktokolwiek inny - przestajesz cierpieć z powodu niepewności, ponieważ wiesz, co przyniesie przyszłość. To, co przydarzyło się Joan, kochanej istocie, która w końcu wyparła się miłości, mogłoby być historią każdego innego człowieka, będącego pod kontrolą ponadmentalności. Wyłumacz mi zatem, czym ludzkość zasłużyła sobie na takie fatum? I co z himalajską generacją?

Borrow powiedział niemal szeptem.

- Nie znam szczegółów twojej relacji z Joan, Eddie, jednak już wcześniej chciałem zadać to pytanie profesorowi, a teraz Vii. Dlaczego tak się dzieje, począwszy od ery kamienia, a skończywszy na naszych czasach?

- Zasługujecie na odpowiedź i postaram się, aby była ona możliwie prosta, ubrana w zrozumiałe dla was słowa - odrzekła Via. Zanim przeszła do dalszych wyjaśnień, spojrzała na nieruchomą twarz Normana Silverstone'a leżącego na noszach.

- Jak dotąd nie wiecie nic na temat długiej przeszłości rasy ludzkiej, którą do tej pory uważaliście za przyszłość. Musicie jednak wiedzieć, iż ten okres był naprawdę ekstremalnie długi - z tuzinem kryptozoików na końcu, obejmujących trudny do opisanego czas. Sam rozwój

ponadmentalności odbył się już błyskawicznie, w ciągu zaledwie dwóch czy trzech pokoleń.

Ponadmentalność wywodzi się od pierwszego poważnego zaburzenia mentalnego, jakie znamy - jako że na kartach naszej historii nie ma śladów tragedii czy psychicznego cierpienia, którego doświadczaliście po drugiej stronie Himalajów. Zaburzenie to zostało wywołane uświadomieniem sobie nadchodzącego końca Ziemi. Trudno sobie wyobrazić, jak wielką potęgą jest nasz gatunek. Mimo tego jednak, że jesteście naszymi dziećmi, a my waszymi i nie ma tak naprawdę przerwy w sukcesji, nasza egzystencja, podporządkowana była odmiennym prawom natury. W jej ramach powstało wiele rzeczy, które dla was mogłyby wydać się zbyt niesamowite, abyście uznali je za wiarygodne - przykład mentalnych podróży na olbrzymią skalę jest tylko jednym z wielu. Byliśmy rasą niemal doskonałą lub - jakbyście to wy określili - będziemy.

Czy potraficie sobie wyobrazić gorycz, jakiej mogą doświadczyć ludzie, gdy zdadzą sobie sprawę, że minął okres świetności ich planety, a system, którego są częścią, ulegnie degeneracji? My, w odróżnieniu od was, nie zostaliśmy zahartowani i przygotowani na niezliczone smutki - nie odczuwaliśmy przecież smutku - tak więc ta masowa choroba związana z odwróceniem się biegunów czasu, ciągnących nas ku krawędzi katastrofy - dosięgła nas wszystkich.

Sądzymy, że była to choroba ewolucyjna. Pokolenie następujące po nas lub w niektórych przypadkach jeszcze późniejsze, urodziło się (umarło - według waszej terminologii) z górną częścią umysłu odwrotnie spolaryzowaną, tak więc postrzegali świat tak jak wy, ponieważ... oni są wami.

I jak widać, ta zmiana biegunowości może być największą łaską, która...

- Zaczekaj, Via! - zaoponował Bush. - Jak możesz twierdzić, że to coś dobrego, skoro przyznałaś, że jeśli tylko bylibyśmy w stanie doświadczyć swojego życia w przeciwnym kierunku, to bylibyśmy szczęśliwsi? Podobnie ludzie z całej historii człowieka, aż do pradawnych cywilizacji!

Jej odpowiedź była stanowcza, bez cienia zawahania.

- To było dla was wybawienie; małe rozterki i bóleczki, które was wtedy zaprzątały, maskowały jednocześnie większy ból.

- Nie wolno ci tak mówić! Pomyśl tylko o Herbercie Bushu, wtaczającym się ostatkiem sił do ogrodu, dławiącym się własną krwią! Czy jest coś, co może boleć mocniej?

- Oczywiście. Moment, w którym zdajesz sobie sprawę, że wszystkie wspaniałe umiejętności, jakie posiadasz, powoli zanikają, jedna po drugiej, z pokolenia na pokolenie. Gdy widzisz inżynierów, konstruujących coraz bardziej prymitywne silniki; rządy, które ponownie

legalizują niewolnictwo; budowniczych wyburzających komfortowe budynki, w miejsce których wznoszą niewygodne klitki; chemików, którzy stają się alchemikami, usiłując przemienić metal w złoto; chirurgów porzucających swój supernowoczesny sprzęt, wracających do użycia pił do metalu; zwykłych obywateli, którzy bez jakichkolwiek skrupułów biegają oglądać publiczną egzekucję - wszystko to przydarzyło się zaledwie kilku żalonym pokoleniom po tym, jak wasza czwórka zjednoczy się z ciałami swoich matek. Czy bylibyście w stanie to znieść? To przecież zniedołężnienie całego gatunku! Czy znieślibyście widok zanikającego rolnictwa na chwilę przed tym, jak wasz gatunek wraca do niechlujnego koczowniczego trybu życia? Jak byście zareagowali, widząc chaty zmieniające się w nędzne jaskinie? Jak znieślibyście widok ludzkiego wzroku, coraz bardziej bezmyślnego po tym, jak inteligencja opuściła umysły homo sapiens?

Od tego czasu wszystko zaczyna niedołączyć, nawet rośliny, gady i organizmy amfibiotyczne. Przemieszczając się mentalnie mogliście zobaczyć, jak wychodzą na ląd i go zasiedlają. Jakkolwiek cyniczni byście nie byli, taki obrazek daje nadzieję i otuchę! Ale wyobraźcie sobie ten sam proces, postrzegany za pomocą naszego czystego perceptu. Czy nie pokochalibyście powoli poruszających się amfibii z ery permu, które, pomimo swojego prymitywizmu i niedoskonałości, są potwierdzeniem niegdysiejszej wielkości i wspaniałości naszej planety? A czy widok tych zwierząt, powoli pogrążających się w błocie i bagnach - przeistaczających się w małe, pletwiaste istoty nie zbudziłby w was żalu? Czy nie zapłakalibyście gorzko, gdyby na waszych oczach ostatni zielony wodorost opadł ze skał do ciepłego morza? Gdyby znikł ostatni stawonóg? Gdyby życie umarło w błocie?

Tego makabrycznego procesu - starzenia się Ziemi - nie można cofnąć ani zatrzymać! Gatunek ludzki musi przebyć tę ciężką drogę do bezmyślnego świata dżungli - dżungla pod wpływem fal nieuchronnie mijającego czasu skurczy się do postaci glonów - a wszystko to rozpuści się w popiele i ogniu, który tutaj widzimy. Żadnej nadziei - jakiegokolwiek szansy ucieczki! Dobrze tutaj widać rolę naszej ponadmentalności, ochraniającej gatunek ludzki przed uprzytomnieniem sobie pełnego horroru jego ostatecznego zniszczenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bóg Galaktyk

Wtedy to pochowali Silverstone'a - lub też, gdy zaczęli postrzegać to właściwie, odzyskali jego ciało z łona natury. Cały ten kleisty świat pływającej dookoła magmy był najdzikszym przejawem natury, jaki kiedykolwiek mieli okazję zobaczyć.

Pod wpływem działań Vii, w ich ochronnej kuli energii zaczęły zachodzić jakieś zmiany. Nosze, na których spoczywał profesor, zostały opuszczone niżej, a sam kształt kuli uległ zniekształceniu, wydłużając się w jedną stronę. W miejscu tym, niczym w oddzielnym skrzydle, znalazły się teraz nosze, a chwilę potem przedłużenie zamknęło się z dwóch stron i niczym kapsuła, odłączyło od całości - proces ten przypominał wydmuchiwanie szklanej bańki. Z ciałem profesora w swoim wnętrzu bańka zaczęła dryfować nad masą poruszającą się magmy. Unosiła się tak nad oceanem wzburzonego popiołu, aż doszło do momentu, w którym się z nim zetknęła. Niemal natychmiast wystrzelił w górę wielki strumień płynnego ognia. Bańka rozbłysła i znikła.

Było już po wszystkim; jeszcze tylko spora łuna światła oddzieliła się od unoszonych w powietrzu szczątków, po czym równie szybko się rozplynęła.

Howes zaczął pierwszy. Z jego głosu wynikało, że był wyraźnie poruszony.

- Powinniśmy mieć wojskową trąbkę, aby zagrać marsz pogrzebowy.

- Pobudkę - poprawił go Borrow.

Zdawało się, że nie pozostało już nic więcej do powiedzenia. Oniemiali, przyglądali się niezwyklej scenie. Był środek dnia. Wiał silny wiatr, zbierając iskry z falujących połaci magmy - jeszcze kilka tysięcy i wszystko zamieni się w ogień, a ich wysepka roztopi się, niczym świeca wrzucona do rozpalonego pieca. Wiatr rozpraszał chmury, które pokrywały całe niebo. Po chwili poszczególne warstwy uległy rozbiciu, a rozchodzące się połacie przypominały raczej ogromne wyspy niż obłoki, spod których w końcu wyłoniło się słońce.

Mimo swojej przyćmionej barwy, słońce wydawało się powodować wielki pożar; na ziemię spływały serpentyny ognia. Wróżyło to nadejście ostatecznego piekła.

- Via, wracamy do 2093 - rzucił Howes, przybierając wojskowy ton. - Zanim to się jednak stanie, muszę zapytać jeszcze o jedną rzecz. Powracamy w końcu do naszych obecnych problemów. Jak poradzę sobie z moimi - hmmm - narodzinami?

- Da pan sobie z tym wspaniale radę, kapitanie. Będzie pan dzielny i daleki od beznadziei. To wszystko co powinien pan wiedzieć. Mam nadzieję, że to jasne.

- Ale czy mam jakiś wybór? Tak czy nie? Wiem, co zrobię zaraz po powrocie - jaką

przyjmę strategię. Oczywiście w pierwszej kolejności zgłoszę się u moich ludzi z organizacji rewolucyjnej. Następnie oddam się w ręce Partii Działania. Zabiorą mnie do Gleasona, a ja opowiem mu wszystko, co wiem na temat ponadmentalności.

- Myślisz, że go nawrócisz? - zaniepokoił się Borrow.

- Przynajmniej nim wstrząsnę. Lub, jeżeli nadarzy się taka okazja, zabiję go.

- Sądzę, że po tym wszystkim dobrze będzie, jeżeli podejmiemy jakieś kroki - włączyła się Ann. - Nie wiem tylko, jak im to wszystko wyjaśnić.

- Mam tutaj coś, o czym jak dotąd nikt nie wspomniał

- dosyć zagadkowo zaczął Bush. - Jest to niejako wynik doświadczeń mojego życia, być może wyniosłem to z Breedale, najprawdopodobniej jest to mieszanka różnych czynników. Kiedyś poruszaliśmy kwestię kazirodztwa, pamiętasz, Ann? To taki punkt, w którym połączenie ponad - i submentalności jest najsłabsze - naturalnie dlatego, że w tym właśnie miejscu mieszają się ze sobą pojęcia życia i śmierci, narodzin i fizycznego odejścia. Społeczne potępienie kazirodztwa - zauważmy, że nieistniejącego w przypadku zwierząt - zostało wprowadzone, abyśmy przestali oglądać się wstecz, na naszych rodziców; submentalność od samego początku wiedziała, że wyjściem nie jest życie, lecz śmierć. W przeszłości nikt nie zakazywał kazirodztwa, prawda Via?

Via potwierdziła jego słowa skinieniem głowy.

- Nie. Nie było nawet samego kazirodztwa, ponieważ wszyscy wracaliśmy do naszych rodziców.

- Nie jestem co prawda żołnierzem - powiedział Borrow - jednak byłbym rad, wypełniając zadanie, które otrzymałem od Silverstone'a. Dajcie mi tylko szansę na zabranie Ver z Owodniowego Jaja, a od razu przejdę do tworzenia moich instalacji. Jestem w stanie wyjaśnić całą sytuację w kręgach artystycznych - a za ich pośrednictwem informacja trafi do jeszcze szerszych kręgów.

- Czy udasz się z nami do 2093? - Bush zagadnął Vię.

Z wyraźnym smutkiem na twarzy odparła:

- Wykonałam wszystkie polecenia Naczelnych Władz. Moja misja jest zakończona i nie mam pozwolenia na jakiegokolwiek dalsze kroki. Jednak spotkamy się - ty, Ann i ja - gdy będę dzieckiem. Zanim się rozstaniemy, ja i czterej moi towarzysze przemieścimy się razem z wami aż do granicy 2093.

Odbywali kolejną mentalną podróż, wycofując się z odległego końca rzeczywistości, który tak długo uważali za początek świata. Oboje, Bush i Ann, wysyłali w kierunku Vii pytania. Miliony płynących od Busha spiral, głównie koloru jasnioletowego, układały się w

zdania.

- Jeżeli w przeszłości człowiek dysponował tak potężnymi narzędziami, to dlaczego nie wykorzystał ich do ucieczki z tej skazanej na zagładę planety? Dlaczego nie udaliśmy się do innych światów, rzeczywistości? Ann dołączyła do tego własne, żółte kręgi: - Wytlumacz nam to, daj nam chociażby przeblysk świetlanej przeszłości.

Via dała im do zrozumienia, że otrzymają jedną odpowiedź na oba pytania.

Wypuściła obraz ogromnego, białego zamku. Unosił się w ich kierunku, przechodząc przez nich, zmieniając swoją formę pod wpływem kontaktu z ich umysłem - przeciął i wypełnił wibrującą przestrzeń. Znajdowało się w nim wiele pokoi. Nastąpiło połączenie ścian i wzajemne się ich przeniknięcie. Całość była kunsztowną strukturą przedstawiającą historię wszechświata w formie, którą byli w stanie zrozumieć tylko powierzchownie, być może wykreowaną przez samego Inicjatora. Było to dzieło sztuki najwyższych lotów. Bush i Borrow mogli równie dobrze spędzić resztę swojego życia na poszukiwaniu, zapominaniu, próbach odtworzenia, uchwycenia pojedynczych elementów tej paradoksalnej doskonałości u innych artystów, takich jak Picasso czy Turner.

Udało im się zrozumieć jakąś część tego przekazu.

W bardzo odległej przeszłości gatunek ludzki został wykreowany w niezliczonej ilości punktów jednocześnie. Rozprzestrzenił się szybko niczym gaz. Był czystym intelektem. Był wszechmocny.

Był Bogiem.

Już wcześniej posiadał boską moc; dzięki niej mógł stworzyć wszechświat. Rządził się własnymi prawami. W ciągu następnych niepoliczonych eonów czasu wszedł jeszcze głębiej w proces własnego stworzenia. Zaczął przejawiać się pod postacią planety, jednocześnie tworząc i zasiedlając miliony innych planet. Stopniowo, poprzez nieprzebraną ilość zapomnianych eonów, rozrósł się i miał w sobie oparcie, tak jak duża rodzina zbierająca się każdego popołudnia pod jednym dachem, po ciężkim dniu pracy. Wspólny rozwój oznaczał utratę jednostkowych umiejętności - jednak to nie miało znaczenia. Pozostawały inne możliwości. Wkrótce planeta została wyjałowiona z ludzkiego życia, ewakuowano całe galaktyki, które jednak zbliżały się do siebie coraz bardziej.

Długi, bardzo długi proces... Nic nie pozostało z gatunku, który zainicjował ten proces. Ostatecznie, wszystko co pozostało, cała ta niegdyś godna podziwu różnorodność form, skupiła się w miejscu zwanym Ziemią. Końcowy efekt przypominał potężną symfonię stworzenia, zapadły ostateczne konkluzje.

- Jakie to pocieszające - mamy przecież legendy odnośnie tej prawdy w naszych

religiach - pomyślał Bush.

- Wspomnienia! - skorygowała go Via. Poczyszający ton tej krótkiej myśli podniósł ich wszystkich na duchu.

Również obraz monumentalnego zamku przeniknął ich mocniej, niż podejrzewali. Via prowadziła ich w kierunku powierzchni, z pewnością z zamiarem zostawienia ich w bajecznie bezpiecznym miejscu, w pobliżu jednego z głównych punktów oporu przeciwko Partii Działania.

Wynurzyli się. Via znikła, a wraz z nią czterech jej towarzyszy. Howes był gotowy na podjęcie wszystkich niezbędnych działań. Ann i Bush spojrzeli na siebie wyzywająco.

- Nadal musisz być cholernie dobry, żeby mnie do tego nakłonić! - rzuciła.

- Przekonam cię - Bush epatował spokojem. - Najpierw jednak muszę znaleźć Wenlocka i zamienić z nim parę słów.

- Dobry pomysł - przyznał Howes. - Możesz udać się ze mną do kryjówki rebeliantów - dostaniesz aktualny adres zakładu psychiatrycznego, w którym go przetrzymują.

Po chwili wszyscy podążali za nim, po zgliszczach ich własnej transhimalajskiej ery.

Szarym korytarzem przechodziła właśnie pielęgniarka. James Bush poderwał się gwałtownie, momentalnie dochodząc do siebie. Spojrzał na zegarek - tkwił na tym niewygodnym metalowym krześle od przeszło dwudziestu minut.

Kobieta zbliżyła się.

- Dyrektor jest ciągle zajęty, panie Bush. Jego zastępca, pan Frankland, z przyjemnością się z panem spotka, jeśli tylko zechce mi pan towarzyszyć.

Odwróciła się, maszerując sprężystym krokiem w kierunku, z którego przyszła, tak więc James musiał przyspieszyć, aby dotrzymać jej kroku. Przeszli całą długość korytarza, potem schodami do góry, zatrzymując się przed drzwiami z napisem ALBERT FRANKLAND.

Za biurka podniósł się tęgawy, lekko zaniedbany mężczyzna w okularach bez oprawek. Podszedł do Busha, uprzejmie wskazując na krzesło.

- Nazywam się Frankland, jestem zastępcą Dyrektora Instytutu Zaawansowanych Zaburzeń Mentalnych. Miło mi pana poznać, panie Bush. Bardzo się cieszę, że zechciał nas pan odwiedzić i jeżeli tylko jesteśmy w stanie w czymś panu pomóc, chętnie to zrobimy.

Słowa te wyzwoliły u Jamesa odczucie głębokiego, narastającego żalu.

- Chcę jedynie zobaczyć mojego syna! To wszystko! Wyrażam się chyba wystarczająco jasno. W ciągu ostatnich dwóch tygodni byłem tu już czterokrotnie, za każdym razem odsyłany z kwitkiem. Tracę tylko pieniądze i czas, żeby się tutaj dostać, a podróżowanie w dzisiejszych

czasach nie jest sprawą łatwą.

Frankland rozpromienił się i pokiwał głową, uderzając palcem o krawędź biurka, jakby doskonale rozumiał, o co chodziło Jamesowi.

- Wydaje mi się, że krytykując publiczne środki transportu, krytykuje pan również politykę Partii - powiedział konspiracyjnym tonem. Jego uśmiech, po drugiej stronie biurka, przybrał nagle odrażającą formę. James cofnął się krok do tyłu. Już z większym spokojem, ponowił prośbę.

- Proszę tylko o widzenie z moim synem, Tedem. Spoglądając na Busha ze zniecierpliwieniem, Frankland przygryzł dolną wargę.

- Zdaje sobie pan sprawę, że pański syn cierpi na niebezpieczną psychozę maniacką.

- Z niczego nie zdaję sobie sprawy! Nic nie chcę wiedzieć! Dlaczego nie mogę go po prostu zobaczyć?

Frankland przez chwilę przyglądał się swoim dłoniom, po czym ponownie spojrzał na Busha.

- Prawdę mówiąc, pana syn znajduje się pod działaniem silnych środków uspakajających. Dlatego nie może go pan teraz zobaczyć. Nazajutrz po pańskiej ostatniej wizycie uciekł ze swojej celi i spowodował nieco szkód - biegając po korytarzu, zaatakował pielęgniarkę oraz sanitariusza. Pod wpływem silnych halucynacji wierzył, że znajduje się w Pałacu Buckingham.

- W Pałacu Buckingham!?

- Tak, dokładnie tam. Czy rozumie pan coś z tego? Zbyt dużo mentalnych podróży plus wady genetyczne to zasadniczy problem. Oczywiście, jesteśmy w początkowym stadium badań nad mentalnymi podróżami, powoli jednak zaczynamy rozumieć, że pewne szczególne uwarunkowania, mające związek ze strefami anozmatycznymi, mogą przyczynić się do rozczepienia umysłu. Anozmia, zwana jest potocznie brakiem węchu - same zaś centra węchowe znajdujące się w mózgu są jednymi z najstarszych. Pański syn wierzy, że jest w stanie podróżować do odległych, zamieszkałych przez człowieka epok, co z kolei spowodowało u niego powstanie serii złudzeń, które właśnie rejestrujemy i poddajemy badaniom, aby skuteczniej pomagać w podobnych przypadkach w przyszłości.

- Niech mnie pan zrozumie, panie Frankland. Mam gdzieś przyszłe przypadki - obchodzi mnie tylko zdrowie mojego syna! Twierdzi pan, że to mentalne podróże mu zaszkodziły? Zdawał się być w dobrym stanie, gdy po dwu i pół letniej nieobecności, chwilę po tym jak zmarła jego matka, powrócił do domu.

- Nie zawsze potrafimy właściwie ocenić stan psychiczny drugiej osoby, panie Bush. W

tamtym okresie jakikolwiek wstrząs mógł doprowadzić u niego do trwałego obłądzenia. Już wtedy przechodził zastrzoną fazę anonii.

- Brak zmysłu węchu?

- Ma pan na myśli anozmię, panie Bush. Ja natomiast mówię o dużo cięższym przypadku - o anonii. Wygląda ona na poważną chorobę psychiczną, która już wkrótce stanie się plagą podróżujących mentalnie. Jednostka anomiczna jest dosyć mocno wyalienowana - czuje się odcięta od społeczeństwa, jak i jego socjalizujących wartości, stopniowo wychodzi poza jego społeczne normy, zaś samo życie zaczyna ją napawać obrzydzeniem. W czasie mentalnych podróży, nie widząc jakiejkolwiek możliwości wpłynięcia na rzeczywistość, jednostka anomiczna dochodzi do wniosku, że życie pozbawione jest celu i sensu. Przejawia tendencje powrotu do swojej przeszłości i regresji do katatonicznego stanu w łonie matki.

- Stara się pan mnie ogłupić tym naukowym żargonem - wtrącił James, wyraźnie rozgoryczony. - Jak już panu wspomniałem, Ted miał się dobrze, gdy wrócił wtedy do domu.

- A świat zewnętrzny postarał się już, aby dostarczyć Tedowi koniecznego w tej sytuacji traumatycznego wydarzenia - kontynuował Frankland, kiwając do Busha głową, jakby na znak, że lepiej będzie zignorować jego uwagę. - Wydarzeniem tym, rzecz jasna, była śmierć jego matki. Wiemy, że miał względem niej kazirodcze obsesje, a odkrycie, że nie będzie już w stanie zaspokoić swoich pragnień, skierowało go na ścieżkę szaleństwa, które w rzeczywistości było zawołaną próbą powrócenia do łona matki.

- To nie brzmi tak, jakby mogło mieć cokolwiek wspólnego z Tedem.

Frankland wstał.

- Ponieważ nie wydaje się pan skory mi uwierzyć, przedstawię panu mały dowód.

Podszedł do biurka, na którym znajdował się magnetofon. Na jednej z półek na ścianie wyszukał kasetę, po czym włożył ją do odtwarzacza.

- Mamy sporo nagrań tego, co mówił pański syn podczas swoich okresów halucynacji. To jest fragment jednego z tych, które zarejestrowaliśmy w początkowej fazie leczenia, gdy znalazł się tutaj po raz pierwszy. Gwoli wyjaśnienia dodam, że gdy oczekiwał na złożenie raportu przed panem Howellsem, jego przełożonym w Instytucie Wenlocka, wystąpiły u niego pierwsze urojenia. Z niewiadomych nam powodów był przekonany, że głowa państwa, generał Peregrine Bolt, był przywódcą wrogiego naszemu krajowi reżimu. Tego rodzaju przypadki prawie zawsze uważa się za przejaw manii prześladowczej. W okresie późniejszym, umysł Teda zastąpił generała Bolta postacią admirała Gleasona, który w jeszcze większym stopniu, w jego przekonaniu, uosabiał zło. Jednak podczas samego nagrania pana syn nie był aż tak mocno pogrążony w tej właśnie halucynacji. Miał na szczęście świadomość, że znajduje się w naszych

czasach i odbył coś w rodzaju kontrolowanej rozmowy z naszym lekarzem i grupką studentów, co za chwilę pan usłyszysz.

Włączył magnetofon. Z taśmy dobiegały stłumione hałasy, jakieś pojękiwanie. Słuchać było niewyraźnie mamrotanie, układające się w słowo: Howes. Inny, donośniejszy i bardziej wyraźny głos, komentował:

- Gdy pacjent po raz pierwszy zgłosił się do Instytutu, uważał, że jego przełożony - pan Howells, był tak naprawdę osobą o nazwisku Franklin. Franklin z kolei jest przekręconą wersją mojego nazwiska, czyli Frankland - należy dodać, że byłem pierwszą osobą, z jaką pacjent miał kontakt po przejściu załamania nerwowego. Nazwisko Howells pojawia się również, ponownie lekko zniekształcone, jako należące do jednego z bohaterów urojeń - kapitana z militarnych wizji pacjenta.

Mamroczący głos stał się nagle wyraźniejszy i można było w nim rozpoznać Eddiego Busha, który zapytał:

- Ja chyba nie umieram, prawda?

W tle słychać było, jak kilku studentów komentowało między sobą, po cichu, jego słowa.

- On nie jest w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co mówisz.

- Jest wsłuchany jedynie w swoje potrzeby.

- Wyobraża sobie teraz, że znajduje się w innym miejscu, być może w innym przedziale czasu. - A może on naprawdę dopuścił się kazirodztwa? Ponownie dał się słyszeć głos Busha, tym razem jeszcze głośniejszy:

- Jak myślicie, gdzie jestem?

Znów włączyło się kilka głosów, głównie upominających.

- Proszę się uciszyć!

- Obudzi pan cały oddział.

- Cierpi pan na anomię, której towarzyszą halucynacje słuchowe.

- Ale przecież okno jest otwarte - odrzekł Bush, tak jakby to enigmatyczne spostrzeżenie wszystko wyjaśniało. - A tak właściwie, co to jest za miejsce?

- Szpital dla Umysłowo Chorych w Garfield.

- Opiekujemy się tutaj panem.

- Sądzimy, iż wykryliśmy u pana przypadek anomii.

- Jesteście wszyscy jacyś pokręcani - skwitował Bush.

Frankland wyłączył odtwarzacz, zacisnął usta, kręcąc przy tym głową.

- Bardzo smutny przypadek, panie Bush. W czasie tego nagrania pana syn uważał, że

znajduje się w jakichś koszarach - nie był w stanie zaakceptować, że znajduje się na oddziale szpitalnym. Od tego momentu wycofywał się coraz bardziej w sferę własnej rzeczywistości, powodowany swoimi halucynacjami. W pewnej chwili stał się agresywny i zaatakował metalową kulą jednego z lekarzy. Byliśmy zmuszeni umieścić go na jakiś czas w izolatce, w nowo otwartym skrzydle Motherbeer.

James nie wytrzymał, dając upust swojej rozpacz.

- Ted jest dla mnie wszystkim. Zgoda, nigdy nie był zbyt religijnym chłopcem, ale był takim dobrym dzieckiem. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Nigdy...

- Doskonale rozumiem, co pan czuje. Zrobimy, rzecz jasna, wszystko, co w naszej mocy, aby mu pomóc.

- Mój biedny, mały Teddie. Proszę mi tylko pozwolić go zobaczyć...

- To nie byłoby wskazane. On uważa, że pan nie żyje.

- Nie żyję?!

- Tak, dokładnie. Zgodnie z tym, co nam powiedział, wszedł w układ z wojskowymi, którzy zobowiązali się zaopatrywać pana w dostawy alkoholu, o znaczącej nazwie Black Wombat Special, którym z kolei zapił się pan na śmierć. Tym samym pański syn zdołał - mentalnie, rzecz jasna - pana zamordować i zwalić winę na kogoś innego.

James potrząsnął głową, niemal identycznie, jak wcześniej Frankland.

- Anomia... Nic z tego nie rozumiem, naprawdę nic. Taki cichy chłopiec, wybitny artysta...

- Obawiam się, że często przydarza się to właśnie takim ludziom - odrzekł Frankland, spoglądając na zegarek. - Szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że właśnie terapia sztuką może mu trochę pomóc. Sztuka jest stale obecna w jego halucynacjach. Tak jak w większości innych sfer jego życia. Nie zgodziłbym się jednak z tym, że pański syn nie jest religijny. Jeden z aspektów jego przypadku przejawia się w czymś, co można by nazwać fanatyzmem religijnym. Poszukiwanie różnych dróg do doskonałości, próba wyzwolenia człowieka od wszelkich nieszczęść - te potrzeby są w nim bardzo mocno zakorzenione. Pewnego razu - gdy przebywał w pełnym odosobnieniu - mam na myśli skrzydło Motherbeer - usiłował stworzyć idealny model rodziny, w której można byłoby znaleźć spokój i miłość. Posiadamy kasety z tego etapu jego choroby - są naprawdę wstrząsające. W tej hipotetycznej, wzorcowej rodzinie, pański syn odgrywał rolę ojca, w symboliczny sposób uzurpując sobie pańską pozycję. Istotnym wydaje się też fakt, że ojciec był bezrobotnym górnikiem. Pracownicy personelu szpitala zostali wcieleni w inne role jego fantazji.

- Jaki był ciąg dalszy?

- Rodzinna sielanka w umyśle pana syna nie trwała długo - presja jaką odczuwał, pchała go w stronę stanów pełnych otwartego terroru, odwieczny paradygmat myśliwego i ofiary. Tak więc wzorcowy model rodziny uległ brutalnemu rozpuszczeniu w nienawiści do samego siebie - której finalną odsłoną było symboliczne samobójstwo, zwiastujące zupełną rezygnację z własnej świadomości oraz powrót do łona matki, co jest ostatecznym celem jednostki opętanej obsesją na punkcie kazirodztwa. Stracił kontakt. Po części to pan jest za to odpowiedzialny, panie Bush.

- Stracił kontakt... To niepodobne do mojego chłopca. Oczywiście, wiem o jego związkach z kobietami...

Frankland pozwolił sobie na niejednoznaczny uśmiech.

- Związki z kobietami! Tak. Pana syn znał tak naprawdę tylko jedną kobietę, swoją matkę, identyfikował z nią wszystkie inne kobiety, które spotkał na swojej drodze. Stąd też, nigdy nie szukał w tych relacjach trwałości, głównie z obawy przed zdominowaniem.

Jego obsesyjne tendencje przeistoczyły się w schizofrenię zmierzającą w kierunku zaburzeń psychicznych tego rodzaju. Doświadcza on swojej animy - swojej wewnętrznej, kobiecej części, przybierającej postać ożywionego ducha i proszę nie mylić tego z anomią czy anozmnią - jest ona zupełnie oddzielną, odseparowaną od niego istotą. Postać tą nazywa Kobieta Cień. Pierwotnie spełniała klasyczną funkcję jego kobiecego ducha opiekuńczego.

- Kobieta Cień? Nigdy o tym nie słyszałem!

- Obecnie, w rozwiniętym stadium choroby pańskiego syna, Kobieta Cień zmieniła swoją rolę i przeistoczyła się w jeszcze jedną postać symbolizującą kazirodczy związek, kobietę będącą jednocześnie matką i córką, znacznie przyspieszając tym samym pogorszenie stanu psychicznego pacjenta.

James Bush spoglądał na znieawidzony pokój, którego atmosfery dłużej już nie mógł wytrzymać. Mrozące krew w żyłach słowa, których znaczenia w pełni nie rozumiał, lub w które do końca nie wierzył, sprowadziły go z powrotem na ziemię. Odczuwał potrzebę ucieczki, tak samo jak pragnął ujrzeć Teda - a co do ucieczki, to nie był w stanie stwierdzić, jaką wybrałby jej formę - długą modlitwę czy łyk czegoś mocniejszego. W tle rozbrzmiewał głos Franklanda - słysząc w nim było lekką ekscytację.

- Podczas swojej ostatniej podróży do okresu dewońskiego, kiedy zanosilo się na ten tragiczny zwrot w jego chorobie, miał stosunki seksualne z kobietą o imieniu Ann. Była to jedna z postaci mocno uwikłanych w fantazje pańskiego syna. Jednak i ta relacja nie była zbyt udana. Ted wierzy, że czatuje ona gdzieś w pobliżu Instytutu i wkrótce spróbuje go uratować. Co więcej, opisuje ją jako obdartą, brudną, nie w pełni rozwiniętą dziewczynę. Nazwał ją

kiedyś drutowłosą dziwką! Duże znaczenie ma fakt, że pewnego razu ją zabił, a następnie ponownie wskrzesił. Tragiczna historia, wspaniały umysł! „Cóż za wspaniały umysł doprowadzany jest tutaj do upadku!” - jak ujął to pewien poeta. Ale nie mogę panu zabierać już więcej czasu... - podniósł się z miejsca, pochylając głowę.

- Panie Frankland, jestem wdzięczny za pańską życzliwość - wyrzucił z siebie James. - Proszę pozwolić mi chociaż zerknąć na mojego biednego chłopca. Niech pan zrozumie - on jest wszystkim, co mam!

- Ależ oczywiście! - Frankland spojrzał zaskoczony i pochylając się nad biurkiem, ponownie przybrał swój konspiracyjny ton. - Rozumiem, że coś łączyło pana z wdową, panią Annivale.

- No, tak... ja... tak się nazywa się kobieta, która mieszka w domu obok.

Frankland trochę przesadnie pokiwał głową.

- Jeśli chodzi o imiona, to umysł potrafi nam płatać figle. Oczywiście, zdarzają się również dziwne zbiegi okoliczności. Ann, Annivale, anomia... Czy wie pan, czym jest owo dnia?

- Nie. Czy mogę tylko nań zerknąć?

- Będzie mocno zaniepokojony, gdy pana zobaczy. Jak już panu wiadomo, Ted uważa, że pan nie żyje.

- Jak może mnie rozpoznać, skoro podano mu tak mocne środki uspokajające?

- Ted pracuje nad swoim ostatnim dziełem. Daliśmy mu materiały, aby się uspokoił. Pochłania mu to cały jego czas, ale jeżeli się obróci i pana zauważy, może go to wytrącić z równowagi.

- Powiedział pan, że jest pod wpływem leków.

- Nie, nie, to było wczoraj. Wspomniałem, że wczoraj podaliśmy mu mocne środki. Jednak teraz, panie Bush, naprawdę...

James wiedział, że jego spotkanie dobiega końca. Zdobył się na ostatnią, desperacką próbę.

- Dlaczego nie pozwolicie mi go stąd zabrać? Zajmę się nim - nikomu nie zagrazi! Bo co wy tutaj jesteście w stanie dla niego zrobić? Jaka jest nadzieja na wyleczenie go?

Przybierając śmiertelnie poważną pozę, Frankland wycodził:

- Wy, laicy, zawsze lekceważycie ciężkie przypadki chorób psychicznych. Czasami jeden umysł wystarczy, aby rozpętać wojnę domową. Pański syn uważa, że czas płynie w przeciwnym kierunku! On nie wierzy w pańską rzeczywistość, panie Bush, dlatego potrzebne jest mu takie ubezwłasnowolnienie. Szczerze mówiąc, nie liczyłbym na jakkolwiek

możliwość wyleczenia pańskiego syna. Wszystko co możemy zrobić, to zapewnić mu spokój. A teraz proszę, niech pan już idzie.

Popchnął lekko Jamesa w kierunku drzwi. Na korytarzu miała miejsca jakaś szamotanina. Wychudzony mężczyzna, odziany w szarą pidżamę, stał w drzwiach kilkanaście metrów dalej, starając się uciec przed dwoma pielęgniarkami. Wzywał swojego opiekuna.

- Doktorze Wenlock, musi pan wracać do łóżka! - podniosła głos jedna z pielęgniarek, szarpiąc go za ramię.

- Przepraszam! - wykrzyknął Frankland i pospieszył korytarzem w kierunku przepychającej się grupki. Zanim dotarł na miejsce, z wnętrza pokoju wyłonił się tęgi sanitariusz w białym fartuchu, chwycił pacjenta za głowę i bezlitośnie powłókł go z powrotem do jego izolatki. Drzwi zamknęły się z trzaskiem - całe zajście trwało zaledwie kilka sekund.

Frankland wrócił, cały czerwony na twarzy.

- Muszę wracać do swoich obowiązków, panie Bush. Trafi pan chyba sam do wyjścia. Nie pozostało nic, jak tylko opuścić to miejsce.

Instytut Garlfield zajmował okazały obszar, ogrodzony wysokim murem. James wiedział, że przystanek autobusowy znajduje się naprzeciwko głównej bramy. Od domu dzieliły go tylko dwa przystanki, jednak połączenia autobusowe nie były najlepsze, a o tej porze niewiele autobusów jeździło w jego stronę. Poza tym ciągle padało.

Nie miał kapelusza. Zanim wyszedł na ulicę, zawinął dookoła głowy szal i postawił kołnierz swego nieprzemakalnego płaszcza. Dobrze byłoby już znaleźć się w domu i napić czegoś mocniejszego.

Frankland oczywiście wygrał. Następnym razem zażąda pokazania jednego z obrazów Teda, nad którymi ten rzekomo pracuje. Sprawa wydawała się być beznadziejna.

Stracił kontakt, też coś! On i Ted zawsze będą w kontakcie, cokolwiek się zdarzy. Oczywiście, wina tylko po części spoczywała po stronie Lavinii - nie, to nie było właściwe postawienie sprawy; to wszystko przez te czasy, w których przyszło im żyć. Smagany deszczem, zaczął się modlić. Droga do domu była długa. Czuł, jak przemakają mu spodnie. Gdy wróci do domu, będzie musiał zażyć kąpieli z gorczycą, jeżeli zostało jej wystarczająco dużo, w przeciwnym razie na pewno rozłoży go choroba. Co za nieszczęście starzeć się, na dodatek w takich czasach! Ojciec nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje...

Pokazał swoją przepustkę strażnikowi przy bramie i wyszedł na ulicę. Podążając w kierunku przystanku, schylił głowę - nie mógł dostrzec szczupłej dziewczyny, stojącej pod drzewem, najwyraźniej zajętej obserwacją jakiegoś obiektu. Z jej jasnych, długich włosów, ściekała strużkami woda. Była tak blisko, że mogła go niemal dotknąć.

Ojcze nasz, któryś jest...